

# Zaziemskie światy

Umiński Władysław



calibre 0.9.27

Wladyslaw Uminski

Zaziemskie Swiaty

Pierwszy lot miedzyplanetarny

Czesc pierwsza

Rozdzial I

Klopoty Wynalazcy

Znakomity chemik, Amerykanin polskiego pochodzenia, Dr Norski siedzial gleboko zamyslony w swej pracowni polozonej w jednym ze skrzydel pieknego gmachu instytutu chemicznego, ufundowanego przez multimilionera Foggsa i oddanego ma uzytek publiczny. W tym zakladzie bogato urzadzonym, zaopatrzonym we wszelkie pomoce Norski od paru lat prowadzil swoje odkrycia i genialne badania nad wytworzeniem sztucznych pierwiastkow promieniotworczych uwiecznione zdumiewajacymi odkryciami. Nie byl on bynajmniej pospolitym wynalazca marzacy o korzystnej sprzedazy przemyslowcom swoich patentow, lecz cichym uczonym pracujacym dla dobra ludzkosci.

Kiedy przed rokiem przystepowal do swoich studiow nad sztucznymi pierwiastkami promieniotworczymi, mial juz poprzednikow, ale poszedl wlasnymi drogami i osiagnal niebawem zdumiewajace wyniki. Przed kilku dniami zaledwie zglosil sie do Panstwowego Urzedu Patentowego w zamiarze uzyskania przywileju na swój metauran, odkrycie ktorego miało zapoczątkować nową błogosławioną erę w materialnych dziejach ludzkości.

Uczynil to w wielkiej tajemnicy, nie zyczyl sobie takiego rozglosu, który by zaklozil jego spokoj tak niezbedny dla kontynuowania swych prac w obranym kierunku.

Wiedzial dobrze, że za pare miesiecy, kiedy bedzie ogloszony jego wynalazek w biuletynach Urzedu Patentowego stanie sie przedmiotem ogolnego zainteresowania nie tylko sfer naukowych, ale najszerszej publiczności.

Zdawalo mu sie, że ma czas na rozmyslanie nad zastosowaniem swego odkrycia. Totez zdziwil sie niepomiernie kiedy wozny oddal mu karte wizytowa, na ktorej wyczytal:

DR HOBBS

INZYNIER MECHANIK

-Ten jegomosc koniecznie zyczy sobie widziec sie z panem, mister Norski. - Po nieco zdenerwowanym tonie mowy woznego znac bylo, że bardzo mu zalezy na przyjeciu jego klienta przez naszego uczonego. Musial dostac co najmniej 10 dolarow za te przysluge. Norski usmiechnal sie kwasno.

-Prosze uprzedzic tego pana, że mam malo czasu na ten wywiad.

Alez mister Norski, - zawolal nieco zgorszony wozny, - to zaden reporter, ale znakomity inzynier, o ktorego pracach caly swiat mowi z najwyzszym zaciekawieniem.

-Jakiez to sa prace Dicku? - zagadnal zaciekawiony chemik.

-To pan nie czytuje gazet?

-Bardzo malo, Dicku, - wole czasopisma naukowe, ale co wiesz o tych pracach mister Hobbsa?

Dick usmiechnal sie, a potem stuknal sie palcem w czolo.

-Coz to ma znaczc?

-Ja tam sie na tych sprawach nie znam, ale moj zdrowy rozsadek...

-Wyrazasz sie bardzo zagadkowo, Dicku.

-No co tu duzo gadac prosze pana doktora, wedlug mnie i to nie tylko minie, ten inzynier to zwyczajny wariat. Ale niech sie pan doktor nie leka, jezeli to naprawde wariat, to taki spokojny, nic panu doktorowi nie robi.

-No ale na czym polega ta jego mania, Dicku?

-Oto mister Hobbs chce leciec na ksiezyc, czy inna planete: planuje podroz miedzyplanetarna, slyszalem cos o tych projektach.

-Teraz zaczynam pojmovac po co ten inzynier chce ze mna sie widziec.

-Niechze pan doktor nie da sie namowic na jakies wariactwo, szkoda pana.

-Jestes rozczulajacy, Dicku, dziekuje ci.

-No nie ma czemu dziwic sie, mister Norski, przywiazalem sie do pana, przykro by mi bylo...

-Och nie przejmuj-ze sie Dicku, nie tak latwo minie namowic na jakies niedorzeczne przedsiwziecie. Wprowadz tego pana.

-Bede tu niedaleko, w razie gdyby...

-Nie badz smieszny Dicku.

Ale wozny znac nie dowierzal "pomylynym" jak sie lubil wyrazac o pewnych ludziach. Przed rokiem tak narwal i doktora Norskiego miedzy kolegami, kiedy sie dowiedzial, ze ten czlowiek zamierza wytwarzac sztuczny rad, bylby to zreszta wedlug Dicka doskonaly business, bo radium podobno drozsze sto razy od zlota, w tym sek, ze to sie na pewno nikomu nie uda.

Do gabinetu Norskiego wpadl, widocznie zdenerwowany dlugim czekaniem, inzynier Hobbs. Trzymal w reku duza rolke brystolu z jakimis planami, sklonil sie nisko z atencja przed naszym chemikiem i kordialnie uscisnal podana mu dlon.

-Czym moge sluzyc, kochany inzynierze.

Hobbs popatrzyly podejrzliwie na chemika, widocznie nie moglo mu sie pomiescic w glowie to pelne skromnosc i zachowanie sie doktora.

Czyzby ten czlowiek, nie zdawal sobie sprawy z tego, ze jego ostatnie odkrycie otwieralo nowe, zdumiewajaco szerokie horyzonty przed ludzkoscia. Widocznie jednak tak bylo. Doktor Norski byl tylko uczonym pracujacym dla wiedzy czystej, nie ogladal sie jak kazdy prawdziwy uczony ani na zaszczyty, ani na korzysci materialne. Otoz on, slawny juz dzieki swym projektom inzynier, otworzy mu oczy.

-Jakie zastosowanie miec moze panskie odkrycie w dziedzinie techniki wspolczesnej - zagadnal usmiechajac sie nieco poblazliwie.

Norski wzruszyl ramionami.

-Przyznaje sie, malo zastanawialem, sie nad tym, - odparl - obawiam sie tylko, zeby ci przekleci militarysci nie spozytkowali mojego pierwiastku dla udoskonalenia swej bomby atomowej, ktora jak zmora dusi spiacza ludzkosc.

-Byloby to dla mnie prawdziwym nieszczesciem.

Z poczatku zamierzalem zachowac je w scislym sekrecie, ale w koncu doszedlem do przekonania, ze nauka moze by na tym stracila, ze opoznilbym prace kolegow i nic wiecej, bp nauka kroczy nieustannie naprzod.

-Zupelnie sluszny wniosek, - potwierdzil inzynier - alez na Boga, mnie nie idzie o czysta wiedze, jestem inzynierem, przedstawicielem techniki, ktorej postepy ze sie tak wyraze, przewrocily swiat do gory nogami, stworzily zaczatek nowej ery cywilizacyjnej, dlatego wlasnie jestem tutaj. Musze panu powiedziec, ze nie zdajesz sobie sprawy jaka rewolucje przygotowujesz swym metauranem, czy jak tam nazwales nowy pierwiastek, ktory nie figuruje w tablicy Mendelejewa.

-Rewolucje? - powtorzyl Norski.

-Tak rewolucje jakiej swiat nie widzial. Czytalem w podaniu patentowym, ze ten nowy pierwiastek latwo ulega rozpadowi i to wlasnie jest mi najbardziej potrzebne dla zrealizowania moich planow. Metauran moze posluzyc do zbudowania silnika, o nieslychanej wydajnosci silnika, ktory wystarczy, zeby oderwac od ziemi moja torpede miedzyplanetarna. Geniuszu! - dodal z emfaza zginajac kolano przed uczonym. - Legendarni Ikarowie, wspolczesni lotnicy to robactwo pelzajace po ziemi wobec ciebie. Tobie i mnie wzniosa kiedys pomniki.

-Slyszalem cos o panskich projektach - odparl Norski ubawiony tym entuzjazmem inzyniera - czyzby podroz

miedzyplanetarna nie byla mrzonka, piastowana w glebi serca przez technikow takich jak pan...

-Wariatow - dokonczyl Hobbs - istotnie, wielu ludzi uwaza mnie za maniaka, lecz zapewniam pana, doktorze, ze stoje na twardym gruncie naukowym

i opracowalem w najdrobniejszych szczegolach plan mojego wehikulu, ktory dzieki panu przestaje byc chimera lecz niebawem stanie sie zdumiewajaca rzeczywistoscia. Wszak pan pojmuj, ze dotad nie istnial silnik zdolny zuzytkowac ten kolosalny zapas energii ukrytej w atomie. Bomba atomowa jest pierwszym przykladem zastosowania tej energii do celow praktycznych, niestety burzycielskich. Nie mielismy pierwiastku, ktory wziety w drobnej ilosci np. kilku gramow, uleglby rozpadowi.

-Tak, moj pierwiastek nadaje sie do pedzenia odpowiednio zbudowanego silnika, - przyznal Norski, - wszak wspomnialem o tym zastosowaniu w moim podaniu o patent.

-Jest pan bardzo przewidujacy, przyznaje, ale nie dales opisu takiego silnika, gdyz dowiedz sie pan, ze dokladny plan takiego silnika istnieje juz, ja jestem tym wynalazca, ktory odda w rece cierpiacej chroniczny glod opalowy ludzkosci niewyczerpany zasob energii cieplnej elektrycznej. Oto moj silnik dodal - rozwijajac jedna z przyniesionych rolek papieru. - Brak mu tylko duszy - panskiego metauranu azeby zaczal pracowac dla dobra wszystkich narodow. Ale mnie, przyznaje, sprawy opalowe, kwestie produkowania ropy, wegla, spozytkowania wody biezacej, niewiele interesuja, ja widze wyzsze cele przed soba, a jednym z takich celow jest rozszerzenie swiata, ktory zaczyna byc za ciasny. Wierze niezachwanie, ze nie tylko nasza nedzna kula ziemska, ale i inne planety, krazace dookola zyciodajnego slonca, sa zdadne na siedziby dla zywych istot, kto wie nawet czy nie sa juz zaludnione. Musi pan przyznac, kochany doktorze, ze kwestia silnika nowego, chocby najwydatniejszego blednie wobec tego, co ja zamierzam, uczynic. Chce, jak powiedzialem, rozszerzyc swiat, energia atomowa daje nam po temu srodki, dzieki niej mozemy opuscic ziemie i poszybowac w przestworza miedzyplanetarne, dotad dla nas niedostepne.

-Od paru lat pracuje bez przerwy nad planami wehikulu czy torpedy, ktora by uniosla nas w miedzygwiazdziste przestrzenie; zdaje mi sie, ze przewidzialem wszystkie, nastreczajace sie trudnosci i pokonalem je, przynajmniej na papierze, ale mam nadzieje, ze praktyka potwierdzi moje plany, a jezeli dojdza one do skutku, to tylko dzieki panskiemu genialnemu odkryciu. Wleje pan, niejako dusze w martwe cialo mojej torpedy miedzyplanetarnej. Krotko mowiac przybywam tutaj azeby zjednac pana do moich celow. Wszak nie odmowi mi pan swej wspolpracy dla tak wznioslych celow?

-Przyznaje, ze slyszalem juz o nich, lecz odnosze sie do nich z pewnym niedowierzaniem. W zasadzie jednak gotow jestem pomoc panu w miare moznosci.

-Dzieki, stokrotne dzieki. Nie pragne pana wciagnac w zadne spekulacje, ani w zadne niebezpieczne przedsiwziecie kochany doktorze, zadam jedynie od pana licencji na zastosowanie panskiego, latwo rozpadajacego sie pierwiastku do popedzania, obmyslonego przeze mnie silnika, ktory jak rzeklem, oderwie czlowieka od ziemi, wiazacej go na swej powierzchni sila ciezkosci.

-Ja sadze, ze panski silnik moze znalezc mnostwo innych znacznie praktyczniejszych zastosowan tu na tej naszej ubogiej ziemi, ktora tak laknie energii mechanicznej i ciepla.

-Bedzie tego miala az do przesytu, nie wiem tylko czy wyjdzie jej to na dobre. Pozostawiam to moim kolegom te praktyczna strone naszego wynalazku. Moje ambicje siegaja znacznie wyzej. Chce, jak powiedzialem, rozszerzyc dla czlowieka swiat i przeniesc go na inne planety. Niech tam szuka lepszych warunkow bytowania, anizeli na tym nedznym pytku, ktory w swej naiwnej ignorancji uwazal ongi za centrum wszechswiata.

Inzynier roztaczajac te zawrotne perspektywy przed swym sluchaczem zapalal sie coraz bardziej, wygladal jak natchniony prorok. Jego rece zakreslaly jakies dziwaczne linie, zdawalo sie, ze chce ramionami ogarnac cos niepojecie wielkiego, jakies odlegle na miliony lat swietnych, zbiorowisko swiatow i tam przesadzic ludzkosc, jak jaka rzadka roslina, teskniaca za przestrzeniami i nowymi sloncami. W tej chwili nie wygladal na maniaka, lecz raczej jak jakis nowozytny Kolumb, plynacy na odkrycie Nowych Swiatow, w ktore procz niego nikt nie wierzył.

Norski pochwycil te reke i uscisnal ja z zapalem.

-Zaczynam wierzyc, ze istotnie zdola pan jak ow legendarny Jkar przypiac ludzkosci skrzydla, zdolne uniesc ja w bezgraniczne przestrzenie miedzyplanetarne. Tak, ma pan dalekosiezne ambicje, czy tylko moje odkrycie istotnie otwiera przed czlowiekiem takie mozliwosci?

-Tak, tak, nie powinien pan o tym watpic, doktorze. Pozostawiam panu swoje plany silnika i torpedy miedzyplanetarnej. Niech je pan uwaznie przejrzy i podda sumiennej krytyce, ma pan dosc wiedzy po temu. Przyjde za dwa dni i

przedyskutujemy razem niektóre szczegóły.

Norski odprowadził do drzwi swego ustronnego gabinetu inżyniera i ku swemu niemalemu zgorzeniu potracił klamka o nos Dicka, który najwidoczniej podsłuchiwał rozmowę dwóch panów.

Wozny, zmieszany i zarumieniony ze wstydu, odskoczył jak oparzony i wyprostował się z godnością.

-Przepraszani pana, doktorze, - wybelkotal. - Pierwszy i może ostatni raz dopuściłem się takiego brzydkiego czynu, ale gotów jestem na wszystko, jeżeli idzie o pana bezpieczeństwo.

-Moje bezpieczeństwo? - powtórzył zdziwiony chemik. - Nie rozumiem cie, pocziwy- Dicku.

-Musiałem przecie czuwać nad tym, żeby ten wariat... Tak, ma zło w głowie, słyszałem na własne uszy jak bredził o podróży na inne planety, jak roztaczał przed pana oczami jakieś nedorzeczne zamiary. Gotów namówić pana na taką wariacką podróż i nieszczęście gotowe.

Norski nie mógł powstrzymać się od śmiechu

-No, może on nie jest takim skńczonym wariatem za jakiego go uważasz pocziwy Dicku.

-A co, zaczyna mu pan wierzyć, - zawołał nie na żarty przerażony wozny, - doprawdy, nie będę go tu wpuszczał.

-Bo zarazi mnie ta swoja mania, he?

-To zupełnie możliwe, ale ja...

Dici uczynił groźny ruch zacisnięta pięścia.

-Widzę, kochany Dicku, że nie na żarty zaniepokoiłeś się o mnie. Lecz nie lekaj się. Wielu rzeczy nie rozumiesz, choć ciągle obracasz się między rozbijaczami atomów. Przyjdź jutro do mnie na pogawedkę. Wyjaśnię ci kilka spraw, które jak sądzę nie są dla ciebie, jako bardzo trudne, dość zrozumiałe. Może po niej będziesz mniej surowo osadzał inżyniera Hobbsa, no i nie zanikniesz mu drzwi przed nosem, - dodał żartobliwie - W każdym razie, dziękuję ci za opiekę, jaką mnie otaczasz.

Rozdział II

W którym dowiadujemy się,

że inżynier Hobbs może i nie jest wariatem

Nazajutrz Dick przypomniał doktorowi jego obietnicę.-Doskonale - zgodził się chemik - muszę ci powiedzieć coś niecos o energii bo to jest ci koniecznie potrzebne, żebyś chociaż z grubszą zorientował się w planach tego Hobbsa, którego jak widzę masz za wariata.

-Alboż nie można uważać za pomyłonego człowieka, który zamierza polecieć hen na księżyc, albo nawet na Marsa, czy na jaką inną planetę. Wiem, że tam w przestrzeniach gwiazdzystych nie ma powietrza i panuje niesłychany mroz, i że taka podróż trwałaby już nie tygodnie, ale miesiące i lata. Toż to może się zdarzyć w głowie jakiegoś oblakanca, nie zaś człowieka zdrowego ma umyśle.

-Tak by się z pozoru wydawało, ale...

-Chyba pan doktor, taki uczony, nie przypuszcza żeby...

-Powoli, powoli kochany Dicku. Zanim dostatecznie odsadzisz tego inżyniera od zmysłów to, proszę cie posłuchaj paru wiadomości. Przebywałeś ciągle między fizykami, chemikami...

-No, pewnie, że powachalem coś niecos z tych nauk, - odparł z pewną dumą wozny. - Niech pan jednak mówi, może w gruncie rzeczy jestem osłem skńczonym, ale tylko w porównaniu z panem, który, jak mówią...

-No, obejdziesz się bez komplementów, o toż zaczął od tego, że ci powiem parę słów o energii.

-Energia, rozumiem, mówi się to energiczny człowiek.

-Energia, moj Dicku, może mieć rozmaite postaci: jest energia cielesna, energia mechaniczna np. pęd wiatru czy wody

bieżące, wysiłek mięśni ludzkich czy zwierzęcych, energia elektryczna, ujawniająca się jako światło w naszych żarówkach, czy jako pioruny podczas burzy. Jedną postać energii można przechodzić w drugą, np. ruch zamieni się w ciepło i odwrotnie, ciało leżące gdzieś wysoko np. kamień na szczycie góry zawiera także utajoną energię, gdyż spadając może zabić przechodnią. Jest to energia utajona. Tak samo w tym, co nazywamy materią, jak się niedawno przekonano, jest utajona niesłychanie wielka ilość energii, której istnienia nie domyślano się przez długi czas. Dopiero kiedy się przekonano, że najdrobniejsze cząsteczki, z których składa się każda materia, cząsteczki uważane dawniej za niepodzielne dają się rozbić na liczne części składowe odkryto, że zawierają one niesłychane ilości energii, głównie cieplnej i elektrycznej.

-Skąd one się tam wzięły, proszę pana doktora?

-Spoczywa w nich od początku świata. Można nawet powiedzieć, że materia jest jakby skoncentrowana energia, albo odwrotnie, że energia ma budowę ziarnistą. Te najdrobniejsze ciała, z których składa się każda energia, my chemicy i fizycy wiemy "kwantami". Może mi nie uwierzysz Dicku, jeżeli ci powiem, że gdyby się udało zamienić na ciepło wszystkie energie, zawarta w lebkach od szpilki to można by nią ogrzać do czerwoności most żelazny na Hudsonie, albo inaczej, gdyby się udało zamienić na energię elektryczną ziarno sru tu np. to moglibyśmy przez kilka nocy oświetlać cały Nowy Jork tzn. palić kilka tysięcy żarówek i pedzić wszystkie tramwaje.

-Ależ panie doktorze to zakrawa na jakąś bajkę z tysiąca i jednej nocy.

-Istotnie, nowoczesna wiedza umożliwia ziszczenie się bajek, - odparł doktor Norski z uśmiechem. - Widzisz więc Dicku, że ten Hobbs...

-Nic, a nic nie rozumiem, co ma energia atomowa wspólnego z planami tego...

-Znowu chciales powiedzieć, wariata.

-No już teraz nie śmiałybym go tak nazwać, kiedy pan doktor...

-Przejdźmy więc do projektów Hobbsa, skoro się o to dopominasz. Chcąc opuścić naszą kulę ziemską trzeba pokonać siłę ciężkości, która nas przytrzymuje do jej powierzchni, a siła ta znaczna. Wiesz jak się można wchodzić bez windy na jakieś wysokie piętro. Trzeba przy tym wykonać znaczną pracę, czyli zużyć potężną ilość energii mechanicznej. A już marzyć zaden człowiek nie może, żeby z ziemi wskoczyć na dach, a więc energia zawarta w kilogramie nitrogliceryny, jednego z najsilniejszych środków wybuchowych, nie wystarczyłaby żeby ten kilogram wyrzucić poza obwód przyciągania ziemi, do tego potrzeba znacznie więcej energii. Jesteśmy, a raczej byliśmy bezradni na wypadek gdyby się nam zechciało opuścić naszą ziemię, przykuwa nas do niej jak psa lincuch właśnie ta siła ciężkości. Ale postać rzeczy zmieniła się gruntownie z chwilą kiedy znaleźliśmy się w posiadaniu energii utajonej w atomach. Udało się nam wyzwolić ją rozbijając atomy niektórych pierwiastków chemicznych takich jak uran, który powoli, samorzutnie ulega rozpadowi. Ta sławna bomba atomowa, która użyto przeciwko Japonczykom jest pierwszym zastosowaniem siły, czyli energii atomowej, niestety na razie do celów zniszczenia. Ale mnie udało się odkryć pewną odmianę uranu, jak mówimy nowy jego izotop, który bardzo łatwo zmusić do rozpadu. Zburzone atomy wyzwalały niesłychane ilości energii. Znajdujemy się więc od niedawna w posiadaniu tak potężnego zasobu energii, że wystarczy on z łatwością do oderwania nawet bardzo ciężkich ciał od ziemi i wyrzucenia ich poza obwód przyciągania ziemskiego.

-Więc co z tego?

-A no skoro jakiś pocisk czy wagon znajdzie się daleko od ziemi to stanie się taki lekki, że wystarczy nieznaczna siła, żeby nadawać mu coraz większą szybkość, może ona osiągnąć w końcu jakichś kilkunastu kilometrów na sekundę tzn. poruszać się równie szybko jak nasza ziemia w swym biegu dookoła słońca. Można by podróżować robiąc 20 km na sekundę, a więc dostać się na księżyc w parę godzin, na Marsa odległego od nas jakiegoś 50 milionów km w kilka tygodni.

-Przepraszam pana, panie doktorze, - przerwał, zmieszany widocznie Dick - ale z tego co pan mówił wychodzi, że inżynier Hobbs może i nie jest wariatem za jakiegoś mającego go ludzkiego.

-No tak, popatrz, - rzekł Norski, rozwijając dużą plachtę papieru, - oto plany takiego pocisku czy torpedy, ma której ma on nadzieję odbyć podróż na jakąś sąsiednią planetę, muszę przyznać, że starał się on usunąć wszystkie niedogodności, towarzyszące tej szalonej jeździe w przestworza międzyplanetarne.

Przejrzałem ten plan i muszę przyznać, że nasz inżynier przewidział wszystkie następujące się tutaj trudności. A żeby jednak ocenić jego wartość trzeba na to fachowców, którymi my obaj, niestety, nie jesteśmy.

-Mówi pan tak, jak gdyby tacy fachowcy już istnieli, - zaśmiał się praktyczny Dick. - Może to nie jest znowu takie wierutne głupstwo, - dodał wzruszając ramionami. - Może nie mnie o tym sadzić, ale...

-Co chciales powiedziec moj poczciwczecze?

-A nie bedzie sie pan ze mnie smial, jezeli powiem?

-Skadze moj drogi.

-Mnie sie jakos widzi, ze ten Hobbs tak jakos pana przekonal, ze naprawde mozna poleciec na ksiezyc czy tam na Marsa, wiec moze pan sie da w koncu namowic na takie szalenstwo. Szkoda by pana bylo. Bo moze pan porobic jeszcze wieksze odkrycia niz ten metauran.

Norski nie mogl powstrzymac sie od usmiechu. - Niepokoisz sie o moja osobe jak widze, bardzo to ladnie z twojej strony.

-Coz w tym dziwnego, prosze pana doktora, pracowalismy przez kilka lat razem. Przywiazuje sie latwo do Judzi, z ktorymi zyje.

Norski przypomniat sobie, ze Dick wprawny w wyrabianiu przyrzadow ze szkla, do doswiadczen chemicznych, nieraz pomagal mu w budowie roznych skomplikowanych aparatow fizycznych. Snadz te czynnosci naiwny Dick uwazal za wspolprace naukowa ze swoim zwierzchnikiem. Ale ta naiwnosc nie razila go, przeciwnie, uczul zywa sympatie dla tego czlowieka, ktory najwyrazniej przywiazal sie do niego i lekal sie czy nie popelnil on jakiego niebezpiecznego szalenstwa. Uscisnal wiec serdecznie dlon Dicka.

-Uspokoj sie Dicku - rzekl, - na razie nie mara najmniejszego zamiaru polecic chocby tylko na ksiezyc.

-No to dobrze, ale czy pan moze zareczyc, ze ten Hobbs w koncu pana na to nie namowi? Gdyby do tego doszlo, to znaczy, gdyby pan polecial na takim pocisku, czy jak go tam zwac ten woz, przeznaczony do szybowania miedzy gwiazdami, to musi mi pan przyrzec...

-Boj sie Boga Dicku, co ci mam przyrzec.

-Ze mnie pan z soba zabierze w te podroz, przydam sie panu na pewno, a jezeli zginiemy z zimna, z glodu, czy z jakiej innej przygody to przynajmniej obaj razem, to bedzie jakos lzej. Chwalic Boga, nie jestem jeszcze zonaty, ani nie mam dzieci, nie bedzie komu mnie pozalowac. Pan takze, jak wiadomo, nie ma czasu na romanse, ani malzenstwo.

-Zapewniam cie Dicku, ze nie mam zamiaru, ale moze ci przyrzec, ze polecilibysmy razem, w tobie mialbym oddanego opiekuna. Dziekuje ci z calego serca, moj przyjacielu.

Rozdzial III

Bomba atomowa zaprzegnieta do pracy

Pod takim sensacyjnym tytulem nowojorski "Sen" umiescil artykul inspirowany zapewne przez inz. Hobbsa. "Jak dotad - pisal dziennik - energia atomowa byla uzyta dla celow zniszczenia; zginelo od niej 150.000 Japonczykow podczas ostatniej wojny, ktora nalezalo jak najpredzej zakonczyc. To wiekopomne odkrycie przestalo byc zmora ludzkosci z przeklenstwa stalo sie blogoslawienstwem. Prawdziwymi dobroczyncami stana sie dla swiata dr chemii Norski, odkrywca nowego pierwiastka nazwanego przez niego metauranem, ktorego atomy nadzwyczaj latwo sie rozpadaja, wyzwalajac utajona w nich energie, te ostatnia inz. Hobbs, marzacy o podrozy w zaswiaty zdolal ujarzmic i zaprzac do pracy. Mozna sie spodziewac, ze nowe silniki, poruszanie energia atomowa, sprawia istna rewolucje w przemyśle i w zyciu codziennym.

Wegiel i nafta przestana byc najcenniejszymi paliwami, ktore rza dzia swiatem. Kto wie, czy za lat kilka energia atomowa nie wyruguje ich z uzycia. Nie wiemy szczegolow budowy tych motorow, zdolalismy tylko uzyskac od wynalazcy inz. Hobbsa wywiad. Okazuje sie, ze wynalazca zastosuje nowy silnik do wyrzucenia w przestrzen i oderwania od ziemi olbrzymiej rakiety, ktorej zamierza uzyc do podrozy na jedna z najblizszych planet. Jedna tylko energia atomowa moze tego dokonac.

Dr Norski i inz. Hobbs zapocatkowali nowa are w dziejach ludzkosci, ktora odtad nie bedzie przykuta do kuli ziemskiej, lecz bedzie mogla poszybowac w dalekie swiaty, maze ladniejsze od naszego".

Latwo zrozumiec, ze kilka podobnych artykulow, ktore ukazaly sie nie tylko w dziennikach ale i miesiecznikach wzbudzily nieslychane zainteresowanie nie tylko przecietnych czytelnikow ale i inteligencji, a nawet kol naukowych. Wlasciciele kopalni wegla zaniepokoiili sie nie na zarty, redakcje byly zarzucane listami czytelnikow, domagajacych sie blizszych szczegolow o wynalazku inz. Hobbsa, ktory chcac nie chcac musial odslonic przed publicznoscia rabeek tajemnicy. Zabral on sie do zbudowania malego modelu swojej rakiety i w kilka miesiecy pozniej na lotnisku nowojorskim rozpoczel proby.

Pocisk raketowy poruszany był motorem odrzutowym. Każdy kto strzelał ze sztucera, każdy artylerzysta wie, że po wystrzale, w tej chwili gdy pocisk opuszcza lufę, broni silnie "oddaje", zupełnie tak samo śruba okrętowa wyrzucając swymi skrzydłami wodę w tył statku popycha go naprzód. Jest to znane dobrze w fizyce prawo akcji i reakcji. Inż. Hobbs zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że w próżni planetarnej żadne śmigło nie może popychać jego pocisku, jedynie motor działający na podobieństwo rakiety może tego dokonać.

Ale pomysł naszego inżyniera znalazł także i przeciwników. Utrzymywali oni, że energia wyzwolona z rozpadającego się atomu składa się z trzech zasadniczych postaci. Najważniejsza z nich jest ciepło, które dochodzi, jak niektórzy obliczają, do miliona stopni. I to właśnie z tym sek, że ciepło nie da się zamienić w energię mechaniczną, a więc nie będzie popychało rakiety naprzód w przestrzeni pozbawionej powietrza. To samo da się powiedzieć o promieniach Gamiwa, które są szkodliwe dla ustrojów żywych, jak tego dowiodły doświadczenia nie tylko na Japonczykach, ale także dokonane na atolu Bikini. Jedyną zatem siłę motoryczną można zaczerpnąć z cząsteczek alfa, które po rozpadzie atomu wytryskują z szybkością 20.000 km na sekundę. Wątpliwym się wydaje, czy odrzut powodowany przez te cząsteczki o znikomej masie wystarczy do popędzania rakiety, nadania jej szybkości 11.000 km na sekundę, niezbędnej dla oderwania jej od kuli ziemskiej.

Przeciwnicy Hobbsa wyciągnęli wniosek, że jego rakieta nigdy nie zdoła opuścić macierzystej planety.

Daremnie inż. Hobbs dowodził w polemicznych artykułach słuszności swoich przewidywań. Różnice zdań zaostriły się do tego stopnia, że zaczęto go nazywać blagierem, niebezpiecznym fantastą, nie stojącym na gruncie naukowym, lecz goniącym za chimerymi, wylegniętymi w jego chorobliwym mózgu.

Hobbs odpowiedział na te wszystkie zarzuty wspaniałym eksperymentem. W oznaczonym dniu na lotniku zgromadziło się kilkaset zaproszonych gości, naukowców, inżynierów i wybitniejszych przedstawicieli sfer przemysłowych. W tym liczonym gronie znalazł się, rzecz prosta, nasz znakomity rodak, chemik dr Norski z kolegami, interesującymi się energią atomową. Nie brakło też pocziwego Dicka, Polaka tak jak jego przelozony.

Pocziwiec chciał się naocznie przekonać czy ten osławiony inż. Hobbs nie jest blagierem, lub co gorsza "pomyłonym".

Proba rakiety miała postać małego samolotu o dużych srebrnych skrzydłach. Nie zmierzano jej wyrzucić tak jak pocisk z dużego dział, lecz nadawać jej przy pomocy silnika stopniowo coraz większą szybkość. Skomunikowano się telegraficznie z niedawno ufundowanym obserwatorium astronomicznym w Kalifornii, które posiadało największy teleskop świata z prośbą o śledzenie ruchu rakiety w przestrzeni, pokrytej metalową błyszczącą powierzchnią dla ułatwienia tych obserwacji.

Rezultaty miało komunikować telefonicznie na lotnisko.

Na dany sygnał inż. Hobbs puścił w ruch motor rozległy się szybko po sobie następujące eksplozje i rakieta zaczęła się szybko unosić w powietrze w kierunku widniejącego jak obłoczek księżycy.

Z obserwatorium co pół godziny otrzymywano komunikaty. Stwierdzono po upływie paru godzin, że rakieta opuściwszy atmosferę ziemską stawała się coraz mniej widoczna skutkiem swoich małych rozmiarów, a w końcu zupełnie zniknęła z pola widzenia. Według obliczeń inż. Hobbsa probna rakieta powinna się znaleźć na linii, gdzie siły przyciągania ziemi i księżycy się neutralizują, mniej więcej po upływie siedmiu godzin. Dopiero po dziesięciu godzinach oczekiwania nadszedł sensacyjny komunikat, probna rakieta, według przewidywań, zamiast spaść na księżyc stała się jego satelitą. Przez olbrzymi teleskop można ją było widzieć jako oświetlony punkcik poruszający się po elipsie dookoła księżycy. Dzięki inż. Hobbsowi ten ostatni otrzymał swojego nieodłącznego towarzysza.

Ten sensacyjny eksperyment zupełnie odmienił stanowisko opinii, przestano patrzeć na inż. Hobbsa jak ma marzyciela, zaczęto przyznawać, że jego pomysły mają zupełnie realną podstawę. Skoro probna rakieta opuściła kulę ziemską, to jej podróże międzyplanetarne stają się możliwe dzięki energii atomowej.

Przez kilka następnych dni spodziewano się, że probna rakieta spadnie z powrotem na ziemię. Radio nowojorskie ogłosiło za odnalezienie probnej rakiety wysoką nagrodę, przez jakiś czas sędzono, że spadnie gdzieś w oddalonym od centrum cywilizacji zakątku naszego globu, i że koniec konców się odnajdzie. Ale kiedy upłynęło już parę tygodni, a nikt nie zgłosił się po obiecaną pięć tysięcy dolarów, ugruntowało się przekonanie, że pocisk istotnie opuścił kulę ziemską i, jak twierdzili astronomowie, zaczął okrazać po wieczne czasy Księżyc.

Zwyciestwo dr Norskiego i inż. Hobbsa nie mogło zatem ulegać wątpliwości. Ci, co niedawno jeszcze nazywali go fantastą, albo nawet ciemnym indywiduum liczącym na to, że łatwowierni ludziska otworzą mu swoje sakwy i sfinansują problematyczny wynalazek zaczęli uważać go za geniusza otwierającego przed Ziemiąmi wrota do nowych światów.



Przedsięwzięcie jakiego dotąd nie było

Niedługo po tym wspaniałym eksperymencie, który, jak się zdawało, zapoczątkował nową erę w dziejach ucywilizowanej ludzkości, w poczytnych dziennikach Stanów Zjednoczonych ukazało się ogłoszenie, które nawet w tym kraju przywykłym do nadzwyczajnych przedsięwzięć wzbudziło powszechną sensację. W skróceniu tekst jego zawierał wiadomość, że inż. Hobbs i dr chemii Norski, wynalazca nowego promieniotwórczego pierwiastka, oraz grono nowojorskich kapitalistów otwiera subskrypcję na udziały Towarzystwa Podróży Międzyplanetarnych.

Udziały z ograniczoną odpowiedzialnością wynoszą po jednym milionie dolarów... Koszt budowy pierwszego wagonu, który miał w razie powodzenia zainaugurować stałą komunikację pomiędzy Kulą Ziemska a najbliższymi planetami, a więc Marsem i Wenerą w przybliżeniu wyniesie dwadzieścia milionów dolarów. Osoby pragnące bądź ulokować swój kapitał w tym obiecującym wielkie zyski przedsiębiorstwie, które uzyskało wieczystą koncesję Min. Kom. U.S.A. bądź pragnące wziąć udział w podróżach na dogodnych warunkach zechcą się zgłaszać do biur Towarzystwa.

I znowu rozgorzała namiętna polemika.

Jedne dzienniki utrzymywały, że podpisujący udziały są kandydatami na samobójców, inne nazywały ich pionierami, których nazwiska będą zapisane w dziejach złotymi zgłoskami, jeszcze inne wyszydzały zarówno dr Norskiego jak inż. Hobbsa, nazywały eksperyment z próbną rakieta za wędkę do wyciągania głupcom milionów z kieszeni.

Lecz nasi dwaj przyjaciele, bo tak ich możemy już nazywać, nie przejmowali się tymi sprzecznymi opiniami.

Oni czekali na wyniki tego ogłoszenia.

Czy znajdzie się na świecie kilkunastu ludzi posiadających nie tylko milion dolarów do zaryzykowania ale i odwagę niezbędną do spróbowania nowego środka komunikacji międzyplanetarnej.

Nie potrzebowano długo czekać na spodziewanych klientów.

Pierwszym z tego zastępu ryzykantów był mister Doods. Do kantoru Towarzystwa wszedł niesmiało młody, zasuszony gentleman, liczący mniej więcej 60 lat wieku i oświadczył krótko lecz stanowczo, że gotów jest zaryzykować nie tylko milion ale i własne życie byle tylko rozstać się raz na zawsze z "przekleśniętą katownią", na której od milionów lat istoty żywe mordują się wzajemnie, nie tylko dla utrzymania się przy życiu, ale z niewiadomych i błahych powodów, czego według niego dowodziły ostatnie wojny. Nieborak nie miał, że znienawidził gruntownie rodzaj ludzki. Nie ma jednak dziś na ziemi wysp bezludnych, gdzie tacy jak on mizantropi mogliby się ukryć i znaleźć samotność, więc mister Doods z radością weźmie udział w wyprawie nie tylko na Marsa, czy jaką inną planetę, lecz choćby do samego piekła, które według jego wyobrażenia nie może być gorsze od naszego podłoża. Zarezerwował dla siebie udział i oświadczył, że w razie potrzeby odda jeszcze jeden milion, a nawet cały swój majątek byle tylko uciec z tej znienawidzonej planety.

Drugim kandydatem na podróżnika międzyplanetarnego był przyrodnik wysłany z uniwersytetu Columbia Johnos. Ta sławna uczelnia rozporządzająca wielkimi środkami pieniężnymi dzięki licznym legatom zadeklarowała udział miliona dolarów pod warunkiem, że jej wysłannik będzie mógł brać udział w podróży na sąsiednią planetę i zbadać jej faunę i florę. Był to jeszcze młody, trzydziestokilkuletni człowiek doskonale wysportowany, więc pozadany w każdej ekspedycji naukowej.

Trzeciego kandydata mister Goldstone nasi dwaj przyjaciele przyjęli dość chłodno i podejrzliwie. Dowiedzieli się o nim bowiem, że jest on poważnym akcjonariuszem wielkiego towarzystwa eksploatacyjnego kopalni złota na Alasce. Ten gentleman oświadczył bez ogródek, że towarzystwo, którego jest przedstawicielem z niepokojeni śledzi coraz mniejszą wydajność posiadanych kopalni i wzrastające koszty ich eksploatacji.

Mr. Goldstone jest biegłym geologiem i doszedł do przekonania, że wszystkie planety systemu słonecznego są zbudowane z tych samych pierwiastków co Ziemia, więc musi się znajdować na nich złoto. Ludzie wyczerpali już złotonosne pokłady znajdujące się na powierzchni, lecz na planecie są one prawdopodobnie nie tknięte.

Jeżeli istotnie rakieta międzyplanetarna dotrze do Wenery to otworzy się przed nią szereg nieobliczalnych skarbów. Towarzystwo kopalni złota na Alasce weźmie na swoje barki cały koszt tej wyprawy pod warunkiem, że mr. Goldstone będzie miał wolną rękę w poszukiwaniu złotodajnych na innych planetach. Oświadczył on gotowość natychmiastowego zawarcia umowy z projektodawcami, lecz był niemiło zdziwiony kiedy dr Norski odmówił stanowczo. Jego zdaniem wyprawa na inne planety miała charakter ściśle naukowy i byłoby bardzo niepożądane, gdyby służyła interesom materialnym ludzi, przekładających złoto nad czystą wiedzę. Mister Goldstone słuchał z ironicznym uśmiechem naszego chemika i zdolał uzyskać jedynie to, że oddano mu do dyspozycji jeden tylko udział i zgodzono się przyjąć go w poczet członków wyprawy.

Naszemu dwóm przyjaciołom bardzo zależało na zaangażowaniu na pokład rakiety astronoma, który by czuwał nad

bezpieczeństwem wyprawy podczas jej lotu w przestrzeniach międzyplanetarnych, gdzie czyhały na nią liczne niespodzianki, a nawet realne niebezpieczeństwa, jak np. niespodziewane starcie się z jakimś bolidem, czy kometą. Niewiele niestety pewnego wiedziano o tych ostatnich, o ich materialnej konsystencji itd. Astronom byłby niejako pilotem na tym statku, zeglującym w pustkowiach niebieskich.

Zwrócono się do obserwatorium na górze Palomar w Kalifornii i z niecierpliwością oczekiwano odpowiedzi, która dała na siebie dość długo czekać. Nareszcie po miesiącu zjawił się w biurze Podroży Międzyplanetarnych młody człowiek nader ujmującej powierzchowności i zarekomendował się, jako wysłannik słynnego na cały świat obserwatorium posiadającego 1 największy teleskop.

- Jestem Harting, - rzekł sciskając prawicę rozradowanego Norskiego.

- Alez nazwisko pańskie jest mi doskonale znane - odparł zachwycony nasz rodak. - Czy to pan zdołał otrzymać połączenie z mieszkańcami Marsa, o czym kilka lat temu tak wiele mówiono?

- Czynu tego dokonał mój stryj Edwin Harting, dyrektor obserwatorium ufundowanego przez Brightona, tego samego entuzjastę, który swoim kosztem zbudował gigantyczną stację nadawczą, jak panom zapewne wiadomo, przesłano przy pomocy olbrzymiego urządzenia radarowego koncert radiowy w kierunku Marsa.

- Ach, wiem, pamiętam doskonale, - zawołał Hobbs. - Koncert doszedł uszu mieszkańców tej planety, którzy odwzajemniając się przesłali nam w odpowiedzi niebiańskiej piękności koncert na nieznanym nam instrumencie. Podobno zawierał on takty, czy też całe ustępy, skomponowane w tak wysokich tonach, że nasze uszy nie potrafiły ich pochwycić.

- Istotnie tak było - potwierdził Harting. - Coż pan chce, nie jesteśmy na tym punkcie równie uzdolnieni, aniżeli psy, które słyszą najwyżej nastrojone gwizdki i przybiegają natychmiast, skoro tylko policjant ich w ten sposób wezwie. Ale ta okoliczność, że Marsjanie mają rozleglejszą o kilkanaście tonów skalę głosów, dowodzi tylko, że ich uszy są nieco lepsze od naszych. Najważniejsze, że Mars jest zamieszkały przez istoty inteligentne, znające radio, potrafiące w przeciągu krótkiego czasu odpowiedzieć świetlanym sygnałem na takie sygnały który mój stryj kilka lat temu przesłał im z wyznaj Equadoru.

- Jestem zachwycony, że pan właśnie będzie nam towarzyszył, - zawołał Hobbs, - stryj pański natchnął mnie wiarą, że na sąsiadach naszej Ziemi pulsuje życie. Gdyby nie jego wspaniałe dzieło, moje przedsięwzięcie nie miałoby twardego gruntu pod nogami. On zapoczątkował komunikację międzyplanetarną, na razie radiową, jak gdyby niematerialną. Mój przyjaciel dr Norski dał nam środek materialny, umożliwiający oderwanie się od Ziemi. Ja zaś - dodał skromnie, - próbuję zużytkować go do zbudowania statku międzyplanetarnego.

- Pański stryj Edwin, dr Norski i ja stanowimy więc dobrą trójkę, - zaśmiał się Hobbs. Trójkę naszą rozszerzy świat, w którym dotąd jak wiewiórka w swojej klatce obracała się ludzkość. Czy jednak zdecyduje się pan wziąć udział w naszej ekspedycji? Uważam za swój obowiązek uprzedzić pana, że będzie ona dość ryzykowna...

- To mnie właśnie najbardziej do niej zachęca, - rzekł młody astronom z uśmiechem. - Mam we krwi coś, co mi każe szukać przygod, jestem po trochu awanturnikiem. Przekonacie się niebawem, że od takich jak ja, aż się roi w naszych Stanach. Ludzie mają powyżej uszu nudnego standaryzowanego życia jakże im pedzić tą zmaterializowaną cywilizacją.

- Zna pan, jak widzę Amerykanów, - rzekł Hobbs. - Oto cała plika listów od ludzi nie posiadających miliona dolarów na wpłacenie udziału lecz ofiarujących swój czas, a nawet życie byleby tylko mogli nam towarzyszyć w tej karkołomnej wyprawie w dalekie światy. Takich zapalcenców zgłosiło się do nas stu z okładem. Niestety, możemy tylko przyjmować milionerów...

- Nie jestem nim, niestety - rzekł żalonym Harting.

- Ach, pan jest astronomem, będzie pan kapitanem naszego statku. Pańska wiedza jest dla nas nieoceniona, warta nie jeden, ale kilka milionów. Czyż bez pana osmielilibyśmy się poszybować w przestrzeń międzyplanetarną? Angażujemy pana na naszego pilota z pensją...

- Nie idzie mi bynajmniej o wynagrodzenie - odparł nieco urażony astronom. - Jestem delegatem naszego sławnego obserwatorium, które mi płaci wprawdzie niewiele, ale to mi wystarcza. Przyjmuje więc stanowisko kapitana naszego statku, całkiem bezinteresownie dla dobra królowej nauk jak nazywają niektórzy astronomie.

Tak więc nasi dwaj przyjaciele odnaleźli w osobie Hartinga pozadanego kierownika pierwszej od początku świata wyprawy w przestworza międzygwiazdowe.

Astronom obiecal asystowac i sluzyc rada swym dwom kolegom.

-Chce tylko wiedziec, czy udamy sie na Marsa, czy na jaka inna planete, - rzekl przed opuszczeniem biura.

-Cel naszej podrozy nie jest jeszcze ustalony - odparl Hobbs, - wedlug mnie nalezaloby pierwsza wizyte zlozyc nie Marsjanom, ale blizszym Ziemi mieszkancom Wenery - Gwiazdy Porannej. Ma ona, jak widac nieprzenikliwa dla naszego wzroku atmosfere, w ktorej unosza sie geste chmury. Jest wiec tam powietrze i woda, no i cieplej nizeli u nas. Mozna przeto domyslac sie, iz zycie organiczne bujnie sie rozplenilo w tak przychylnych warunkach.

-A szkoda, ze nie szybujemy na Marsa, z ktorym moj stryj zdolal juz zadzierzgnac pierwsze nici porozumienia, ale niech tam, pojade z wami chetnie i na Wenere, ba, nawet na Merkurego, o ile sie nie pokaze, ze mozna sie tam zywcm upiec.

Rozstano sie z astronomem, otrzymawszy oden obietnice, ze bedzie stale dozoruwal budowy statku miedzyplanetarnego i dawal niezbedne wskazowki Hobbsowi w sporzadzaniu ostatecznych planow.

Zawiadomiono go, ze zebrany dotad kapital pozwala przystapic niezwlocznie do realnej pracy. Inzynier obliczal, ze jego rakietka bedzie gotowa za kilka miesiecy.

Tak wiec polozono pierwsze cegly pod fundament tego dzieła, majacego skierowac na nowe tory bieg cywilizacji.

## Rozdzial V

Chcemy jechac w podroz poslubna

Inzynier Hobbs z najwyzsza pasja wzial sie do budowy statku powietrznego. Zwalczal energicznie i umiejetnie pietrzace sie przed nim przeszkody i trudnosci. Zwazywszy, ze rakietka miala sie poruszac jakby w prozni barometrycznej, gdzie daremnie szukalbys sladu powietrza do oddychania, nalezalo przy pomocy bardzo skomplikowanych procesow chemicznych nie tylko odnawiac zapas zuzywanego tlenu, ale takze pozbywac sie dwutlenku wegla, wydzielanego przez podroznych. Ten ostatni rozkladany z powrotem na wegiel i na tlen mial podtrzymywac zycie pasazerow rakietki, ktorzy inaczej szybko by sie podusili. Nalezalo takze pomyslec o wodzie. Zapas jej nie mogl byc w drodze odnowiony, przeto spozycie jej musialoby byc ograniczone. Ale Hobbs umial sobie doskonale poradzic z tymi wszystkimi trudnosciami pracujac niezmiernie. W pare miesiecy po eksperymencie z probna rakietka mial on juz szczegolowy plan swojego statku niebieskiego, jak sie zwykle wyrazal. Czesci skladowe zamawial w roznych fabrykach. Kiedy beda one dostarczone, calosc zostanie zmontowana w przeciagu paru tygodni czasu.

Ze swej strony dr Norski przygotowal w swoim laboratorium zapas metauranu, niezbedny do odbycia podrozy w dalekie swiaty. Zapas ten jednak byl zdumiewajaco mialy w porownaniu do zapasu benzyny T np. gdyby rakietka byla popedzana zwyklym silnikiem lotniczym. Waga jego wynosila zaledwie kilka kilogramow i ta drobna ilosc, wedlug obliczen naszego chemika, pozwolilaby statkowi dokonac nie jednej, ale paru nawet podrozy na najblizsze planety.

Obliczono, ze jesli wplynie potrzebny na budowe rakietki kapital, to bedzie ona gotowa juz za dwa miesiace.

Lecz nastreczala sie po temu pewna trudnosc. Wprawdzie amatorowie podrozy w podniebne szlaki zgłaszali sie ciagle ofiarujac swe uslugi w charakterze mechanikow, kucharzy, pokojowek itp. lecz milionerow bylo miedzy nimi niestety za malo.

Zebrano juz dwadziescia milionow dolarow, co starczylo na zadatki dla fabrykantow, wykonujacych czesci skladowe rakietki i bardzo kosztowna a roznoraka aparature wewnetrzna - lecz brakujace udzialy stanowily wielka troske Hobbsa.

Nie zaniedbywal on zadnych srodkow mogacych pokryc spodziewany deficyt, nie zalowal subwencji dla dziennikow na reklame swego oryginalnego przedsiwzięcia, ale potrzebni milionerzy nie zjawiali sie a drogi czas uplywal.

Totez nasi wspolnicy uradowali sie niezmiernie, kiedy pewnego popoludnia przed Biurem Podrozy Miedzyplanetarnych zatrzymala sie wspaniala limuzyna i wysiadla z niej bardzo interesujaca para.

Ona zarekomendowala sie przez szofera, czarnego jak heban murzyna, jako Miss Arabella Carnegie, on zas jako margrabia wloski Gwido Ramini. Byl to pelnymi uwielbienia spojrzzeniami, kiedy oboje usiedli sliczny jak cherubin mlodzian, liczacy najwyzej 22 lata. Prawdziwy arystokrata o nieskazitelnych manierach w obejsciu i wprost fascynujacy swoja uroda; od razu mozna bylo zauwazyc, ze miss Arabella jest w nim zakochana bez pamieci. Obrzucala go bowiem na podsunietych im klubowych fotelach.

-Czym moze panstwu sluzyc? - zagadnal z wyszukana uprzejmoscia Hobbs.

Margrabia włoski, ktorego na pierwszy rzut oka mozna by wziac za lowce posagowego milczal, jakby dajac pierwsze slowo pieknej pannie. Dopiero miss Arabella rumieniac sie zaczela z pewnym wahaniem:

-Jestesmy narzeczeni - rzekla w koncu. - Pragnelibysmy pobrac sie, ale...

-Czyzby rodzicie? - zagadnal Norski chcac przerwac chwilowe milczenie zaklopotanej piekności.

-O, nie, jestem niestety sierota, moi rodzice niedawno umarli pozostawiajac mi znaczny majatek. Jestem wiec samodzielna, nie potrzebuje pytac o zdanie co do moich postanowien. Nie potrzebuje tez taic przed panami, iz zywie gorace uczucia dla mojego narzeczonego, ale wlasnie dlatego chcialabym, zeby on stal sie glosnym, zeby o nim pisano w gazetach, zeby odznaczyl sie jakimś niezwykle czynem. Zdaje mi sie, ze udzial w waszej oryginalnej podrozy...

-Niewatpliwie, miss - odparl z udanym zachwytem Hobbs. - Nazwiska takich ludzi, ktorzy pierwsi odbeda podroz miedzyplanetarna beda zapisane po wieczne czasy na kartach historii. Ich potomstwo, tak jak potomstwo pasazerow slawnego okretu Mays-Flower, stworzy rodzaj nowej arystokracji...

-I ja tak wlasnie sadze, panie inzynierze Hobbs, wy wszyscy bedziecie takimi pionierami jak podrozni w Mays-Flower... Ludzkosc, jak sadze, wzniesie wam kiedyś zasluzony pomnik...

-Na ktorym bedzie figurowalo i nazwisko pani przyszlego meza...

-Nie powinni go chyba pominac. Otoz posiadam dosc duzy majatek, azeby pokryc chocby wszystkie koszty podrozy tej wyprawy w inne swiaty. Stawiam jednak warunek, ze pojedziemy oboje. Nigdy nie opuscilabym mojego meza w niebezpieczenstwie, a przypuszczam, ze taka podroz w nieznanne...

-Och, nie nalezy przesadzac - zywo przerwa! Hobbs, weszacy juz brakujace mu miliony. - Bedzie to cos podobnego do podrozy lodzia podwodna albo zeppelinem...

-Podczas wojny... - przerwala piekna Amerykanka.

-Nie lekam sie zadnych niebezpieczenstw - wtracil melodyjnym glosem "cherubin".

-Wiem o tym - zawolala Arabella - byles zawsze odwazmy do szalenstwa. Ale musze ci towarzyszyc, bedzie to - dodala przybierajac marzycielski nastroj - jedyna w swoim rodzaju podroz poslubna. Zadna z moich poprzedniczek nie odbywala takiej...

-Niewatpliwie - zawolal Norski, ktorego proznosc milionerki zaczela bawic. - Wszystkie narzeczone w Stanach beda pani zazdroscily.

-To mnie wlasnie bardziej jeszcze zacheca do odbycia tej wycieczki... Ale prosze powiedziec mi otwarcie, czy mamy jakies szanse powrocic calo i zdrowo na ziemie, nie chcialabym bowiem osiedlic sie na stale na jakiejś innej planecie, nie wiem bowiem czy tamtejszy klimat, tamtejsza kultura nie roznia sie zbyt znacznie od warunkow w jakich, tu zyjemy.

-Niestety, co do tego nie mozemy panstwu dac zadnej gwarancji. Moze sie okazac, ze na Wenerze, dokad sie najprzod wybierzemy, jest stokroc piekniej niz na kuli ziemskiej, ale moze tez zdarzyc sie, ze tamtejsza atmosfera jest za gesta, zbyt uboga w tlen, ze temperatura bedzie tam dla nas, ludzi, za wysoka... ze istoty zamieszkujace nasza sasiadke roznia sie mocno od nas i od naszej ziemskiej fauny...

-Tym lepiej - zawolal Gwido - pobyt na naszej planecie, tak juz dobrze znanej ziemi zaczyna...

-Byc nudny, chciales powiedziec kochanie? Masz najzupelniejsza slusznosc. Przyznaje, ze nie ma tak dalece co tu robic - wszystko jest takie powszednie... Przyznaje, ze mi potrzeba nowych, silnych wrazen, mam nieco stepione nerwy - mowila miss Arabella, lekko ziewajac. - Wlasciwie jedna tylko milosc... - tu piekna panna obrzucila swego narzeczonego pelnym zachwytu spojrzaniem.

-Myslisz zupelnie jak i ja - rzekl przymilnie margrabia.

-A teraz - mowila dalej nieco podniecona miss Arabella. - prosimy o przyjecie nas na poklad waszego niebianskiego Mays-Flower. Gotowa jestem wpalic dwa udzialy za siebie i za Gwidona, ale stawiam pewne warunki. Musze miec osobny maly apartamencik na naszej rakiecie, dwie kabiny, lazienke, bez tego nie potrafilabym sie obejsc doprawdy, no i moznosc zabrania pokojowki. Jezeli mozna to i kucharza, bo zaopatrzmy statek w prowiant wystarczajacy dla calej zalogi...

Inzynier Hobbs zrobil zafrasowana mine.

-To będzie bardzo trudne do spełnienia - rzekł po chwili rozważli.

-Dlaczego? - zapytała miss Arabella.

-Gdyż liczba pasażerów będzie ściśle ograniczona. Pragniemy mieć na pokładzie jedynie użytecznych członków. Pokojowka i kucharz... hm...

-Przecież i my oboje możemy się na coś przydać, skończyłam kolegium medyczne, mam dyplom... - mówiła z odzieniem dumy panna, - Gwido zaś jest wyborowym strzelcem i kieruje wspaniałym samochodem.

Norski zaśmiał się przyjaźnie.

-Ach, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Pani będzie czuwała nad naszym zdrowiem, narzeczony pani zaś będzie nas bronił przed napastą jakichś brontozuarów czy innych smoków, które być może napotkamy tam.

-Doskonale - dodał Hobbs. - Jeżeli więc zgodzi się pani wpłacić jeszcze dwa inne udziały za pokojówkę i kucharza... a, także ponieść koszty dodatkowe urządzenia oddzielnego apartamentu...

-Ile wyniosłyby w przybliżeniu te koszty?

-Jakiś milion. Miejsca bowiem na naszym statku jest bardzo mało, szanowna pani. Każdy metr przestrzeni ma wielkie tuż znaczenie. Ogólna bowiem wyporność rakiety będzie wynosiła zaledwie trzysta ton.

-Tak nam będzie ciasno? - skrzywiła się Arabella.

-To trudno, wytrzymamy chyba - rzucił Gwido.

-A jak długo potrwa sama podróż na Wenerę?

-To zależy - wtrącił astronom. - Gdybyśmy wybrali do startu chwilę, kiedy planeta jest z Ziemi widzialna, to znaczy znajduje się po tej samej stronie Słońca, co glob ziemski, to posuwając się z astronomiczną szybkością...

-A jakże to jest ta szybkość? - zapytała zaciekawiona Arabella.

-Mniej więcej taka, z jaką my sami szybujemy w przestworzach. W naszej drodze dookoła Słońca wynosi ona w przybliżeniu około 20 km na sekundę... zależnie od zmieniającej się ciągle odległości Ziemi od Słońca.

-Ależ, jak mnie uczono na pensji, odległość ta wynosi 150 mil. km.

-Tak, lecz nasza planeta obraca się nie po kole lecz po elipsie.

-Prawda, prawda, zapomniałam o tym - zawołała nieco zmieszana panna - chce tylko wiedzieć z jaką szybkością nasz statek będzie szybował ku Wenerze.

-Będzie to od nas samych zależało. Skoro tylko znajdziemy się w przestrzeni międzyplanetarnej, możemy dowolnie regulować naszą szybkość, albowiem dzięki naszym silnikom nie jesteśmy bezwładną i bezwładną masą tak jak planety i inne ciała wirujące dookoła swych Słońc.

-No dobrze, rozumiem to, idzie mi jednak o bardzo ważne dla mnie pytanie, jak długo potrwa nasza Podróż na Wenerę?

-Niestety, nie mogę pani dać dokładnej odpowiedzi na to interesujące nas wszystkich pytanie, w każdym razie nie będzie to krótka przejażdżka. Obliczam ją w przybliżeniu na jakieś tysiąc godzin.

-Boże! to więcej niż 40 dni. Spędzimy zatem nasz miesiąc miodowy w przestworzach niebieskich, a ja myślałam, że na tej Wenerze?

-Nie możemy pani obiecać, że prędzej tam dotrzemy - tłumaczył z lekkim uśmiechem astronom. Musi się pani także przygotować na to, że będzie pani podróżowała w zupełnie odmiennych warunkach aniżeli te, jakie panują w śpiączce albo w samolocie.

-Przypuszczam, że uczynisz najdroższą wszystko, co leży w twojej mocy, żeby nie potrzebował czekać zbyt długo - rzekł włoski margrabia z przyjaznym uśmiechem.

-To znaczy, żeby nie była sknera? Czy tak kochaneczku? Nie lekaj się, nie pozwalaj grosza byle zostać jak najprędzej

twoja malzonka, margrabina Ramini. Ale, ale, niech mi pian inzynier pozwoli przejrzec plan tej podniebnej rakiety, ktora moze stac sie nasza trumna...

-Coz za straszne mysli - oburzyl sie cherubin... - Nie jestem pesymista, droga Arabello, podroz nasza odbedzie sie bez wypadku. Na Wenerze, ktora jest boginia milosci spedzimy kilka miesiecy, jak w jakim rajy i wrocimy szcieszliwie do domu...

-Do naszego domu - rzekla z rozrzewnieniem miss Arabella. - Mam nadzieje, ze wykoncza go do naszego przyjazdu.

Nasi wspolnicy sluchajac tej pary zakochanych nie mogli powstrzymac smiechu. Wydala im sie wszystkim bardzo sympatyczna w swej niemal dzieciacej naiwnosci.

Miss Arabella po krotkim namysle podpisala trzy udzialy i procz tego pozostawila czek bankowy na znaczna sume, ktora inzynier Hobbs mial uzyc na urzadzenie apartamenciku dla nowozencow.

Kiedy piekna para wsiadla do swej limuzyny, inzynier i jego wspolnicy odetchneli.

Dzieki tej niespodziewanej wizycie milionerka chorujacej na milosc i oryginalnosc mieli zapewniony niemal caly kapital, potrzebny do zbudowania rakiety miedzyplanetarnej. Brakowalo tylko dwoch milionow.

Hobbs lamal sobie glowe skad je "wytrzasnac".

## Rozdzial VI

### Nieoczekiwani towarzysze podrozy

Prace nad budowa rakiety miedzyplanetarnej szybko posuwaly sie naprzod dzieki przyplywowi materialnych srodkow i energii.

W hangarach przeznaczonych specjalnie dla Tow. Podrozy Miedzyplanetarnych, na jednym z najlepiej urzadzonych lotnisk w poblizu Nowego-Yorku, pracowano z zapalem. Wtajemniczeni, bo tylko takim dostep do montowni byl dozwolony, mogli juz ogladac szkielec stalowy rakiety, mierzacy kilkadziesiat yardow\* dlugosci przy srednicy osmiu. Z tego Latwo bylo zorientowac sie, ze rozmiary statku niebieskiego byly znaczne nawet w porownaniu do pachtow sportowych. Wynosily one w przyblizeniu 2400 yardow szesciennych. Rakieta miala wiec wypornosc sporego okretu morskiego.

Miss Arabella, ktorej urzadzano osobny apartamencik we wnetrzu statku, majacego uniesc ja w niebianskie strefy, byla zadowolona. Narzekala tylko, ze nie bedzie, mogla kapac sie codziennie w srebrnej wannie, gdyz ograniczony zapas wody nie pozwalal na taka rozrzutnosc. Znosila ciagle jakies drobiazgi, ktore "musiala" ze soba zabrac w te podroz, glownie przybory toaletowe i wyszukana, ostatniej mody garderobe. Piekna milionerka widocznie dbala o to, zeby wywierac nieslabnace wrazenia estetyczne na swoim cherubinku, ktory interesowal sie narzedziami sportowymi. Zakupil nie tylko sztucery myśliwskie i odpowiedni zapas amunicji, ale nawet narty, chociaz Harting zapewnial, ze na Wenerze prawdopodobnie nie znajdzie ani szczypty sniegu, gdyz tamtejszy klimat jest dwa razy gorętszy od ziemskiego.

Ale wszyscy polubili tego milego chlopca, pelnego taktu i uprzejmosci. Lubil on gawedzic z astronomem i czerpac oden wiadomosci, dotyczace planety Wenus. Zmartwil sie nieborak, kiedy Harting wyznal otwarcie, ze astrofizycy, biadajacy warunki fizyczne panujace na roznych cialach niebieskich, nic pewnego nie wiedza o tej najblizszej sasiadce Ziemi. Zdolano tylko stwierdzic, ze posiada ona bardzo gesta atmosfere, w ktorej unosza sie obloki odbijajace tak silnie swiatlo sloneczne, jak swiezo spadly snieg. Przeszkadzaja one w dostrzeganiu jakichkolwiek szczegolow na powierzchni. Nie wiemy wiec, czy Wenus obraca sie dookola swej osi podobnie jak Ziemia w ciagu jakichs 24 godzin, czy tez jak Ksiezyc i Merkury zwraca ku sloncu stale jedna tylko swoja polkule. Nie podobna tez powiedziec, czy posiada ona ludy i oceany, co jednak jest bardzo prawdopodobne. Harting jednak powiedzial w sekrecie Gwidonowi, ze przy pomocy radaru spodziewa sie przeniknac zaslonie chmurna i poznac nieco blizej konfiguracje powierzchni Wenery.

Objasnil on margrabiemu, ze fale elektromagnetyczne przenikaja poprzez obloki, czy to w dzien czy tez w nocy odbijaja sie od ladow, sa zas pochlaniane przez morza, wracajac do punktu wyjscia daja obraz powierzchni dostatecznie dokladny, azeby sie w nim zorientowac. Podczas ostatniej wojny radar, umieszczony na bombowcach, umozliwial celne obrzucanie, pociskami upatrzone objekty.

Ale Harting musial czekac az rakieta zblizy sie do celu swej podrozy na kilkaset kilometrow odleglosci.

Pewnego dnia, kiedy Hobbs oddawal sie mozolnym obliczeniom w swoim biurze, wozny zameldowal dwoch panow, ktorzy maja do zakomunikowania wazne wiadomosci. Inzynier przeczuwal, ze go spotka cos nieprzyjemnego i nie mylil sie.

Jeden z przybylych byl to dosc otyly jegomosc w mundurze pulkownika, zarekomendowal sie lakonicznie "nazywam sie

William Croops, przychodzi z ramienia sztabu głównego, a oto mój towarzysz Hipping, jest delegatem naszego Ministerstwa Kolonii".

-Bardzo mi przyjemnie - odparł inżynier. - Jestem do usług panów i ich urzędników, pragnąłbym wiedzieć co sprowadza panów do naszego Biura Podroży Międzyplanetarnych.

Nowoprzybyli zająwszy wskazane im miejsca od razu przystąpili do wyjaśnienia celu swej wizyty.

-Wie pan zapewne, że nie kto inny, ale właśnie armia Stanów Zjednoczonych zapoczątkowała komunikację międzyplanetarną, wypuściliśmy próbną rakietę na księżyc, która jak powszechnie wiadomo, osiągnęła swój cel i za pośrednictwem swoich stacji nadawczych "księżyc" przesłała nam garść wiadomości o satelicie ziemi.

-Przyzna pan, że to był wielki krok naprzód Armia Stanów postanowiła w mojej osobie wziąć udział w projektowanej wyprawie na Wenerę. Jestem upoważniony przez moje władze do podpisania udziałów, jednego za siebie, drugiego za towarzysza. Prezydent wniosł na kongres wniosek utworzenia Ministerstwa Kolonii.

-Ależ, o ile sobie przypominam, Stany Zjednoczone nie posiadają żadnych kolonii. "Wyspy Filipińskie uzyskały niepodległość... Archipeląg Hawajski jest jednym ze Stanów Unii, nie rozumiem przeto...

-Tak - odrzekł pułkownik, - nasz kraj nie posiada kolonii, ale pragnie je uzyskać, bo są niezbędne dla jego ekspansji przemysłowej. Jeżeli się okazało, że na planecie Wenus istnieją obszary nadające się do celów kolonizacji, to niezwłocznie obejmujemy je w posiadanie. Tak więc pańska wyprawa nabiera powagi i staje się na wpol urzędowa.

Pułkownik oczekiwał zapewne, że Hobbs okaze zadowolenie z takiego obrotu sprawy, lecz nasz wynalazca zrobił dość kwaśną minę.

-Bardzo się ciesze, że rząd traktuje poważnie nasze przedsięwzięcie, już Ministerstwo Komunikacji wydelegowało swojego przedstawiciela na pokład naszego międzyplanetarnego statku, mamy jednak prywatną koncesję...

-Interes państwowy gorzej nad interesami prywatnych jednostek - wtracił Hipping.

-Ale inicjatywa prywatna zawsze odgrywała rolę pionierską, jak tego dowodzi historia Stanów.

-Zapewne - mruknął pułkownik, - jednakże nasza rakietę wysłana na księżyc w r. 48...

-Nosze się z moimi projektami od dawna... - mówił zdenerwowany inżynier.

-Ach, kochany inżynierze, nie będziemy się sprzeczać o to kto pierwszy powziął takie plany. Sadzę, że są one stare jak świat, ale nie chodzi o to. Wracajmy jednak do naszej sprawy. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żeby przedstawiciele rządu Stanów wzięli udział w tej pierwszej wyprawie na inne planety naszego systemu słonecznego?

-Ależ bynajmniej, jestem niezmiernie rad - zapewniał bez entuzjazmu inżynier. - Nie zwracałem się dotąd o subsydia rządowe, zdobyłem niezbędne na wyprawę fundusze z rak ludzi, którzy interesują się tym doniosłym przedsięwzięciem. Obecnie mamy już dość.

-Armia jednak wpłaci milion...

-Ministerstwo Kolonii także - dodał Hipping. Pułkownik wyjął z portfela czek, na którym widniała jedynka z sześciu zerami. To samo uczynił Hipping.

Hobbs chcąc nie chcąc przyjął nowe dwa udziały. Wolałby się bez nich obejść, ale nie widział sposobu wycofania się z tej propozycji, która, jak się obawiał, skrepuje mu ręce.

Jednak fakt, że sfery urzędowe tak poważnie traktują jego przedsięwzięcie, nieco mu pochwębiał. Sprawa nabierała doniosłego znaczenia skoro sam Prezydent Stanów...

Dwaj delegaci podpisali przedłożony im papier, otrzymali pokwitowanie, udali się z Hobbsem do montowni, obejrżeli to, co się już zmieniło w czyn, uważnie zbadali projekt, po czym oddalili się.

Teraz dopiero inżynier uprzytomnił sobie co się stało.

Wyprawa na inną planetę z eksperymentu naukowego stała się poważnym przedsięwzięciem, które musiało obiecywać różnorakie korzyści, skoro nie tylko kopacze złota, ale sam rząd Stanów pragnie wziąć w nim czynny udział. Można było

narazic się na pewne przykrości, lecz w gruncie rzeczy napelniało to serce Hobbsa otucha.

Teraz wszelkie materialne kłopoty spadły mu z głowy. Mogł z całą energią brać się do wykonczenia swojego statku międzyplanetarnego.

## Rozdział VII

### Ziszczone marzenia

W poł roku po wizycie przedstawicieli rządu w montowni, inżynier Hobbs ujrzal swoje marzenia wcielone w rzeczywistość; jego statek międzyplanetarny był gotowy. Była to najpiękniejsza chwila w jego życiu.

Olbrzymi walec, zaostzony na koncu jak pocisk jakiegoś gigantycznego dział, pokryty warstwą czarnego werniksu, dobrze pochłaniającego ciepło słoneczne, leżał na lotnisku.

Fakt ten stał się niebawem, dzięki usłużności dzienników, wiadomy całemu cywilizowanemu światu. W wyznaczonym dniu na lotnisku zgromadziły się liczne tłumy ciekawie ujrzec to cudo mechaniki, przeznaczone do skomunikowania osamotnionej ludzkości z mieszkańcami sąsiednich planet układu słonecznego.

Nie wszyscy jednak byli dopuszczeni do obejrzenia wnętrza tego cudownego wehikulu, który niebawem miał poszybować w dalekie nieznanne światy. Zaszczycu tego dostąpiło jedynie szczupłe grono wytrawnych uczonych, wybitnych dziennikarzy, przedstawicieli rządu i elita społeczeństwa nowojorskiego. Przybyło na tę sensacyjną uroczystość kilkunastu korespondentów cudzoziemskich agencji telegraficznych, ażeby donieść cywilizowanemu światu, że wehikul poruszany energią atomową stał się faktem, że każdy mógłby go oglądać o ile naturalnie uzyskałby bilet wejścia na lotnisko, a raczej do montowni Hobbsa. O ten przywilej dobijało się mnóstwo ludzi, ofiarowano za bilet po kilkaset dolarów, lecz inżynier obawiał się zbyt licznych gości. Nie potrzebujemy chyba nadmieniac, że uczestnicy wyprawy w dalekie światy znajdowali się w zastępie szczęśliwców do obejrzenia wnętrza rakiety międzyplanetarnej. Powszechną uwagę zwracała miss Arabella i jej piękny narzeczony. Rzucano ciekawe spojrzenia na kobietę, która miała odbyć pierwszą podróż międzyplanetarna. Podziwiano nie tylko jej piękność, nie tylko wspaniałą toaletę w jakiej przybyła na lotnisko, ale, i to głównie, jej niesłychaną odwagę.

Milionerka miała teraz przedsmak sensacji, które na nią oczekiwały.

Świadomość tego przejmowała ją dreszczem rozkosznym. Skoro tylko uda się jej wrócić na Ziemię cały świat będzie się nią zajmował.

Małymi grupkami po kilkanastu osob wpuszczano przybyłych do wnętrza. Inżynier nie wiadomo już ile razy powtarzał swoje objaśnienia, dotyczące różnych urządzeń swego statku.

Z tyłu rakiety, a także w przedniej jej części znajdowały się dysze silnika odrzutowego. Były to stożkowate rury o średnicy kilkudziesięciu cm, które tworzyły razem szesciopromienna gwiazdę, działały parami położonymi symetrycznie naprzeciw siebie. Do dyszy wprowadzano automatycznie drobne ilości metauranu i wywoływano eksplozję, która dawała odrzut tak potężny, że rakieta jak gdyby pchnięta reka olbrzyma wykonywała skoki naprzód.

Tyłna część silnika służyła do napędu naprzód przednia zaś do hamowania.

Boczne dysze miały utrzymywać statek w pozadanej pozycji prostopadłej do kierunku w jakim działała siła ciężkości; inaczej statek mógłby przyjąć pozycję niewygodną dla podróżnych.

Inżynier pokazał olowiane naczynie, zawierające kilka funtów metauranu zapewniając, że zapas ten wystarczy na odbycie podróży nawet na Jowisza i do powrotu na Ziemię. Przy każdej eksplozji powstawała w dyszy nadzwyczaj wysoka temperatura, dlatego też dysze działały parami po dwie na raz. Pozwalało to ogniotrwałemu materiałowi, użytemu na nie, ostudzić się, czemu sprzyjał fakt, że w przestrzeni międzyplanetarnej panowało straszliwe zimno sięgające stu osiemdziesięciu stopni C.

Ciepło rozgrzanych wybuchami dysz służyć miało do ogrzewania wnętrza statku za pośrednictwem systemu rur metalowych.

Gruba na parę cm ściana odgradzała pracujące silniki od pomieszczeń dla podróżnych, ażeby ustrzec ich od śmiertelnego działania na organizmy żywe promieni gamma.

Kuchnia znajdowała się z tyłu statku w pobliżu potrzebnego źródła ciepła. Próby ustaliły, że w rakiecie będzie panowała dostateczna temperatura, pozwalająca zniesć okropny mroz, panujący w przestrzeniach międzyplanetarnych.



Dwa stalowe zbiorniki w kształcie rur, przymocowane do boków rakiety mieściły zapas ciekłego powietrza a raczej czystego tlenu, który miał służyć do oddychania załozce. Wystarczyło go mieć na parę miesięcy, lecz Norski w razie potrzeby mógł chemicznie regenerować wydzielany przez płuca dwutlenek węgla i otrzymywać na powrót tlen zużyty.

Wzdłuż rakiety biegł wąski korytarz, po każdej jego stronie mieściły się ciasne pokoiki dla podróżnych. Miss Arabella pokazywała z dumą swoje dwie miniaturowe kabiny: gabinet i sypialnię, urządzone z wyszukaniem przepychem. Miała tu zamieszkać ze swym przyszłym mężem. W przeciwieństwie do tego rozkosznego gniazdka inne kabiny były pozbawione mebli. Załoga miała sypiać na małych tapczanach. Hobbs załował miejsca na niepotrzebne według niego graty, ażeby móc zabrać niezliczone przyrządy, niezbędne do przeprowadzenia obserwacji naukowych.

Delegat uniwersytetu Kolumbii sprowadził istny bazar aparatów do badania składu atmosfery ziemskiej na wysokości kilkuset km od powierzchni, promieni kosmicznych, millikana, magnetyzmu itp.

Wnętrze rakiety wyglądało jak jakiś gabinet fizyczny, niewtajemniczonym trudno było orientować się co do przeznaczenia różnorodnych aparatów, zajmujących przednią część rakiety. Była tam zwierciadlana szyba chroniona przez grubą pancierz. Odsłaniając ten ostatni można było obserwować przez silną lunetę przestworza niebieskie, a nawet użytkować radar, z którego spodziewano się osiągnąć wielkie korzyści.

Różnorakie narzędzia, zapasy dopełniały ekwipunku rakiety. Hobbs przewidujący wszelkie ewentualności musiał spośród ochotników nie posiadających miliona dolarów, ale pragnących wziąć udział w wyprawie przyjąć na pokład swego niebieskiego statku paru zdolnych mechaników, obznajmionych z najróżnorodniejszymi czynnościami.

Z tymi członkami załogi zapoznamy się nieco później. Powiemy tylko, że w sumie liczyła ona 15 osób. Zabrana żywność i napoje miały starczyć według obliczeń inżyniera na pięć miesięcy.

Bardzo ważnym dodatkiem w dziedzinie konstrukcji mechanicznej statku były duże powierzchnie skrzydła, umieszczone po obu stronach rakiety, które w atmosferze ziemskiej miały działać jak przy zwykłym samolocie, ażeby stopniowo nabierać szybkości niezbędnej do oderwania się od ziemi. Gdyby chcieli uzyskać ją od razu, rakietą skutkiem silnego tarcia o gęstą atmosferę rozpaliliby się jak meteor do czerwoności, a może nawet zamieniłaby się w gaz ze wszystkim, co się w niej mieściło.

Dzięki skrzydłom mogła bezpiecznie lądować na innej planecie, posiadającej własną atmosferę, której są pozbawione mniejsze ciała niebieskie, gdyż ich masa nie wywiera dostatecznej siły przyciągającej dla utrzymania na nich cząsteczek gazów, mających znaczną szybkość. Dla tej zapewne przyczyny Księżyc jest jej pozbawiony.

Ci, którym nie było dane oglądać rakiety w naturze, musieli się zadowolić opisami umieszczonymi w dziennikach i dołączonymi do nich fotografiami. W ciągu paru dni prasa całego świata zajmowała się statkiem międzyplanetarnym, który niebawem miał poszybować w dalekie światy. Podczas gdy niedawno projekty Hobbsa wyszydzano złośliwie, obecnie entuzjastowano się nimi.

Inżynier z błagania, maniaka awansował w opinii publicznej na bohatera, geniusza. Tłum zawsze i wszędzie ma jedną psychologię, która tak idealnie scharakteryzował Tandem.

Po tych pokazach ostrożny Hobbs zwołał rzeczoznawców i prosił ich o krytyczną ocenę swego wiekopomnego dzieła. Specjaliści mechanicy i astronomowie fizycy, wreszcie koledzy Norskiego w dziedzinie badań energii atomowej dali konstruktorowi rakiety kilka cennych dla niego rad, z których nie omieszkali skorzystać. Poprawki zajęły kilka tygodni czasu, po czym nic już nie stało na przeszkodzie wyznaczenia daty startu.

Inżynier nie chcąc lekkomyślnie narazić życia własnego i towarzyszy postanowił przedsięwziąć uprzednio "wycieczkę" na Księżyc. Statek międzyplanetarny miał w niej złożyć niejako egzamin swych zdolności do odleglejszych podróży.

W tej próbie nie wzięli jednak udziału podróżni lecz jedynie techniczna obsada z Norskim i Hobbsem na czele.

Rakietą wytoczoną na obszerne lotnisko nabrała dzięki swym skrzydłom rozpędu i po kilkunastu zaledwie sekundach wzniosła się pomimo swego ciężaru i znacznych rozmiarów lekko w powietrze i wnet zniknęła w obłokach, zegnana entuzjastycznymi okrzykami świadków tego startu.

Z najwyższym napięciem oczekiwano jej powrotu z tej wycieczki na najbliższego sąsiada Ziemi. Nie upłynęło więcej aniżeli 3 doby kiedy na jedno z lotnisk na zachodzie Stanów dano znać o wylądowaniu rakiety. Nie opuściła się ona, jak się spodziewano na powierzchnię naszego satelity. Zadowolono się okrzykiem go i porobieniem zdjęć fotograficznych, niewidzialnej z naszego globu polkuli, stała bowiem od niej odwróconej. Zdjęcia te, które niebawem w reprodukcjach ukazały się w czasopiśmie, wzbudziły powszechne zainteresowanie i wypełniły luki dotkliwą w badaniach tego ciała niebieskiego.

Rakieta Hobbsa zdala tedy egzamin dojrzalosci. Nikt nie watpil, ze zdolna jest poszybowac w dalekie swiaty.

## Rozdzial VIII

W ktorym miss Arabella zaslubia swego "cherubina"

Wszyscy bogacze z Wall Street, ktorzy bywali w palacu zgaslych Carnegie'ch znali doskonale miss Arabelle, piekne dziewczce osiemnastoletnie, z jej dziwacznych kaprysow i nieobliczalnych postepkow - wyrobila ona w sobie w opinii nowojorczykow niejako patent na oryginalnosc i rozne dziwactwa. Kiedy rodzice osierocili jedynaczke pozostawiajac jej sto milionow dolarow w bankach i drugie tyle w akcjach naftowych, miss Arabella zaczela prowadzic drugie zycie wedlug wlasnych upodoban. Sprawila sobie wspniany samolot na dwadziescia osob, zabierala nan grono najblizszych przyjaciol i pod pozorem zazywania kapieli slonecznych na wysokosci kilku tysiecy metrow, gdzie, jak twierdzila, promienie ultrafioletowe najsilniej dzialaja, urzadzala w arcylekkich kostiumach kapielowych pikniki podobloczne. Rzeka szampana najlepszej marki wprawiala w zachwyttowarzystwo dobrane sposrod najpiekniejszych kobiet i chlopcow, upojone nie tylko trunkiem ale i widokiem cial, ktore Fidiasz chetnie by uwiecznil swym boskim dlutem, rozluznialo krepujace je na ziemi wezly konwenansow. Byla to zabawa rownie oryginalna jak podniecajaca. Miss Arabella wiedziala doskonale, ze moglaby sie niemal rownac swymi fizycznymi wdziakami z sama Afrodyta, wystawiala je w samolocie niejako na widok publiczny. Byla nieco znudzona. Bogactwo, przepych, zbytek, do ktorego przywykla od dzieciinstwa spowszednialy jej; szukala chciwie nowych a silnych wrazen, nade wszystko pragnela gwaltownej milosci, ktora nazywala "sloncem zycia".

Spomiedzy calego zastepu swych wielbicieli serce jej wybralo wreszcie Gwidona Ramini, bogatego arystokrate wloskiego, ktorego w zaden sposob nie mozna bylo nazwac lowca posagowym.

Byl on najpiekniejszym chlopcem jakiego spotkala w zyciu.

Zakochala sie w nim nie jak przezyta milionerka, ale jak zwyczajna pensjonarka, ktora tylko co opuscila szkole. Gwido, znawca kobiet, ktore go sobie wrywaly, nie pozostal obojetnym na wdziaki Arabelli, i oto jedna z najbogatszych dziedziczek Wall Street, lakomy kasek, miala oddac nie tylko serce ale i amerykanske miliony cudzoziemcowi.

Ostatnio powziety przez piekna miss zamiar uczestniczenia w wyprawie miedzyplanetarnej, celem odbycia najoryginalniejszej, jaka byc moze, podrozy poslubnej, zadziwil wszystkich jej znajomych. Nie przypuszczali oni, ze piekna Arabella posunie az tak daleko swoje aspiracje do oryginalnosci. Podroz na makiecie miedzyplanetarnej, alez to niemal zamach samobojczy.

Czyzby mloda Carnegie tym nowym dziwactwem nie stala juz na granicy pomiedzy zdrowym rozsadkiem, a czyims w rodzaju zбочzenia umyslowego, chorobliwej manii?

Tak, wlozyc kilka milionow w budowe tego wariackiego statku, ktory nigdy nie wroci, jezeli nawet uda mu sie opuscic glob ziemski, to juz nie pogon za oryginalnoscia lecz niebezpieczna choroba umyslow i. I w dodatku miss Arabella zabiera ze soba najpiekniejszego chlopcza w calym Nowym Yorku, skazuje go jak Kleopatru na smierc po upojeniach zmyslowych. Niechby sama puscila sie w te podroz, skoro zycie jej obrzydlo, ale nie ma prawa pociagac za soba Gwidona. Liczny zastep kobiet kochajacych sie jawnie czy skrycie we Wlochu, drzal z oburzenia i trwogi o "cherubina".

Tymczasem w palacu Carnegie'ch czyniono przygotowania do ceremonii zaslubin pieknej pary. Dekorowano kosztownymi storczykami nie tylko stoly, ale nawet sciany jadalni, gdzie mial sie odbyc obiad na sto przeszlo zaproszonych osob. Poza tym nie dokonywano zadnych przerobek w rozleglych apartamentach, wiadano bowiem, ze nazajutrz po slubie nowozency udadza sie w podroz na planete Wenus najblizsza i najbardziej interesujaca sasiadke naszej starej matki Ziemi. Mlada wiec para miala spedzic w palacu jedna jedyna noc po uczcie weselnej.

Role matki panny mlodej miala pelnic stara ciotka Arabelli, pani Whitestone. Poczciwa kobiecina starala sie na wszelkie sposoby odwiesc Arabelle od tego, jak mowila, zwariowanego przedswiezecia, kiedy zas wszelkie namowy pozostaly daremnymi, pani W. zapytala siostrzenice czy nie zapomniala sporzadzic przed wyjazdem formalnego testamentu, a otrzymawszy wymijajaca odpowiedz prosila narzeczonego pozwolenie ubezpieczenia jej na zycie na sume miliona dolarow. Starowinka zmartwila sie kiedy przekonala sie, ze ani jedno z licznych towarzystw asekuracyjnych nie chcialo z nia zawrzec umowy. Tak wiec pani W. zyskala najlepszy dowod na to, ze uwazano miss Arabelle juz za nieboszczke. Snadz probna wycieczka na Ksiezyc nie mogla calkowicie rozwiac sceptycyzmu realistow, jakimi bezspornie byli przedstawiciele Towarzystw Ubezpieczeniowych,

Pesymistyczne nastroje musialy przewazac i wsrod zaproszonych na gody weselne gosci, gdyz nawet strumienie najdrozszych win nie mogly jakos rozweselic biesiadnikow. Za to miss Arabella czula, ze jest przedmiotem podziwu i zazdrosci i to rozproszylo chmury, zasepiajace jej pogodny umysl.

Cala jej istota była teraz zwrócona do Gwidona, jak słońce do słońca. Zakochana panna dopięła upragnionego celu; posiadała człowieka, który był dla niej więcej niż wszystko co dotąd los złożył jej w darze. Gdyby nie obecność tych zazdrosnych kobiet i tych mężczyzn wściekłych, że jakiś cudzoziemiec zabiera im apetyczne miliony, to rzuciłaby się w ramiona ukochanego Gwidona, który także wydawał się jej najszczęśliwszym człowiekiem w Stanach.

Jakże była żen dumna. Czy jakaś kobieta na całym świecie ma równie pięknego i dystyngowanego mial donica?

Obliczając po amerykańsku powiemy, że goście obecni na uczcie weselnej pięknej pary byli "razem warci" dwa miliardy pięćset milionów dolarów. Toalety kobiet kosztowały niemal milion. Klejnoty, którymi się obwiesiły, około osiemdziesięciu milionów. Kwiaty do ubrania sali jadalnej pochłonęły pokaza sumę 25 tysięcy. Wina 100 tysięcy. Każdy z gości znalazł obok swego nakrycia pamiątkę; była to rzeźbiona w dukatowym emaliowanym złocie Rakietka Niebieska wysadzana szafirami cejlonskimi i ozdobiona inicjałami nowozenców.

Trzeba jednak przyznać, że w atmosferze przepychu tego weselnego przyjęcia unosiła się jakaś mgiełka melancholii nad stolami przeladowanymi orchideami, butelkami zawierającymi stułetnie tokaje i maciła nieco humory biesiadników. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ta para równie pięknych jak uprzywilejowanych przez los młodych, miała za kilkanaście godzin wejść do latającej trumny, jak się po cichu wyrażano o rakiecie Hobbsa, że jej grobem stanie się albo niezmiernie otchłan międzyplanetarna albo jakaś nieznana planeta, z której na pewno nikt z całego grona muzykantów nie wróci na Ziemi.

Przyjaciółki miss Arabelli nie mogły pojąć jak mogła ona tak lekkomyślnie narazić siebie i swego Adonisa podobnie wariacka podroza.

-Ależ tam w niebie, - rzekła jedna z pan - panuje mroźny niesłychany, gorszy niż na biegunie północnym. Ci szalenci zamieniają się w jedną bryłę lodu, o ile w przód nie podusza się z braku powietrza...

-Albo nie pomra z głodu, - dodała trzecia.

-Słyszałam - wtraciła czwarta, - że na tej tam Wenerze, czy na Marsie żyją jakieś bajeczne potwory.

Brr, brr, dreszcz mnie przejmuje, kiedy sobie pomyślę, że jakiś smok pożre naszą słiczną Arabellę.

-Będzie miał smaczny kasek - mruknął jakiś milioner, oblizując się lubieżnie.

-Ale słyszałam, - zawołała jedna z najbogatszych pan, - że na Wenerze jest dwa razy gorzej, niż na Ziemi, skutkiem tego miłość wśród tamtejszych mieszkańców, tak jak wśród naszych Murzynów jest wulkaniczna. Rozumiem teraz, dlaczego miss Arabella tam się wybiera - dodała ze znaczącym uśmiechem.

-Ona zawsze goniła za czymś nowym i nadzwyczajnym, lekam się, że to ja zgubi.

Te uwagi i docinki, dowodzące ignorancji bogaczy, miss Arabella puszczała mimo uszu. W jej odwaznym serduszkach nie było miejsca na nic innego, jak na gorącą miłość dla pięknego Gwidona.

Niecierpliwie oczekiwała końca tej uczty, która nudziła ją. Jedynym jej pragnieniem było pozostać jak najprędzej z ukochanym. Około północy goście zaczęli się rozjeżdżać, a kiedy klakson ostatniej oddalającej się limuzyny zamarł w ciszy wieczoru ogarniającego czarnymi skrzydlami miasto-olbrzym, Arabella rzuciła się w ramiona swego młodego meza, jak gdyby chciała sponać i unicestwić się w żarze jego miłości.

## Rozdział IX

### Rakietka międzyplanetarna startuje

Nazajutrz po weselnym przyjęciu w pałacu Carnegie'ch, nowojorskie radio, nowojorskie dzienniki z New York Sun na czele, podłalo do wiadomości publicznej sensacyjną wiadomość, że oczekiwany z najwyższym napięciem start rakiety Hobbsa do międzyplanetarnej podróży odbędzie się z miejscowego lotniska o godz. 6 po południu. Wiadomość zelektryzowała ludność wielkiego miasta, niezliczone taksówki wyrzucały tłumy ciekawych pragnących być świadkami odlotu w dalekie nieznane światy, maszyny zwariowanego inżyniera.

Ponieważ nie wpuszczono wszystkich na teren lotniska, więc przybyli lokowali się gdzie mogli, na dachach pobliskich domów, na drzewach, skąd przez lornetkę można było dojrzec niebieski statek, osadzony na szczęściu par podpor, specjalnie do tego celu zbudowanych. Na drapaczach chmur placono po kilkanaście dolarów za miejsce, rozkupiono u optyków lornetki i lunety, ażeby móc przez nie śledzić jak najdłużej bieg rakiety.

Inżynier Hoobs i doktor Norski stali obok statku międzyplanetarnego i witali jednego za drugim uczestników wyprawy.

Hobbs przypuszczał, że niektórzy z nich cofną się w ostatniej chwili.

Nikogo nie brakowało. Nawet Norskiego spotkała przyjemna niespodzianka, kiedy ujrzał pocziwego Dicka spoconego i zdenerwowanego.

-Nie chcieli mnie tu wpuszcic, panie doktorze, musiałem sie boksowac, przeciez pan rozumie, ze nie moge pana puscic samego z tym...

Tutaj laborant zrobil wymowny znak uderzajac sie palcem w czolo.

-Ależ moj pocziwcze - zaprotestowal Norski - czyzbyś jeszcze nie nabral przekonania do naszego inzyniera?

-Tak czy siak - odparl Dick - za nic w swiecie nie puszcze pana samego w te zwariowana podroz, juz nieraz panu mowilem, musicie mnie przyjac do tego podniebnego samolotu.

-Ależ kochany Dicku, lista uczestnikow wyprawy jest zamknieta - tłumaczyl zaklopotany Norski.

-To trudno panie doktorze - zawolal zrozpaczony Dick - ja musze jechac, ktoz sie bedzie panem opiekowac nie tylko podczas jazdy ale i tam na tej drugiej planecie. Przeciez pan wie, ze znam sie na wszystkim jak kazdy wojskowy, od biedy moglbym zostac kucharzem.

-Czy mamy kucharza? - zagadnal Norski inzyniera.

-Posada ta istotnie wakuje u nas - usmiechnal sie Hobbs - ale, moj pocziwcze, bedziemy jedli w drodze same konserwy, kucharz by nie mial u nas co robic.

-W ostatecznosci bede u was pomywaczem, podejme sie kazdej roboty byle byc tylko z moim kochanym doktorem - zawolal prawie ze lzami w oczach Dick.

Inzynier Hobbs mocno sie zaklopotal.

-Zaloga nasza jest w komplecie - odrzekl wyjmujac notes: - Ja, dr Norski, Harting astronom, p. Doods mizantrop, Mr. Goldstone przedstawiciel kopalni zlota na Alasce, mrg. Gwido Ramini z malzonka, pokojowka Fanny, delegat uniwersytetu kolumbijskiego Johnson, przedstawiciel naszej armii pulkownik Croops, delegat Ministerstwa Kolonii, mechanicy, slowem komplet...

-I ja jednak bede potrzebowal laboranta do moich prac chemicznych - interweniowal dr Norski. - Dick byl u mnie w laboratorium i doskonale spelnił swoje obowiazki. Trudno mi bedzie obejsc sie bez niego. Analiza powietrza do oddychania, regeneracja dwutlenku wegla, w razie potrzeby dozowanie zywnosci...

-Skoro ten czlowiek jest panu niezbednie potrzebny... - westchnal Hoobs.

-Zywnosci i wody starczy chyba na jednego wiecej pasazera - zauwazyl Norski widzac, ze jego przyjaciel ustepuje.

-Dodac musze - wtracil niesmialo Dick - ze umiem doskonale strzelac z ciezkiego karabinu maszynowego i rzucac celnie granaty reczne.

-Mam nadzieje, ze ta bron nie bedzie nam potrzebna - rzekl Hobbs.

-Och, to nie jest calkiem pewne, - belkotal wzruszony Dick.

-Tak myslisz? - zasmial sie inzynier.

-A jezeli na tej Wenerze zyja takie potwory, jak te, ktore dawniej egzystowaly na Ziemi? Ogladalem ich szkielety w muzeum...

-Podejmujesz sie z nimi walczyć w razie potrzeby? - zagadnal z usmiechem inzynier.

-Niechby tylko osmielily sie napasc na mojego doktora...

-No dobrze juz - zgodzil sie Hooibs. - Mamy dwa sztucery, wasz i margrabiego Ramini.

Scene te przerwal przyjazd nowozencow, wysiadajacych ze wspanialej limuzyny. Miss Arabella, obecnie juz margrabina Ramini przywitala sie swobodnie z towarzyszami podrozy. Byla nieco blada, ale na pieknej jej twarzy nie spostrzebligbys ani

śladu wahania.

-Oto jestem - zawolala. - A pan, inzynierze, pewnie myslal, ze cofne sie w ostatniej chwili, ze stchorze? Nie zna mnie pan, jezeli pan tak przypuszczal. Jestem odwazna i stanowcza. Czy wszyscy juz sie stawili na starcie? Przypuszczam, ze ich nazwiska...

-Caly swiat interesuje sie nimi w tej chwili, ktora moze byc poczatkem nowej ery w dziedzinie komunikacji - odparl inzynier. - Jesteśmy już sławni.

-Nie dbam o tani rozgłos - mowila Arabella, - ale nasz czyn...

-Bedzie wiekopomny, jezeli tylko powrocimy - dodal Norski. - Odwaga i pomoc jaka okazala nam pani, margrabino, nie ulega zapomnieniu.

Arabella usmiechnieta gotowala sie zajac swoje apartamenty, lecz nadjedzajace wciaz samochody jej przyjaciol i znajomych zatrzymywaly ja. Wiedziala, ze stawia sie tutaj, zeby byc swiadkami jej bohaterstwa. Moze spodziewaja sie, ze uleknie sie tej podrozy? Nie beda mieli tej satysfakcji.

Witala sie usmiechnieta beztrosko z milionerami, ktorych sama zaprosila tutaj. Niech podziwiaja jej odwage, no i jej pieknosc. Znajdowala sie w swoim zywiolu, promieniala jak gwiazda na firmamencie. Ostentacyjnie podala ramie Gwidonowi, na ktorego bylo zwrócone kilkanascie par oczu zakochanych w nim kobiet. Zegnala sie po kolei ze wszystkimi weselnymi gosciami udajac, ze nie widzi zjadliwych spojzen zawiedzionych konkurentow do jej reki.

Przyjmowala wiazanki pachnacych kwiatow.

Ale Hobbs nie pozwolil na przedluzenie tej ceremonii. Sprawdzil osobiscie, czy wszyscy uczestnicy wyprawy znajduja sie na lotnisku i dal rozkaz do wsiadania. Cala zaloga zniknela w stalowym cylindrze; metalowe szczelne drzwi zatrzasnely sie glosno Nastapila dluga chwila naprezonego oczekiwania. Wreszcie silnik odrzutowy zaczal dzialac. Z tylnych dysz w krotkich odstepach czasu, zahuczaly eksplozje - maszyna potoczyla sie na swych poteznych kolach po gladkiej powierzchni lotniska.

Kilkadziesiat eksplozji oderwalo ja od ziemi. Nabierala zadziwiajaco szybko wysokosci. Na razie szybowala w powietrzu, z, szybkoscia myśliwskiego samolotu. Inzynierowi szlo o to, azeby dolne a wiec geste warstwy atmosfery przebywac bezpiecznie, nie wywolujac zbyt silnego terek o powietrze. W miare tego jak rakietka wznosila sie i przecinala coraz rzadsze warstwy, ped jej rosl z kazda chwila. Po pol godzinie dosiegnela juz, jak twierdzili liczni obserwatorze pietnastu kilometrow, a wiec dostala sie do stratosfery; zaczela znikac z pola widzenia.

Korespondenci dziennikow i agencji telegraficznych pracowali w nerwowym napieciu, tloczac sie przed mikrofonami, aparatami telefonicznymi, zeby jak najpredzej rozniesc swiatu sensacyjna wiadomosc.

"Rakietka miedzyplanetarna Hobbsa z liczna zaloga, w skladzie ktorej procz roznych specjalistow znajdowala sie piekna Arabella i jej w przededniu startu zaslubiony najurodziwszy chlopiec w calym Nowym Yorku, wystartowala pomyslne do swojej podrozy w dalekie swiaty.

Teraz dopiero zaczeto sobie uprzytamniac jak wielka donioslosc kryje w sobie ten fakt, ze energia atomowa, niedawno odkryta i uzywana jedynie do niszczenia i gaszenia zycia, zostala zaprzegnieta do uzytecznej pracy; ze po raz pierwszy w dziejach uniosla czlowieka w przestrzenie miedzyplanetarne, ktore jak sie zdawalo, na zawsze okaza sie dla niego niedostepne; ze ludzkosc przestala byc wiezniem przykutym na wieki do starej Ziemi i siega zuchwale po inne, moze lepsze i ladniejsze domeny - slowem, ze stala sie obywatelka calego moze ukkladu planetarnego.

Inzynier Hobbs i dr Norski mogli zaiste byc dumni ze swego dzieła.

Czy tylko wroca?

To pytanie zajmowac bedzie teraz miliony umyslow.

Rozdzial X

Z pamietnikow pieknej Arabelli

A wiec nasza podroz w zaswiaty rozpoczela sie, jakos trudno mi w to uwierzyc. Ale przeciez jest niezaprzeczoným faktem, ze oboje z moim ukochanym Gwidonem, siedzieli zamknieni w wielkim zelaznym pudle, z ktorego nawet wyjsc nie mozna. A gdyby nawet mozna bylo wyjsc, to pytam po to i dokad?

Astronom Harting, który jest jak gdyby pilotem na tym bezbrzeżnym oceanie, jest dla mnie bardzo uprzejmy i choinie mi odpowiada na naiwne pytania, jakimi go zarzucam. Wprawdzie skończyłam skrócony kurs w kolegium medyczno-felczerskim, ale widzę, że jestem kompletną ignorantką w astronomii, kosmografii i tym podobnych nudnych naukach. Nasz astronom udaje, że nie uważa mnie za taką głupią, jaka jestem naprawdę, co parę godzin idę mu zawracać głowę, to tym to tamtym, a on mi daje cierpliwe wyjaśnienia, tak samo jak Norski i Hobbs.

W ścianach rakiety są małe okienka z żelaznymi okiennicami. Pozwolono mi od czasu do czasu wyglądać przez te grube szyby, ale na razie tego nie robie, bo Gwido nie pozwala mi się od siebie odłączyć. Pojeżdżamy się chyba wzajemnie tymi pocałunkami, o które się ciągle upomina. Wielki z niego zarłok, ale tylko jeśli chodzi o moje usta, bo kuchnia tu niemożliwa, odgrzewa się tylko konserwy, zamiast gotować świeże potrawy.

Dick opiekuje się doktorem Norsikiem, pełni obowiązki stewarda okrętowego, jest też i pomywaczka, zaleją mu wody, więc talerze są źle wymyte. Z tą wodą, to chyba jest najgorzej, dostajemy jeden galon na nas troje, nawet umyć się nie można, a o kąpieli nawet marzyć nie podobna, moja srebrna wanna stoi bezużyteczna. Norski powiada, że wody potrzeba jak najpilniej oszczędzać, boi może jej zabraknąć.

Powiedział mi, że niezadługo opuścimy atmosferę ziemską, która dosięga do jakichś 500 km. Najniżej leży tzw. troposfera, w której unoszą się obłoki i zdarzają się burze i huragany. Im wyżej wznosimy się z Ziemi, tym jest zimniej, ale tylko dopóty temperatura się obniża, poki nie dosiegamy drugiej warstwy, która jak się okazało jest ciepła, ma ona stałą temperaturę niezmienną, aż do wysokości 30 km. Powyżej istnieje w stratosferze warstwa bogata w ozon, która bardzo silnie pochłania promienie słoneczne. Dlatego jest tam cieplej niżeli na samej powierzchni Ziemi i warstwa ta wywołuje odbicie się fal radiowych. Jak przypuszczają, powstają nad nią prądy wstępujące pionowe, doprowadzające czasami do zageszczenia się pary wodnej i dwutlenku węgla, które tworzą zjawisko obłoków świecących. Powyżej 70 km. powstają żurze polarne.

Atmosfera jest tu całkiem zjonizowana i dlatego nazywamy tę warstwę jonosferą. Odbijają się od niej radiowe promienie i nie mogą jej przebić. Mogą tego jedynie dokonać bardzo silne promienie radarowe. Meteory wchodząc z wielką szybkością w jonosferę rozszarżują się do białosci wskutek tarcia i tylko największe dosięgają ziemi. Atmosfera jest więc tarczą ochraniającą nas od tych pocisków, które inaczej mogłyby nas pozabijać.

Powietrze przechodzi stopniowo w próżnię międzyplanetarną powyżej 100 km, atmosfera, bierze słaby udział w ruchu wirowym ziemi. Kto by mógł w niej zawisnąć nieruchomo, zdolałby dokonać podróży w 24 godziny naokoło świata. Jestem taka mądra dzięki panu Hartingowi, który mi powiedział, że nasza rakietka już opuściła atmosferę ziemską i szybuje w otchłaniach niebieskich. Wstyd mi przyznać, że zaczynam się cokolwiek nudzić w tym pudle, chociaż jesteśmy dopiero dwie doby w podróży; a tu jeszcze tyle czasu będziemy więźniami, a potem?

Pytałam Hartinga jak daleko odlecieliśmy od Ziemi, ale on to sobie oblicza dokładnie codziennie i zapisuje do dziennika okrętowego, tak jak marynarze. Nie mam co robić, więc tylko walesam się, wszędzie wściubiam nos, bo chcę wiedzieć co kto robi, otóż każdy z członków załogi ma jakieś zajęcie.

Hobbs siedzi ciągle ze swoimi mechanikami przy silniku odrzutowym i martwi się, że dysze za bardzo się ogrzewają, pomimo straszliwego mrozu; leka się, żeby się która nie popsula.

A co by było, zapytałam, gdyby motor odmówił nam posłuszeństwa, pewnie spadlibyśmy z powrotem na Ziemię i spalilibyśmy się jak jakiś meteor w powietrzu.

-Niech się pani wszystkiego nie lęka, niech się pani nie obawia przymusowego lądowania na ziemi.

-Och, jestem odważna - zawołała, - może ma pan śmiało powiedzieć jakie niebezpieczeństwa zagrażają nam w tej podróży

-Kiedy tak, to nie będę przed paniami, że najbardziej się lękam spotkania z jakim bolidem. W otchłaniach niebieskich blakają się ciała niewiadomego pochodzenia; są to jakby przybłedy z innych systemów planetarnych, wiele z nich spada na ziemię jako meteory, które nieraz waga po parę milionów ton. W Arizonie istnieje lejkowate zagłębienie w ziemi, które powstało od uderzenia olbrzymia, wdarł się tak w ziemię głęboko, że nie podobna się do niego dostać.

Na Syberii, stosunkowo niedawno spadł tak kolosalny meteor, że wywołał formalne trzęsienie ziemi, zapalił las i przewracał drzewa na znacznym obszarze, gdyż powstał przy tym straszliwy wichur. Zdarzyło się to nad rzeką Tunguzka. Leży on tak głęboko, że nie podobna się do niego dostać, wazy on jak przypuszczają kilka milionów ton, a co by się z nami stało, gdyby trafił w naszą raketę. W przeciągu jednej sekundy zamienilibyśmy się na gaz; spotkałaby nas śmierć bezbolesna, ale wielkie meteoryty są rzadkością, to samo zresztą groziłoby nam gdybyśmy się zetknęli nawet z małym meteoroidem, wazacym kilka kilogramów. Przedziurawiłby on nasz statek, gdyby nawet nikogo nie zabił, to wzniciłby

pozar a przez otwory w jednej chwili uciekłoby powietrze i czekałoby nas śmierć z uduszenia. Nawet mała bryłka byłaby dla nas niebezpieczna, porusza się bowiem z astronomiczną szybkością.

-Co to znaczy astronomiczna szybkość? - zapytałam.

-Wynosi ona kilkanaście km na sekundę a nawet i więcej i my razem z naszą Ziemią pedzimy w przestrzeni z zawrotną szybkością, a jednak nie czujemy tego. Inżynier i Harting zapewnili mnie, że istnieje bardzo mała szansa na takie zderzenie, tak jak np. na starcie się ze sobą dwóch pociągów kolejowych, bo w przestrzeniach międzyplanetarnych panuje przerazająca pustka. Ja jednak tak się ta rozmowa zdenerwowałam, że nie mogłam spać.

Mój Boże, zamienić się na gorącą chmurkę gazu, jakie to okropne, rozumiem, że nawet uniknąć takiego zderzenia nie można.

Gwidon mnie uspakajał, ale to nie wiele pomogło. Jakby to było przyjemnie przejechać się autem z moim ukochanym meżulkiem za miasto, a tu muszę siedzieć jak mucha w butelce i drzeć ze strachu, że trafi w nas jakiś meteor...

Porobiłam znajomości z naszymi towarzyszami podróży. Najzabawniejszy jest Goldstone, poszukiwacz złota, ma on wielką kopalnię na Alasce, ale żyła tego metalu, znajdująca się gdzieś w skale kwarcowej uciekła mu w głąb ziemi i powiada, że będzie bankrutem, jeżeli jej nie odnajdzie. Ciągle mi mówi, że na Wenerze na pewno znajdzie się złoto, bo ta planeta posiada gęstość nieco tylko mniejszą od gęstości Ziemi, podczas gdy inne planety jak np. Jowisz, Saturn, Uran niewiele są gęstsze od wody. Nikt by się tam na nich nie wzbogacił. Namówił mnie żebyśmy z nim zagrali w pokera, karta mi nie szła więc musiałam płacić, ale on nie chciał przyjąć czeku na pięć tysięcy dolarów, domagał się złota. A skąd ja tu wezmę bręczacej gotówki - powiedziałam, że mu zapłacę na Wenerze.

Zabawny gość ten delegat Ministerstwa Kolonii, też mnie mocno bawi. On razem z Croopsem to dobrana para, zabrali ze sobą wielką flagę Stanów Zjednoczonych na długim drążku i mają podobno zamiar zatknąć ją, jak tylko przybędą na Wenerę i w ten sposób zająć nowe ziemie w posiadanie Wujka Sama. Pytali się Hartinga czy będą mogli dać znać o tym rządowi przez radio.

Wpadli w kwasny humor, gdy im powiedziano, że nasza stacja tak daleko nie sięga. Najsympatyczniejszy jest przyrodnik mister Johnson, siedzi on przy jakichś aparatach razem z Hartingiem i ciągle dokonują jakichś spostrzeżeń i obliczeń. Zapytałam ich jak daleko odlecieliśmy od Ziemi, powiedzieli mi, że to dość trudno obliczyć, że mają po temu różne sposoby, ale nie mogą mi ich szczegółowo wyjaśnić, bo i tak bym nic nie zrozumiała. Ale ten ostatni jest dostępny dla mojego ograniczonego umysłu. Otworzyli boczne okienko zaopatrzone w grubą, ale dokładnie oszlifowaną szybę lustrzaną i kazali mi przez nią patrzeć. Niebo nie było takie błękitne jak zazwyczaj na Ziemi, lecz głęboko czarne, świeciły na nim gwiazdy, jak wielka pochodnia górzalo słońce. Jego promienie niepochlaniane przez powietrze mile nagrzewały naszą rakietę. Pokazali mi Ziemię, wyglądała ona jak księżyc w pełni, ale była znacznie od niej mniejsza. Przez lornetkę widziałam dokładnie Amerykę na tle ciemniejszych oceanów, mogłabym ją dłońmi nakryć taka była mała.

Dziwnego wrażenia doznałam patrząc tak na naszą Ziemię z odległości kilku milionów kilometrów. Świeci ona jasno, ma pozorną wielkość niedużej pomarańczy, a Księżyc wygląda jak duże ziarnko grochu.

Harting powiedział mi, że mierzy jak najdokładniej pozorną średnicę Ziemi i z tego wnioskuje jak daleko odlecieliśmy od niej.

Jest jeszcze drugi prosty sposób polegający na tym, że celuje się do Ziemi a potem do Księżyca, mierzy się kąty jakie tworzą te linie a znając odległość Ziemi od Księżyca (około 380 tys. km.) można prostym obliczeniem trygonometrycznym wyprowadzić odległość rakiety od Ziemi. Ale sposób ten nie jest bynajmniej taki łatwy, bo Księżyc jest nie zawsze w dogodnym położeniu dla obserwacji.

Zresztą niech sobie łamią nad tym głowy nasi uczeni...

Od pewnego czasu wszystko nam się wydaje bardzo lekkie, poruszam się jak piórko, to samo odczuwają wszyscy nasi towarzysze.

Zawsze starałam się o to, żeby nadmiernie nie przybierać mi wadze; odmawiałam sobie najulubieńszych cukierków, ciastek i legumin. A tu bez żadnego starania straciłam chyba z połowę swego ciężaru, powiedziałam o tym Hartingowi a on zaczął się śmiać. - Niebawem staniemy się lekkimi jak puch, zbliżamy się bowiem do strefy, w której siła przyciągania ziemskiego i słonecznego równoważą się. Ale niech pan; nie sądzi, że gdyby tu była zwyczajna waga i gdybyśmy pania położyli na jednej z szali a na drugiej ciężary, to pani straciłaby coś na wadze. Dlaczego? - Zapytałam. - Bo jej odwrotniki stałyby się proporcjonalnie lżejsze. Po przekroczeniu owej linii neutralnej będziemy stopniowo stawali się coraz cięższymi. Na samej zaś Wenerze, która jest mniejsza od Ziemi, siła ciążenia jest też słabsza. Będziemy się na niej poruszali z

mniejszym wysiłkiem, aniżeli na ojczystej planecie. Nie wiedziałam, że to grozi jakimś niebezpieczeństwem, ale zaraz nazajutrz moj mezulek miał zabawną przygodę; siedzieliśmy naprzeciwko siebie w buduarze i ja czytałam mu książkę bardzo zajmującą; z nudów dużo czasu poświęcamy lekturze. Nagle książka wypadła mi z ręki na podłogę. Gwido, usłużny jak zawsze, zerwał się ze swego fotela i o dziwo, podskoczył tak wysoko, że uderzył głową o sufit. Jego wysiłek mięśniowy był zbyt wielki do jego wagi, gdyby nie to, że ma bujne włosy i ściany naszego statku są wybite bardzo grubym i miękkim materiałem, to biedaczek mógłby się zabić. Musiałam mu nacierać czoło wodą kolonską, bo mu aż świeczki w oczach stały, jak sam powiedział, od tego zderzenia. Coś podobnego stało się Fanny, naszej pokojowce, wyznała mi ona, że się zakochała w jednym mechaniku, przystojnym brunecie.

-Jeżeli wyjdiesz za niego za mąż, - rzekłam jej, - to dam ci 10.000 dol. posagu, bo jesteś dobrą dziewczyną.

Usłyszawszy to Fanny podskoczyła z radości. Na kuli ziemskiej uniosłaby się od podłogi na kilka cali za ledwie, ale tutaj siła jej łydek wystarczała, żeby ją podrzucić pod sam sufit. I ona bolesnie stłukła sobie głowę jak moj Gwido. Zabawne przygody nam się tu zdarzają, trzeba poruszać się bardzo lekko i ostrożnie, żeby nie skakać tak jak pchła.

Zdaje mi się, że gdybym była taka lekka na ziemi, jak tutaj, to bym chyba przez domy przeskakiwała.

Harting powiedział, że potrafi obliczyć ile by wazył człowiek nie tylko na Wenerze, ale na każdej innej planecie. Największa planeta układu słonecznego jest Jowisz, 1.300 razy większy od Ziemi. Ale ponieważ materia, z której się składa jest niewiele gęstsza od wody, przeto masa tego olbrzyma jest tylko 317 razy większa od masy naszej ziemi. Według Hartinga, żywa osoba zbudowana na podobieństwo człowieka wazyłaby tyle co 317 ludzi. Nasze mięśnie okazałyby się za słabe, nawet do chodzenia po równinie. Druga co do wielkości planeta, Sarnim, otoczona pierścieniami i księżycami, ma gęstość mniejszą aniżeli woda, lecz przypuszczalnie nie posiada jeszcze stałej skorupy i składa się z par i gazów. Wszystko jest to bardzo dziwne. Widac że Ziemia nasza jest najwygodniejszym siedliskiem dla żywych istot. Intryguje mnie ciągle pytanie, jak to będzie tam na Wenerze?

Harting jest dobrej myśli, według niego warunki życia będą podobne do warunków na Ziemi. Planeta ta jest trochę mniejsza od Ziemi, masa jej wynosi 0,81 masy Ziemi, gęstość materii, z której się ona składa wynosi 0,86 gęstości materii ziemskiej, a no, jak tam przyjedziemy to zobaczymy, jak mnie Harting nauczył skromności i pokory. Pewnego dnia, kiedy sama nie wiedziałam co robić z nudów, wdalam się w dłuższą pogawędkę z Hartingiem. Była to bardzo interesująca rozmowa, mówił mi o budowie i ogromie wszechświata. Według niego nasze słońce wraz z całym orszakiem planet jest sobie małą gwiazdka należącą do olbrzymiego zbiorowiska słońc, które tworzą tak zwane galaktyki, mającą formę spłaszczonej soczewki. Droga mleczna, którą widzimy na niebie, jest właśnie taką galaktyką, do której należy nasze słońce. W takich gromadach - gwiazd największa ich liczba jest skupiona w zwojach spiralnych. O rozmiarach i budowie drogi mlecznej mamy dość dobre wyobrażenie. Ten zawiera według obliczeń astronomów około 47 miliardów gwiazd a ponadto kilkaset mgławic gazowych, oraz gromad gwiazdnych.

Światło jak wiadomo bieży 300.000 km/sek. Jak wielka jest nasza galaktyka? Dość powiedzieć, że światło, ażeby przebyć jej najgrubszą część, potrzebuje na to 6.000 lat. Dla przebieżenia zaś przez całą jej długość zużywa 40.000 lat. Ale ta cała nasza galaktyka, to tylko jedno z nielicznych zbiorowisk gwiazd. Inny, odrębny układ, zwany wielką galaktyką, ma kształt podobny do małej galaktyki, ale średnicy 50 razy większa. Nasze słońce leży w odległości około 70.000 lat światła od środka układu wielkiej galaktyki, która stanowi we wszechświecie jakby odrębną całość. Jednakże takich jednostek istnieje we wszechświecie kilkaset tysięcy, mają one postać mgławic. Najbliższa z nich zwana wielką mgławicą Andromedy jest oddalona od nas o 870.000 lat świetlnych, to znaczy, że światło potrzebuje tyle lat, ażeby się stamtąd do nas dostać, ale to jeszcze nic, inne wszechświaty (znajdują się w odległościach wynoszących dziesiątki, setki, tysiące lat świetlnych.

Pomiędzy nimi ciągną się olbrzymie puste przestrzenie, są to więc jak gdyby wyspy rozrzucone w bezdennych otchłaniach niebios.

Co ciekawe, że te zbiorowiska gwiazd poruszają się bardzo szybko w przestrzeni; np. galaktyka, do której należy nasze słońce, mknie z chyżością 100 km./sek. w kierunku gwiazdozbioru Cefeusza. Inne mkną z prędkościami dochodzącymi do kilku tysięcy km/sek.

Wszystko to jednak, co dotąd poznaliśmy jest drobna cząstka przeogromnej całości, wobec której cały nasz układ słoneczny jest tylko znikomym pyłkiem. A czym jest nasza Ziemia i wszystko, co się na niej znajduje? - wprost niczym. Niczym jest każdy z nas. Jakże śmieszny wydaje się człowiek mający manie wielkości. Przyznaje, że czułam się bardzo upokorzona, jak Harting rozwinał przede mną ten obraz wszechświata, którego ogromu umysł nasz ogarnąć nie jest w stanie. Jesteśmy we wszechświecie nic nie znaczącymi, szybko przemijającymi zjawiskami. Jestem wdzięczna Hartingowi, że uczynił mnie skromną. Kto jest zarozumiały chorobliwie ten musi być głupi, niechby się uczył astronomii, dobrze by mu to zrobiło.

Pogadanki z Hartingiem bardzo mi się podobały, jest to wykształcony i mądry człowiek, opowiadał mi, że jego stryj Adwin



Harting pierwszy nawiązał nie porozumienia z Marsem, planeta położona najbliżej Ziemi, poza Wenera. Zapalił na wyznach Ekwadoru niezmiernie silne światła, które razem tworzyły czteropromienna gwiazda, dobrze widoczna na ciemnej kuli ziemskiej. Spodziewał on się, że jeżeli na Marsie żyją rozumne istoty to dostrzeże ten sygnał zapalony na równiku i zrozumieją jego znaczenie. W samej rzeczy, kilka miesięcy później, dostrzegł taki sam sygnał na oświetlonej tarczy Marsa.

Wynioskował stąd, że na tym globie istnieją istoty dość wysoko rozwinięte, które rozporządzają środkami technicznymi, znanymi na ziemi, może nawet znają radio. Zbudował więc olbrzymią stację radarową, dzięki szczodrości milionera Brightona, przy jej pomocy przesłał koncert radiowy na Marsa. I o dziwo, otrzymał taką samą odpowiedź, z tą jedynie różnicą, że koncert Marsjan był stokrotnie piękniejszy.

-Skoro tak jest - rzekłam, - to dlaczego nie urządziliśmy wyprawy na Marsa?

-Dlatego, że Mars jest w tej chwili za bardzo odległy i musielibyśmy długo czekać, aż znajdzie się po tej samej stronie słońca, co Ziemia, w tzw. "opozycji". Wówczas jest bardzo dobrze widziany jako gwiazda czerwonego odcinka, stąd jego nazwa. Ziemia jest dla niego niewidzialna jak księżyc w nowiu, albo tak jak dla nas Wenus w obecnej chwili. Cel naszej podróży dostrzegamy jako cieniutki sierp, podobny do księżycowego w pierwszej kwadrze, niebawem jednak Wenus stanie się dla nas całkiem niewidzialna, gdyż będzie między nami a słońcem.

-Moj Boże - zawołałam przerażona - jakże my do niej trafimy?

Harting zaśmiał się.

-Jest na to bardzo prosta rada - odrzekł. - przetniemy drogę Wenerę tak, żeby się znalazła między nią a słońcem. Wówczas ujrzymy ją jak jakiś księżyc w pełni, wylądujemy na niej w pewnym momencie. Do Marsa mamy dwa razy tak daleko jak na Wenerę, taka podróż zmęczycie panią, bo trwałaby parę miesięcy.

Prosiłam go, żeby powiedział jak najszybciej rakietę, bo życie w tym pudle zaczyna mnie nie na żarty mierzwić.

Zapewnił mnie, że według jego obliczeń posuwamy się naprzód z; szybkością 20 km/sek.

Coż to jednak znaczy wobec szybkości tych gromad gwiazdnych, które robią na sekundę po trzy tysiące kilometrów. Doprawdy w głowie mi się maci od tych przerażających szybkości.

Rozdział XI

Spotkanie z kometa

Rakieta międzyplanetarna szybowała, jak obliczał Harting, ze wzrastającą szybkością, którą oceniano w przybliżeniu na 30 km/sek. Nie natrafiła ona w próżni na żaden niemal opór, więc praca silnika popędzała ją coraz to chętniej. Teoretycznie mogłaby ona biec przedziwnie anizel kula ziemską albo Wenus w tych przerażających pustkowiach, ale Hobbs i jego towarzysze uważali, że nie mogą nadmiernie skracać podróży, gdyż nie pozwalały na to kalkulacje astronomiczne Hartinga. Wenus cel ostateczny, do którego zmierzała rakietę biegła ku niej na spotkanie, które miało nastąpić w dokładnie przewidzianym czasie. Pospiech zarówno jak opóźnienie jednak nie były wskazane. Obecnie Wenus przedstawiała się przez teleskop jak wąski sierp księżycowy w jego pierwszej fazie po nowiu i za kilkanaście dni ziemskich odwróci do rakietę swoją ciemną, nieoświetloną polkulę, więc stanie się dla naszych podróżnych niewidzialna. Ale w tym terminie będzie ich dzieliła od upragnionego celu przestrzeń jakiegoś miliona km. Harting projektował sobie, że przetnie niebawem drogę okosłoneczną Wenerę i wówczas będzie ona zwrócona do słońca polkulą. W tych warunkach zgubienie planety w przestrzeni międzygwiazdnych już by nie groziło.

Osiągnięto ten punkt w osiemset godzin ziemskich po starcie.

Podróż była istotnie, jak od dawna twierdziła Arabella, długa, dla niej może monotonna, lecz załoga była innego zdania. Pracowano bez odpoczynku, obserwowano niebo, skrzeszono i notowano spostrzeżenia i pilnowano pracy silnika, dbano o to, żeby powietrze było w miarę wyczerpywania się odnawiane ze zbiorników, słowem wszyscy mieli aż nadto różnorodnych zajęć. Czas podzielono sztucznie według ziemskiego chronometru. Sen, posiłki, praca następowały w godzin ich ściśle oznaczonych. Obiad był jedyną porą, w której wszyscy podróżni zgromadzali się w przedniej części rakietę, gdzie istniała cokolwiek większa, wolna od aparatów naukowych przestrzeń. Był to jak gdyby salon okrętowy.

W środku stał niski stół, po bokach którego biegły dwa rzędy równie niskich i niewygodnych fotelików.

Na honorowym miejscu Hobbs posadził Hartinga, uważanego za kapitana tego okrętu. Po jego prawej ręce siedziała uroczą margrabina Arabella i jej Adonis Gwido, który okazał się doskonałym towarzyszem w tej oryginalnej podróży. Niczemu się nie dziwił, na nic nie narzekał, niczego się nie lekał. Na jego młodocianej twarzy, okolonej rozwijającym się

dopiero ciemnym zarostem, którego nie golił, malowała się pogoda umysłu i doskonaly, niczym niezmacony humor.

Nic go dotąd nie interesowało prócz pięknej Arabelli. Myślał tylko o tym, żeby rozproszyc po sepe jej myśli, dodawać jej otuchy, dbać o jej wygody. Ale niestety na tym polu jego starania przynosiły mizerne rezultaty. Wprawdzie para świeżo poślubiona miała dla siebie dwa małe pokoiki, jeden przeznaczony na sypialnię, drugi na salonik czy gabinetek, ale ich mieszkańcy na każdym kroku odczuwali brak.

Przyzwyczajona do zbytku Arabella bohaterko znośła jednak, dotkliwie w jej pojeciach, wyrzeczenia się różnych nawyknień, jak na przykład skapy przydział wody, jednostajność potraw, przymusowa nieruchliwość i niepewność czy wyprawa powiedzie się. Wszystko to jednak nie potrafiło sprowadzić chmur na jej palającą szczęściem twarzyczkę Madonny Boticelliego.

Podczas jednego z tych posiłków wywiązała się nader interesująca dyskusja, która jak zwykle zapoczątkowała Arabella.

-Pedzimy w pustkę, ale czy nie gonimy za jakąś chimera z bajki? Jaka mamy pewność, że tam na innych planetach znajdują się jakieś rozumne istoty.

Czy sławny Flammarion ma słuszną utrzymując, że istnieje wiele zamieszkałych światów?

-A jeżeli i tam na pięknej gwiazdzie Porannej nie kwitnie życie przynajmniej takie jak na naszej ziemi, do której już zaczynam nie na żarty tęsknić to...

-Wiem, że pan Harting wierzy w to, ale pan inżynierze i pan doktorze Norški, czy nie lekacie się, że nas spotka dotkliwy zawód?

-Zdamy się na los - rzekł z rezygnacją Norški - Jeżeli jednak rozważyć te kwestie przy pomocy zdrowego rozsądku, no i biorąc pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa, to nie należy wpadać w pesymizm

-Ja mam trochę tego rozsądku - zawołała Arabella śmiejąc się.

-I coż pani ten rozsadek szeptce? - zagadnął Doods.

-Przypominam sobie niedawna pogawędkę z panem Hartingiem o bezmiarze wszechświata. Wydaloby się mało prawdopodobnym, żeby tylko małe słońce miało posiadać orszaki planet. Wszak powiedział mi pan, że jedna nasza mała galaktyka zawiera coś około 47 miliardów gwiazd, a przecież każda gwiazda to słońce, może większe, stokrój wspanialsze, aniżeli nasze. Nie wdając się więc w filozoficzne albo matematyczne rozważania, przypuszczam, że wiele innych gwiazd otoczyło się orszakiem ciemnych towarzyszy ze planet jest więcej aniżeli gwiazd, a skoro tak jest, to dlaczego by na niektórych z nich nie miało się zrodzić życia organicznego?

-Tak, ma pani rację, ludzkość od niepamiętnych czasów cierpi na manie wielkości. Starożytni przypuszczali, że nasza Ziemia jest centrum wszechświata, że słońce i wszystkie ciała niebieskie krąży około niej, a służą jedynie do oświetlenia nam ciemności nocnych. Dopiero Mikołaj Kopernik obalił te niezgodne z prawdą poglądy. Dzisiaj wiemy, że jesteśmy w naszym małym wszechświecie jakby ziarnkiem piasku na rozległej plaży. I mnie się zdaje, że nie tylko słońce nasze, ale może wszystkie starsze nieco gwiazdy, które już przeszły pierwsze fazy swego rozwoju i nie zbyt gorące, a takich są miliardy miliardów, potworzyły własne systemy planetarne.

-Wstyd nam, astronomom, się przyznać, że dotąd nie wiemy jak powstały systemy planetarne. Teoria Laplace'a jest przestarzała, to samo można powiedzieć o teorii Fay'a, który przypuszcza, że nasze słońce było olbrzymią, jak na nasze stosunki, mgławicą, która stygnąc kurczyła się stopniowo pozostawiając oderwane od jej równika pierścienie materii gazowej, z których potem utworzyły się planety. Byłyby więc one starsze od swej matki, dzisiejszego słońca. Tak samo nie jest do przyjęcia hipoteza, według której planety powstały skutkiem pulsacji materii słonecznej po przejściu w pobliżu słońca jakiejś gwiazdy.

-Siła przyciągania takiego zablakanego w przestworzach niebieskich ciała materialnego miała według tej hipotezy oderwać od masy słońca pewną jej część, z której potem uformowała się planeta. Pytanie jednak, która planeta, a jest ich przecież tak wiele. Zjawisko tego rodzaju musiałoby się powtórzyć wielokrotnie, czemu przeczy rachunek prawdopodobieństwa. W niezmiernych otchłaniach niebios takie wypadki byłyby niesłychaną rzadkością. Najnowsza teoria Polaka prof. Mokrzyckiego tłumaczy nam do pewnego stopnia budowę galaktyk, lecz bynajmniej nie jest w stanie wytłumaczyć powstawania słońc i planet. Z przykrością przeto jako astronom muszę wyznaczyć, że nie wiemy dotąd w jaki sposób powstał nasz system planetarny.

-Wiedza nasza jest w porównaniu z wiekiem Ziemi niestety bardzo młoda - dodał melancholijnie Harting.

-Ale musi pan przyznać, że w ostatnich czasach poczyniliśmy pewne postępy - odezwał się Hobbs. - Kto wie czy nie wyprzedziliśmy panskich Marsjanów. Gdyby oni posiadali to, co myśmy świeżo zdobyli, to chyba nieomieszkaliby złożyć nam wizyty. Przypuszczam, że się trochę zawstydzą, jeżeli po powrocie z Wenerę wyprawimy się na ich Marsa.

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem, Dick niemal z reki nie wypuścił talerza. Właśnie zaczął jak zwykle sprzątać ze stołu niedojedzone konserwy, gdy rozległ się dość mocny huk, jak gdyby w powłokę stalową rakiety uderzył jakiś pocisk małego kalibru. Może ten drobny na pozór wypadek miałby bez echa, gdyby nie to, że Hobbs i Harting zerwali się obaj jak na komendę ze swych miejsc i spoglądali na siebie z najwyższym przerażeniem, które udzieliło się wszystkim.

Inżynier nic nie mówiąc skoczył na tył rakiety i spojrzał przez peryskop pryzmatyczny, który pozwalał mu oglądać powierzchnię rakiety. Obserwował przez dłuższą chwilę nic podejrzanego nie spostrzegając. Ale po kilku minutach zauważył dziwne zjawisko. Na panczerze stalowym zapłonęła jasnym światłem duża iskra, przy czym ów niepokojący odgłos uderzenia znowu się powtórzył. Niebawem zjawisko to znowu miało miejsce. Hobbs zawołał Hartinga, który również spojrzał przez peryskop.

Nasz astronom od razu się zorientował w sytuacji.

-Wpadliśmy w pierścien drobnych meteoroidów krążących dookoła słońca - zawołał przerażony - musimy się z niego wydostać za wszelką cenę, inaczej...

-Inaczej? - powtórzył zaniepokojony Hobbs.

-Inaczej grozi nam najwyższe niebezpieczeństwo, wprowadźcie te światełka pozwalają mi domyślać się, że bardzo małe okruchy w nas trafiły, ale może się zdarzyć między nimi jakiś większy szczątek komety, a wówczas...

Astronom uciął, gdyż rozległ się głośny huk.

Równocześnie do wnętrza rakiety wpadła duża iskra oslepiającej białości, zapaliła grubą tkaninę, wyszczelniającą jej ściany. Wszyscy zerwali się spoglądając na siebie szeroko rozwartymi oczyma.

-Boże, co się stało? - krzyknęła Arabella, tuląc się do siedzącego obok niej meza.

-Nie wiem kochanie - odparł margrabia, nie tracąc zimnej krwi. - Zdaje mi się, że jakiś mały meteoroid przedziurawił nasze blaszane pudło. Słysze wyraźnie jak przez otwór ucieka powietrze.

Istotnie znajdujące się pod ciśnieniem ziemskiej atmosfery powietrze z sykiem ulatywało w międzyplanetarną próżnię. Hobbs i Harting widocznie zorientowali się w niebezpiecznej sytuacji, gdyż krzyknęli na swych pomocników. Zaczęto - odrywać wołok, ażeby znaleźć otwór. Miał on średnicę najwyżej jednego cala, zatkało go naprzód pakulami umocowanymi w jakimś tłuszczu.

-Brr, zimno mi - zawołała Arabella, otulając się srebrnym lisem.

W samej rzeczy temperatura wewnątrz rakiety spadła od razu o kilkanaście stopni. Powietrze rozszerzając się pochłonęło sporo ciepła, ale pracujący silnik niebawem wyrównał tą stratę, powoli podróżni odzyskiwali równowagę duchową. Jakiś śledził z zainteresowaniem środki przedsięwzięte przez Hartinga i Hobbsa. Ten ostatni pobiegł na tył rakiety i przez wpuszczony w górną ścianę cylindra peryskop pryzmatyczny wyjrzał na zewnątrz. Nie dojrzał nic na czarnym tle nieba między ostro świecącymi gwiazdami, których nie mogły zaciemnić promienie gorącego jak olbrzymia pochodnia słońca. Nie rysowało się nic, co by zwróciło jego uwagę, ale inżynier nie przerywał obserwacji. Upłynęło nie mniej jak dziesięć minut zanim na grzbiecie stalowej rakiety zabłysła nowa iskra, której towarzyszył odgłos przypominający uderzenie drobnego ziarenka sru w metalową tarczę. Hobbs zanotował sobie kierunek, z którego wypadła owa iskra i postawił przy peryskopie astronoma. Harting z kolei oczekiwał na pojawienie się nowej iskry. Nie potrzebował na to długo czekać. Po kilku minutach dostrzegł jeszcze jedną. Teraz już wiedział wszystko. Hobbs słuchając jego wskazówek pociągnął w ruch dysze służące do zmiany kierunku biegu rakiety. Po dłuższych próbach ustalono go. Chodziło teraz o odnalezienie odpowiedniej szybkości, równej szybkości tych drobnych, jednak tak niebezpiecznych pocisków miotanych ręką zagniewanego na intruzów Jowisza. Astronom nadsluchiwał uważnie nowych uderzeń tych drobinek, które dzięki swej szybkości ocenianej przez niego na kilkanaście km w ciągu jednej sekundy, posiadały zdumiewającą energię kinetyczną. Wszak było mu wiadomym, że rakieta posiadała ściany grube na trzy cale. Za materiał na nie użyto najlepszej stali chromowej. A jednak ten pancierz, chroniący od pocisków artyleryjskich mniejszego kalibru, okazał się pajęczyną dla tych okruchów żelaznych, biegnących w próżni z astronomiczną szybkością. Lada chwila mogło się zdarzyć, że jakies ważące kilkaset gramów ciało, błędnie w przestworzach, zderzy się z rakieta, a wówczas groziłoby zamknięciem w niej ludziom poważne niebezpieczeństwo, przewidujący Hobbs zorganizował ekipę ratunkową, układającą się z mechanikami i dr Norskiego. Mieli oni za zadanie jak najprędzej po zderzeniu zatykać powstające otwory, ażeby zapobiec utracie powietrza,

niezbędnego do oddychania załozde.

Minęła dłuższa parokwadransowa pauza, a żadna nowa iskra nie wpadła do wnętrza rakiety, chociaż od czasu do czasu wszyscy słyszeli uderzenia nowych pocisków.

Inżynier nachylił się do ucha Hartingowi.

-Zdaje mi się, że niebezpieczeństwo mija - szepnął, - nasza własna szybkość zównała się z szybkością roju.

Astronom kiwnął zadowolony głową.

-I kierunek lotu jest właściwy - dodał.

Ale te konszachty dwóch najgłośniejszych członków przerwała bez ceremonii piękna Arabella.

-Widzę po waszych twarzach moi panowie, że na razie nic nam nie grozi, ale nie pozostawiajcie nas w ciemnościach, wyjaśnijcie nam co się dzieje? Dlaczego niewidzialne baterie karabinów maszynowych wzięły pod ostrzał naszą planetę? Czy może się zdarzyć, że jakiś bolid zderzy się z naszym niebieskim statkiem? Zrozumcie położenie ludzi, nic a nic nie orientujących się w sytuacji, która tak oczywiście jest groźna. Powiedzcie otwarcie co się stało?

Harting uśmiechnął się tajemniczo.

-A więc skoro domagacie się państwo wyjaśnień, służę nimi - odrzekł. - Oto mimo woli weszliśmy w drogę jakiejś nienotowanej w naszych katalogach małej komety.

-Jak to, zderzyliśmy się z kometą - zawołała niedowierzająco Arabella. - Chyba pan sobie z no..., żartuje?

-Czyżbym się na to mógł odważyć, signora? - rzekł dworsko astronom.

-Słyszałam zawsze, że komety są to błędne ciała niebieskie, odwiedzające nasz układ słoneczny, obiegające słońce, którego światło działając odpychając na lekkie pyłki czy gazy tworzące kometę daje początek długiemu warkoczowi, że masa ich jest znikoma w porównaniu z planetami, a nawet bolidami; że są jedynie gośćmi pojawiającymi się co kilkanaście czy kilkaset lat; że nieraz; po złożonej nam wizycie nie pokazują się więcej... Ale żeby można się zetknąć z jakąś kometą i dać się przez nią przedziurawić...

Astronom słuchał tej garstki pobieżnych wiadomości pięknej kobiety o kometach z poblazliwym uśmiechem.

-To wszystko mniej więcej zgadza się z prawdą - rzekł. - Muszę i tu przyznać, że my- astronomowie, nie potrafiliśmy zbadać dokładniej budowy fizycznej komet. Niektóre składają się z gazów i drobnego pyłku kosmicznej materii, ale trafiają się między nimi ciała, zawierające znaczne ilości materii. Nie mogę wdawać się tutaj w szczegóły, powiem tylko, że niektóre komety rozsypują się niejako w swej podróży dookoła słońca i koniec końców zamieniają w pierścien, składający się z drobnych ciałek. Pierścien ten szczątek komety, odbywa dalej drogę dookoła słońca. Kiedy nasza Ziemia na swej drodze przechodzi przez jeden z takich rojów, drobne ciała ulegając jej sile przyciągającej, wpadają z olbrzymią szybkością do atmosfery i zapalają się tak jak i większe meteory kotkiem tarcia o powietrze. Wtedy widzimy roj gwiazd spadających. W pewnym miesiącu, np. w sierpniu lub wrześniu, takie roje bywają bardzo obfite, Ziemia przebywa bowiem gestę roje, które miewają, jako pierścienie, szerokość setek tysięcy mil. My, astronomowie znamy drogi wielu rojów. Potrafiłem dotąd uniknąć spotkania z nimi, ale ten, w który tak niespodziewanie wpadliśmy nie jest nam dokładnie znany. Przypuszczam, że nie będzie on zbyt wielki. Przetniemy go w kilkanaście godzin... Chcąc uniknąć wypadku przedziurawienia naszego niebieskiego statku musimy nadać mu taką samą w przybliżeniu szybkość z jaką pędzą tworzące go drobne ciała.

-Zachowujemy się tak jak podróżny, chcąc wsiąść do pociągu znajdującego się już w biegu Biegniemy wzdłuż toru.

-Rozumiem - zawołała Arabella. - pociski nic nam już złego nie uczynią.

-Pędzimy przez ten napotkany roj nieco na ukos, inaczej nigdy byśmy się z niego nie wydostali - dodał Hobbs. - Szczęście, że nie potrzebujemy przy tym zbaczac z naszej drogi, która nas doprowadzi za paręset godzin do celu...

-Jeszcze tak długo - westchnęła Arabella. - A więc - dodała, otwierając drzwi do swego apartamentu, - doznaliśmy pierwszej i to nie było jakiej przygody. Zderzyliśmy się z kometą.

-Ze szczątkami starej komety - poprawił Harting.

### Smiercionosne promienie

Rakieta międzyplanetarna szczęśliwie uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa dzięki szybkiej orientacji i znajomości nieba Hartinga. Gdyby kontynuowano bieg jej w poprzek pierścienia drobnych ciałek, pochodzących z rozpadającej się komety, to obdarzone astronomiczną szybkością, mimo swej znikomej masy, podziurawiłyby one jak rzeszoto gruby pancerz stalowy i podróżni albo podusiliby się z braku ulatniającego się powietrza, albo zmarzliby na śmierć. Opatrzność była łaskawa dla zuchwałców, którzy tak lekkomyślnie opuścili ojczyznę planetę w poszukiwaniu lepszych czy ładniejszych światów, albowiem pierścień meteorytów miał "tylko" 200 tys. kilometrów grubości.

Rakieta, wydostawszy się z niego bez większych uszkodzeń, niebawem przecięła drogę okółsłoneczną, czyli orbitę Wenerę, która teraz jaśniała jak wielki polksiecz na tle nieba.

Wyprzedzono ją znacznie, lecz należało czekać, aż drogi tych dwóch ciał niebieskich okaza się względem siebie równoległymi i oczekiwać, aż Gwiazda Poranna zbliży się na tyle, żeby zaryzykować wtargnięcie rakiety do jej gęstej atmosfery.

Harting obliczył, że nastąpi to za jakieś kilkadziesiąt godzin ziemskich. Zwolniono bieg i przygotowywano się do lądowania.

Tymczasem Johnson i dr Norski byli pilnie zajęci jakąś kwestią, która widocznie mocno ich niepokoiła. Przyrodnik od czasu do czasu zapytywał towarzyszy podróży czy nie doznają jakichś niezwykłych wrażeń, albo dolegliwości.

Odpowiadano mu rozmaicie. Podczas gdy Arabella i jej małżonek czuli się jak najlepiej, inni skarżyli się na bóle głowy i osłabienie. Margrabina nie mogła się powstrzymać od wybadania astronoma i delegata Uniwersytetu Columbia.

-Czy na naszej rakiecie nie wybuchła czasem jaka epidemia? - zapytała Johnsona pograżonego w obserwowanie tajemniczego aparatu, przy którym spędzał po (kilka godzin dziennie).

-Nie grozi nam epidemia, lecz obawiamy się, że mogą nam tutaj zaszkodzić tajemnicze promienie kosmiczne.

-Pierwszy raz o nich słysze. Czy mają one coś pokrewnego z promieniami gamma których tak się leka inżynier Hobbs, że odgrodził od nich nas i siebie grubą ścianą ołowianą?

Uczony zakłopotał się nieco.

-Hm, chciałbym to pani w kilku zdaniach wyjaśnić - rzekł, - nie wystawiając na zbyt ciężką próbę pani uwagi.

-Och, niech się pan nie kępuje. Gwidonie, może byś i ty posłuchał, bo ja pewnie nie zapamiętam wszystkiego.

-Och, wykład będzie trwał minutę proszę pani.

-No to słuchamy.

-Nasz uczynek rodak Millikan, od dawna studiował dziwne promieniowanie przychodzące do nas, jak się zdaje, z dalekich światów, może z mgławic. Promienie te przenikają jak obliczono, grube warstwy rud metalicznych, a nawet bloki ołowiane kilkunastometrowe. Niosą więc ze sobą miliony razy większe ilości energii promienistej aniżeli owe promienie, wydzielane przez ciała promieniotwórcze jak nasz metauran, pedzacy nas w przestrzeni.

-Prawde mówiąc, my, fizycy nie zdołaliśmy jak dotąd zbadać ani ich natury ani pochodzenia. Przypuszczamy tylko, że są to cząsteczki obdarzone niepojętą energią skoro ich działanie wielokrotnie przewyższa działanie promieni gamma. Te właśnie promienie przyprowadzają o śmierć biedaków obrzuconych bombami atomowymi. Ciała stają się przy tym mocno radioaktywne tak, iż grzebanie ich nastrecza niebezpieczeństwo. Te wyjaśnienia powinny pani na razie wystarczyć. Na ziemi zabezpiecza nas od promieniowania kosmicznego atmosfera, ale tutaj, w tej próżni międzyplanetarnej nic nas od nich nie chroni, nawet nasz pancerz stalowy. Siedzę przy tym aparacie rejestrującym i liczącym tych niebiańskich gości, którzy wtargnęli do wnętrza naszego sztucznego bolidu i widzę, że nawiedzają nas licznie. Ciało nasze po kilkaset razy w ciągu paru godzin jest przez nie, że tak powiem, przenikane na wylot i zadaje sobie z kolegami pytanie, czy nie okaza się dla nas szkodliwymi. To, jak pani sama może osądzić, jest dla nas wszystkich dość ważne. Nieprawdaz?

-Przecież i na ziemi nie podobna ich uniknąć - zawołała rozbawiona tą przesadną troskliwością Arabella - jednak ludzie od tego nie umierają. Promienie ulegają wielkim przeobrażeniom przechodząc przez atmosferę. Zresztą nasi towarzysze podróży, jak się zdaje, zaczynają odczuwać ich obecność.

Arabella niewiele się przejęła tym nowym niebezpieczeństwem, ale jako wykwalifikowana pielęgniarka zaczęła pełnić swoje samarytańskie obowiązki. Okazało się, że kosmiczne promienie kilku jej towarzyszy podróży dość mocno dały się odczuwać. Ale Norski i Johnson pocieszała się, że niebawem wszystko się skończy wraz z wylądowaniem na Wenerze, do czego Harting najwidoczniej czynił przygotowania.

Najgorzej ze wszystkich czuł się Goldstone. Był on co prawda od dawna chory na nerwy i na serce, ale niepoważnie. Obecnie stan jego szybko się pogarszał ku wielkiemu strapieniu przewodników wyprawy. Margrabina Arabella robiła co mogła w zakresie swej skromnej wiedzy, żeby choremu przynieść ulgę w cierpieniach. Lecz widziała, że chory szybko traci siły.

Czyżby istotnie promienie Millikana, były zabójcze?

Na szczęście inni podróżni prócz ogólnego niedobrego samopoczucia nie skarżyli się na silniejsze dolegliwości. Śładz promienie nie jednakowo działały na różne organizmy.

Zbliżająca się szybko Wenera jaśniała już oslepiająco białym światłem. Harting mógł nareszcie rozpocząć próby, czy mu się nie uda przy pomocy radaru przejrzeć gęste chmury zasłaniające powierzchnie planety i dowiedzieć się coś o budowie jej powierzchni.

Rakieta szczywała w tym samym kierunku co i planeta. Należało teraz oczekiwać aż ją minie, znaleźć się w odległości jakichś pięciuset tys. km. i spożytkować ten moment do użycia radaru, tego wielkiego wynalazku, o którym mówią, że wygrał wojnę.

Bardzo silna wiązka promieni radiowych wychodzi z niewielkiej rury. Potrafi ona przebić atmosferę, czego nie mogą dokonać zwykłe fale elektromagnetyczne i odbić się od powierzchni planety a potem wrócić do nadawczego aparatu. Ani gęste chmury, ani ciemności ich nie zatrzymują. Co najciekawsze, że odbijają się one od lodów, oceany zaś pochłaniają je. Dzięki temu na ekranie aparatu wysyłającego rysują się wyraźnie kontury badanych terenów. Radar nie tylko wykrył lecące wysoko ponad chmurami w nocy samoloty nieprzyjacielskie ale i zanurzone pod wodą łodzie, które tak wielkie szkody poczyniły we flotach anglosaskich. Bitwa o Atlantyk nie została wygrana. Bombowce niemieckie ostrzeliwane przez kierowane według jego wskazówek baterie przeciwlotnicze, ponosiły tak dotkliwe straty, że bombardowanie miast angielskich przestało się opłacać nieprzyjacielowi.

Bombardując nawet poza mgłą, czy gruba warstwa obłoków, można widzieć na ekranie aparatu dość wyraźnie wskazany cel i nieomylnie obrzucać go bombami.

Takiego to cudownego aparatu zamierzał użyć Harting dla zdjęcia, które miało odsłonić ukryte pod grubą atmosferą lądu i morza na Wenerze. Wszystko sprzyjało tym usiłowaniom. Rakieta nie popędzana już swoim silnikiem, poruszała się w przestrzeni nabytą szybkością, która nasz astronom ocenił na dziesięć km w ciągu jednej sekundy. Ale i to było w tej chwili niepotrzebne. Zaczęto więc przy pomocy frontowych dysz hamować bieg rakiety. Należało o ile to możliwe wisieć nieruchomo w przestworzach i czekać aż Wenus zrówna się ze statkiem niebieskim. Moment ten miał nastąpić za kilkanaście godzin ziemskich. Radar znajdował się w gotowości do spełnienia włożonego mu zadania. Harting denerwował się tym oczekiwaniem zdając sobie sprawę z ważności wytkniętego mu zadania.

Tymczasem jednak zdarzyło się coś, co jeszcze bardziej go zdenerwowało. Oto szanowny przedstawiciel kopalni złota z Alaski czuł się coraz to gorzej. Serce jego uderzało już tak słabo, że trudno było wyczuć pulsowanie krwi w arteriach.

Teraz Arabella musiała zmobilizować wszystkie środki jakimi rozporządzała i dać na usługi konającego całą swoją skromną wiedzę lekarską. Zabrała w podróż apteczkę, robiła zastrzyki, dawała digitalis leżącemu nieruchomie i blademu Goldstone'owi. Lecz orientowała się, że jej zabiegi są bezskuteczne. Co było temu poszukiwaczowi złota? Nie wiedziała... Czyżby tajemnicze promienie kosmiczne były przyczyną tak opłakanego stanu chorego? Jeżeli działanie ich jest tak zabójcze, to dlaczego wszyscy pasażerowie nie odczuwają tych samych objawów co nieszczęsny Goldstone?

Pytała o zdanie Hobbsa, potem Hartinga, a nic się od nich pewnego nie dowiedziawszy zwróciła się do Przyrodnika.

Ale i on nie potrafił rozstrzygnąć nastreczających się wątpliwości.

Arabella zbadała wszystkich po kolei. Ten i ów czuł się niewyraźnie, narzekał na bóle głowy i złe trawienie, ale mogły być temu winne konserwy, którymi karmiono podróżnych od kilkunastu dni.

Podawanie witamin śladz nie zapobiegало temu stanowi rzeczy. Nic stanowczo nie wskazywało, że promienie kosmiczne będą zabójcą Goldstone'a. Jednak jego ciężki stan stwarzał jakas ciężką atmosferę. Rozważano skutki działania bomb atomowych na ludzi i zwierzęta, przypomniano sobie, że ofiary tej ultrazabójczej broni stają się po śmierci radioaktywnymi tak dalece, że grzebanie ciał porażonych promieniami gamma i wydzielających takowe grozi niebezpieczeństwem grabarzom, o ile nie posiadają oni odzieży ochronnej.

Johnson zbadał wszystkich towarzyszy lecz żaden z nich nie był "promieniotwórczym". A

wiec promienie kosmiczne musialy wywierac dzialanie calkiem innej natury.

Czyzby to dzialanie mialo dopiero w pozniejszym czasie wykazac swoje fatalne dla organizmu skutki?

Takie przypuszczenia nurtowaly mozgi wszystkich uczestnikow wyprawy i powodowaly zly nastroj. Bano sie nieznanego niebezpieczenstwa, ktore zawislo nad wszystkimi glowami.

Nastroj pesymistyczny spotegowal sie kiedy mimo usilnych staran Arabelli Goldstone wyzional ducha, nie doczekawszy sie rozwiazania zajmujacego go pytania, czy na Wenerze znajduja sie poklady zlotodajne.

Ppierwsza wizyta aniola smierci na rakiemie miedzyplanetarnej uczynila przygnebiajace wrazenie na, podroznych. Hobbs zastanawial sie dlugo co zrobic z cialem towarzysza wyprawy. O prawdziwym pogrzebie nie bylo nawet mowy. Nalezalo by trzymac nieboszczyka w ogolnym pomieszczeniu az do chwili wyladowania, a wiec przez kilkadziesiat godzin. Skadinad, ani inzynier ani jego koledzy nie byli pewni czy postawia stope na tej planecie. Po naradzie postanowiono usunac z rakiety szczatki niefortunnego bogacza. Otworzone wiec podwojne drzwi w boku stalowego cylindra, podobne do tych jakie istnieja na lodziach podmorskich dla wypuszczenia nurkow i po krotkiej ceremonii religijnej wyrzucono cialo w bezmierna otchlan gwiezdista. Panuje tam niezmiernie niska temperatura zapewniajaca bezterminowa konserwacje ciala.

Hobbs byl ciekaw co sie stanie potem z nieboszczykiem. Czy zniknie w bezkresnych przepasciach i zacznie spadac jak jaki meteor na slonce, czy tez na zblizajaca sie Wenere. Pragnac znalezc odpowiedz na to dreczace go pytanie inzynier wyjrzal przez peryskop. Jakiez bylo jego zdumienie kiedy spostrzegl cialo dokonywujace w odleglosci kilkudziesieciu yardow obrotu dokola metalowego cylindra skad niedawno je usunieto.

Nieboszczyk byl stale zwrcony twarza do rakiety, obracal sie zatem naokolo niej jak ksiezyc. Masa rakiety odgrywala w tym przypadku role kuli ziemskiej. Mister Goldstone nawet po smierci nie chcial rozstac sie z wehikulem jak gdyby pamietajac, ze za miejsce na nim zaplacil milion.

## Rozdzial XIII

### Radar wydziera wazna tajemnice Wenerze

Planeta Wenus, upragniony cel ryzykownej podrozy, przedstawiala sie teraz Hartingowi poprzez gruba szybe obserwatorium na rakiemie jak tarcza, dochodzaca do pelni ksiezycy. Srednica jej byla jednak niemal tak duza, jak dysk slonca. Totez mozna bylo dostrzec na niej nieregularne plamy bialosci swiezo spadlego sniegu. Nie ulegalo zadnej watpliwosci, ze byla to nieprzenikliwa dla oba gesta atmosfera, w ktorej unosily sie obloki. Radar mial przeniknac te warstwe, dosiegnac powierzchni planety, odbic od niej wiazke promieni radiowych, ktore wrociwszy do genialnie pomyslanego aparatu dadza obraz. Z niego nasz



astronom spodziewał się wyprowadzić wnioski pierwszorzędnej doniosłości dla wyprawy.

Bieg rakiety był, jak się zdaje, nieco powolniejszy aniżeli szybkość zbliżającej się planety. Tak właśnie jak chciał nasz astronom, ma barkach którego ciążyła teraz wielka odpowiedzialność: miał przygotować swój okręt międzyplanetarny do lądowania na nieznanym świecie. Winno się ono odbyć bez niespodzianek, przy zapewnieniu maximum bezpieczeństwa podróżnym, którzy powierzyli mu swoje losy w pełnym zaufaniu do jego wiedzy.

Ale zanim by rakieta weszła do atmosfery, wydającej się znacznie gęstsza aniżeli ziemską, musiał zapuścić elektromagnetyczne oko radaru dla wykrycia, jak się w głównych zarysach przedstawia powierzchnia planety. Wszak mogła przybyszyć czekac niejedna przykra niespodzianka: ktoż może odgadnąć, jakie jest ukształtowanie powierzchni sąsiadki naszej Ziemi? A jeżeli jest ona oblana jednym głębokim oceanem, spod powierzchni którego nie zdążyły jeszcze wyłonic się suche lądy? A rakieta międzyplanetarna nie była, jak wiemy amfibia, opuszczenie się jej na wodę równałoby się zagładzie. Dlatego też pierwszorzędnym, najważniejszym zadaniem dla Hartinga było przebić wiązką fal elektromagnetycznych atmosferę Wenus i zbadać co się pod nią ukrywa.

Nic więc dziwnego, że nasz astronom i asystujący mu Johnson doznawali emocjonującego oczekiwania.

Decydująca chwila wkrótce nadeszła. Planeta doścignęła wolniej poruszająca się, niż ona rakietę. Jej tarcza jaśniała jak olbrzymi księżyc. Obliczono pobieżnie, że odległość dzieląca od niej rakietę wynosiła jakieś pół miliona km. Puszczono więc w ruch radar. Harting z biciem serca obserwował ekran. Kiedy ujrzał na nim mglisty, lecz dość wyraźny obraz, z piersi jego wydarł się okrzyk triumfu.

Tak, wzrok nie mylił go. Na ekranie wystąpiły wyraźnie zarysy dość obszernego lądu, o głębokich zatokach. Harting pokazał to swemu asystentowi. A więc na Wenerze istnieją lądy, tak jak na kuli ziemskiej. Ale czy rakieta będzie mogła opuścić się na nie bezpiecznie?

Równocześnie nastreczało się naszym dwóm uczonym niezmiernie ważne pytanie: czy Wenus obraca się jak Ziemia dookoła swej osi, czy też, za przykładem księżyca i Merkurego, zwraca ku słońcu stale jedne polkule?

Wiść o odkryciu lądów na Wenerze obiegała błyskawicznie wśród podróżnych. Przedstawiciel armii, general Croops wcisnął się pierwszy do obserwatorium i w zapale zaczął sciskać dłoń astronoma.

-Jest pan, obywatelu Harting, Krzysztofem Kolumbem - wołał - odkrywa pan dla Stanów Zjednoczonych tak jakby nowa Amerykę, być może daleko bogatsza niż wszystkie lądy na kuli ziemskiej. Nasz naród, któremu zaczyna być ciasno na zajmowanych obszarach, naród pełen twórczej energii znajdzie dla swych sił nowe ujście... Składam panu w imieniu naszej

bohaterskiej armii dzięki.

-I ja przyłączam się do tych gratulacji w imieniu naszego Ministerstwa Kolonii - dodał jego towarzysz, wtykając łysą głowę do obserwatorium.

-Stany na gwałt potrzebują bogatych kolonii. Niestety świat podzieliły już między sobą narody, które wcześniej od nas stały do podziału...

-Wielka Brytania - syknął Crops. - Jej zachłanność...

-Ja sądzę, że nasze odkrycie wzbogaci całą ludzkość - przerwał Harting.

-Jak obszerny jest, według pana ten ład, który udało się panu dostrzec? - pytał urzędnik kolonialny.

Astronom nie miał jednak ochoty dawać żadnych odpowiedzi tym ludziom, przejętym ciasnym egoizmem narodowym. Powitał uprzejmie Arabello, która także pragnęła dowiedzieć się cokolwiek o nowych ładach.

-Lekam się, czy nie będzie nam na Wenerze zbyt gorąco - rzekła. - Na szczęście zaopatrzyłam się w lekkie suknie letnie, które nosiłam w Miami na naszej Florydzie, gdzie nacierpiałam się od nieznośnych upałów - mówiła. - A czy tam rosną palmy?

Astronom uśmiechnął się słuchając tych naiwnych pytań.

-To się niebawem zobaczy - odparł. - Teraz jednak nie mam czasu droga margrabino. Zajmuje mnie inne pytanie, znacznie ważniejsze. Mogę tylko powiedzieć pani, że Wenus posiada wodę i gestę atmosfery, która będzie łagodziła, jak sądzę, zbyt silne promieniowanie słoneczne. Może więc wytrzymamy jej klimat.

Pilno mu było pozbyć się ciekawskich. Usiadł na nowo przy radarze i bacznie przyglądał się zarysom ładów. Przez dłuższy czas nie odrywał oka od ekranu.

-Co kolegę w tej chwili najbardziej interesuje? - zagadnął przyrodnik.

-Proszę, podaj mi pan ołówek i papier. Chcę skreślić kontury tych ziem, które dostrzegam. Kiedy znajdziemy się już na nich, tego rodzaju obserwacje stają się niemożliwe. Poza tym chciałbym cokolwiek dowiedzieć się o ruchu Wenus dookoła jej osi. Obserwacje teleskopowe nic nam o tym nie mówią. Nie oglądaliśmy ani ma chwile właściwej powierzchni tego ciała niebieskiego. Przeklecie gesty atmosfera stanowiła dla nas nieprzenikliwą barierę. Ale teraz kiedyśmy się znaleźli w tak małej odległości, radar być może rozjasni nam tę ważną kwestię.

-Kiedy tak, to nie przeszkadzam - odpadł fizyk usuwając się dyskretnie na bok.

Harting doznał w tej chwili wzruszenia, które znają tylko uczeni, wielcy wynalazcy i artyści. Czuli, że za chwilę odsłoni się przed nim rąbek wielkiej tajemnicy przyrody, że zrobi odkrycie, które roznieśli i rozślawi jego imię w świecie uczonych.

-Czy Wenus obraca się jak Ziemia wokół swej osi? A jeżeli tak jest, to jak długo trwa na niej doba?

Parę godzin cierpliwości i namiętnej uwagi a na to pytanie, od dawna zajmujące wszystkich astronomów świata, znajdzie się odpowiedź.

Harting siedział jak przykuty do swego krzesła i wlepił wzrok w ekran. Musiał się przekonać, czy obraz owego, dostrzeżonego niedawno ładu, będzie wolno i to może bardzo wolno zmieniać miejsce.

Po dwóch godzinach napreżonego oczekiwania Harting wydał okrzyk, wyrażający najwyższe zadowolenie.

-Mr. Johnson - wołał klaszcząc w dłonie - inżynierze, doktorze Noriski. Już wiem. Obraca się, słyszyście, ona się kręci jak nasz glob i to dość szybko. Przekonajcie się sami.

Wezwani otoczyli naszego rozradowanego astronoma, który sadzał ich kolejno na swoim miejscu i kazał sprawdzić swoją obserwację.

Po jakimś czasie musieli oni przyznać, że Harting nie omylił się.

Dostrzeżony ład zdradzał powolny wprowadzić ale wyraźny ruch.

Wobec tego sprawdzonego trzema parami oczu faktu nie ulegało wątpliwości, że Wenus posiadała własny ruch obrotowy. Ale określić długość jej doby, różniacej się prawdopodobnie od ziemskiej, nie było łatwe zwłaszcza, że czas naglił. Musiano przygotować się do kulminacyjnego momentu w całej wyprawie, to jest do lądowania na tym dalekim świecie, do którego energia atomowa i geniusz Noriskich, Hobbsów i Hartingów doprowadził te garstki pionierów - stracenców.

Ten pomysłny wynik obserwacji umożliwionych dzięki radarowi, przenikającego mgłę, chmury i ciemności, stał się sensacją dla pasażerów i członków załogi Niebieskiego statku. Zapanował powszechny entuzjazm. Gdyby to się działo na Ziemi, nie zaś w 7 pustyniach międzyplanetarnych, to Hartinga noszono by przy okrzykach "hip, hip, hurra". Ale szczupłe stosunkowo wymiary wnętrza rakiety kładły tam podobnym objawom zachwytu i radości. Nabrano za to nieograniczonego zaufania dla przewodników wyprawy i słuchano ślepo ich rozkazów.

Statek międzyplanetarny znajdował się jak wiadomo w odległości 100.000 km. od Wenus, która w promieniach nie zachodzącego słońca świeciła jak duże słońce. Hobbs puścił w ruch silniki odrzutowe, gdyż według zlecenia otrzymanego od Hartinga musiał utrzymywać swój

statek w coraz bliższym kontakcie z planetą i nie dać się jej wyprzedzić. Przekonał się z radością, że rakieta łatwo dotrzymywała kroku Wenerze, chociaż ta robiła z góra dwadzieścia km. na sekundę. Za jakieś dwie godziny ziemskiego czasu rakieta miała wejść w najgorniejsze warstwy atmosfery planety. I tutaj nasi podróżnicy oczekiwali mogli wielkich niespodzianek. Co by się z nimi stało gdyby ta atmosfera swym składem chemicznym różniła się kardynalnie od ziemskiej, gdyby np. nie było w niej tlenu tylko jakieś inne gazy, niezdadne do oddychania.

Wówczas nie pozostawałoby naszym śmiałkom nic innego jak wracać co prędzej na starą poczciwą Ziemię, która tak idealnie odpowiadała ich naturze. Ale czy zapas powietrza zabrany w zbiornikach wystarczyłby im do takiej podróży?

Toteż Nórski przygotowywał się gorączkowo do zaczerpnięcia atmosfery, w której miało się niebawem znaleźć i do zrobienia na niej analizy chemicznej.

Tarcza doganianej planety rosła niemal w oczach. Teraz zbliżano się szybko do jej powierzchni. Harting na zasadzie spostrzeżeń uprzednio dokonanych w swym obserwatorium, przypuszczał, że atmosfera Wenus jest znacznie gęstsza niż ziemską i sięga przynajmniej na wysokość 1.000 km.

Niebawem zauważono pewien wzrost temperatury we wnętrzu rakiety - pozwalało to domyślać się, że powodem tego zjawiska leżał w tarcu ścian cylindra metalowego o górne warstwy atmosfery, a może też, że otaczająca ją przestrzeń nie była już tak okrutnie zimna.

Starano się przeniknąć warstwę chmur, zakrywającą nieznaną świat, lecz daremnie. Jeden tylko radar potrafił dokonać tej sztuki. Nowe obserwacje dały pewne ważne wskazówki. Tajemniczy ład nabrał wyraźnych konturów. Rakieta unosiła się nad nim już tylko w odległości 20 tys. km i znajdowała się najwyraźniej w tej zagadkowej atmosferze, której skład tak mocno interesował Nórskiego.

Nareszcie, po godzinie wyczekiwania, zaczerpnięto próbkę i nasz chemik, w swym małym, ale dobrze zaopatrzonym laboratorium zabrał się do pracy. Wyniku tej analizy oczekiwano z nerwowym napięciem. Każdy bowiem zdawał sobie sprawę, że w tej chwali waga się losy wyprawy. Po godzinie wyjrzał ze swej klatki Nórski. Na jego wychudłej twarzy malowała się radość.

-Jest, jest - postarzał trzymając w ręku małą próbkę szklaną.

-Co jest, u diabła - wrzasnął zniecierpliwiony Hobbs - Mówże pan po ludzku. Czyż nie widzisz, że umieramy z ciekawości.

-Jest, jest tlen, - wołał tryumfalnie chemik - i to dużo tlenu, znacznie więcej niżeli tam u nas.

-Ile, ile? - pytał Harting.

-Prawie jednia trzecia na objetosc. Powiedzialbym, ze jak dla nas za duzo nawet...

-Nigdy tego zyciodajnego gazu nie moze byc za wiele, - protestowal Hobbs. - Przeciez to nie jest niebezpieczne.

-Poniekad tak. Oddychanie w takiej atmosferze bedzie latwe, przyznaje, ale... Bedziemy mieli zbyt zywe tetno w arteriach i...

-Ach, to bagatelka. Najwazniejsze, ze sie nie podusimy - wolal Hobbs.

-Ale za to mozemy sie spalic. Pozary w tak mocno utlenionym powietrzu sa niebezpieczne.

Ta wiadomosc wystarczyła, zeby wlac nowy strumien optymizmu w serca naszych podroznych. Wiedzieli teraz, ze na tym dalekim i nieznanym swiecie jest czym oddychac, a obecność gestych oblokow, nie pozwalajacych wzrokowi przeniknac az do powierzchni, dowodzila z drugiej strony obecności wody. Dwa kardynalne warunki dla zycia organicznego istnieja na Wenerze, smialo zatem mozna na niej ladowac.

To ladowanie teraz zaprzatalo glowe Hobbsa. Czy dostrzezony przez radar lad nadawal sie do tego. Czy nie byl porosniety bujnym lasem, albo najezony ostrymi skalami, grozacy mi wielkim niebezpieczenstwem opuszczajacej sie rakiecie?

Musiano przedsiwziac wszelkie srodki ostroznosci. Gdyby statek doznal awarii, to podrozni mieliby odciety powrot na Ziemie, a wowczas wszystko, nie wylaczajac zaglady, byloby w perspektywie.

Podczas tych rozwazan zaprzatajacych umysly zalogi rakiet pograzala sie coraz glebiej w atmosfere Wenery. Pod nia lezal spowity w gruba warstwe chmur nieznan lad, majacy wedlug Hartinga obszar kilku wschodnich stanow Unii albo wysp brytyjskich. Silniki pracowaly ze znacznie zmniejszona sprawnoscia, azeby tarcie o czasteczki gazow nie nadwerezyl skrzydel. Slychac bylo wyraznie szum. Rakiet z bolidu zamieniala sie stopniowo w olbrzymi samolot. Nagle w jednym miejscu zaslon obloczna otworzyla sie i przez to okno podrozni, przyklejeni do szyb, ujrzeli wspanialy widok: mai tle ciemnoszmaragdowego oceanu jasnialy wielkie plamy kapryśnie rzezbionych wysp. Ale trwalo to bardzo krotko, po czym znow chmury zaslonily dostrzezony lad. To wystarczylo sternikom rakiety do zorientowania sie. Znajdowano sie o kilkadziesiat kilometrow zaledwie ponad powierzchnia tajemniczej planety, w sferze odpowiadajacej jonosferze ziemskiej. Temperatura podnosila sie wyraznie.

Harting porzucil na chwile swoje stanowisko i oznajmil uroczyscie towarzyszom podrozy, zeby przygotowali sie do ladowania. Na jego twarzy malowal sie triumf. Mlody uczone nie mogl sie powstrzymac usciskal serdecznie Hobbsa, rownie jak on triumfujacego.

-No, mozemy sobie powiedziec: udalo sie Niebawem noga pierwszego czlowieka dotknie powierzchni obcej planety.

-To Norski umozliwil nam osiagniecie tego wymarzonego celu - zawolal inzynier. - Gdziez on jest?

Uczony chemik znajdowal sie w apartamenciku pieknej Arabelli, ktora zarzucala go gradem pytan. Doktor byl bardzo speszony, gdyz na zadne z nich nie potrafil dac odpowiedzi ciekawej kobiecie.

-Jak sie panu zdaje doktorze, czy na Wenerze zyja istoty madrzejsze od nas? Czy cywilizacja i wiedza ich przewyzsza nasza.? Czy mieszkancy tych krain pobudowali takie wspaniale grody jak nasz Nowy York? Czy znaja radio i telewizje? Lekam sie, ze sa daleko poza nami, gdyz inaczej oni pierwsi zlozyliby nam wizyte, nie czekajac, az my sie tu zjawimy...

Podniecona pieknosc paplala, nie sluchajac nawet monosylabowych odpowiedzi doktora, usmiechajacego sie poblazliwie.

-Cierpliwosci, droga margrabino - bronil sie biedaczysko - jeszcze kalka dni a wszystko sie wyjasni.

-Po czesci juz sie wyjasnilo - zawolal Harting wchodzac. - Nasza rakietka szybuje o kilkanascie kilometrow zaledwie ponad obszerna wyspa, na ktorej mamy zamiar ladowac. Skladamy tu dzieki naszemu doktorowi, ktory dal nam srodek pokonania przestrzeni dwudziestu milionow z gora kilometrow, dzielacych Ziemię od jej najblizszej sasiadki. Dr Norski niech zyje!

Chemik usmiechnal sie.

-Dziekuje, ale nie zasluzyłem na to wyroznienie, to pan raczej...

Po czym wszyscy z Arabella i jej mezem wybuchneli smiechem. Piersi ich rozpierala duma. Uswiadomili sobie donioslosc tej chwili.

Geniusz ludzki przewyciezyl wszystkie trudnosci, swiat rozszerzyl sie.

Czlowiek stal sie obywatelem calego systemu planetarnego, obiegajacego slonce.

Czesc II

Na obcej planecie

Rozdzial XIV

Jak wygladal daleki swiat z lotu ptaka

Rakietka unosila sie juz teraz zaledwie o dwa kilometry ponad rozleglym oceanem, z ktorego wznosily sie strome lady, uwiecznione snieznymi szczytami. Inzynier Hobbs sledzil uwaznie te

ziemie, ogladane po raz pierwszy okiem ludzkim, poszukujac uwaznie miejsca zdatnego do ladowania. Jego statek nie mogl osiasc na wodzie, gdyz byloby to polaczone dla niego z pewnym niebezpieczenstwem; nie wiadomo bylo czy silnik odrzutowy dzialac bedzie w wodzie. Podrozni stloczeni przy okienkach sledzili z najwyzsza ciekawoscia te ziemie, na ktorych niebawem mieli sie znalezc.

Arabella ze swoim mezem dzielili sie doznawanymi wrazeniami.

-Nigdzie nie widac zadnego miasta - narzekala Piekna margrabina.

-Nie dostrzegam zadnego komina fabrycznego - dodal Gwidon. - Czyzby tutejsi mieszkancy nie bywali ognia w swoich zakladach przemyslowych, a moze juz, tak jak my, odkryli energie atomowa, albo tez korzystaja z elektrycznosc.

-A ja widze dym - zawolala radosnie Arabella. - Patrz1 na te wysoka gore.

-Alez to wulkan - wyjasni! Gwidon. - Nosi na glowie srebrny kolpak, musi wiec byc rownie wysoki jak nasza Etna.

-Boze, jakiez to dzikie i ponure krajobrazy. W nizinach rosna tak jak na Ziemi bujne lasy, tylko ich zielonosc jest jakas niebieskawa. Jak dotad ani sladu zadnej siedziby ludzkiej. Dostrzegam w morzu jakies wieloryby, czy inne potwory, olbrzymich rozmiarow. Widze wyraznie jednego, ma glowe osadzona na dlugiej szyi, igra w wodzie rozbijajac ja na piane swymi poteznymi pletwami. Zaczynam sie lekac, ze ten swiat jest calkiem niepodobny do naszego. A moze tu wcale nie ma ludzi takich jak my, lub chocby podobnych do nas? To byloby okropne znalezc sie miedzy dzikimi bestiami bez zadnego inteligentnego towarzystwa. Wiesz Gwidonie, obawiam sie, zesmy wpadli, bedziemy tu chyba zyli jak jacy Robinsonowie na bezludnej wyspie, nie ma co marzyc o jakims porzadnym hotelu ani o najpospolitszych wygodach.

-Alez bedzie tu prawdziwy raj dla mysliwych, takich jak ja - odparl Gwido zacierajac radosnie rece.

-Och, ty zawrze myslisz tylko o sobie, trzeba bylo siedziec dalej w Afryce i polowac na slonie zamiast przyjezdzac do New-Yorku.

-Upolowalem tam najpiekniejsza zwierzynie pod sloncem, ciebie najdrozsza Arabello - dodal calujac w usta swoja zone.

-Czyz jestem dla ciebie zwierzatkim? - dasala sie pieknosc, oddawszy goracy pocalunek mezowi.

-Jestesmy wszyscy po trochu zwierzetami, nie masz wiec o co obrazac sie najdrozsza. Na pewno tu na Wenerze nie znajdziesz godnej siebie rywalki.

-Jakże jestem ciekawa ujrzec tutejszych ludzi. Może żyją oni w tej legendarnej erze złotej, o której opowiadają, że ludzie byli wówczas najszczęśliwsi, gdyż prowadzili życie bez troski, tak jak nasi wyspiarze na oceanie Spokojnym. Wyznam ci jednak Gwidonie, że takie życie wcale mi się nie uśmiecha. Nie potrafiłabym już obyć się bez pięknych domów, gdzie znajduje wszystkie wygody, bez nowoczesnych mebli, bez samochodów, radia, bez telefonów, bez tych wszystkich wynalazków XX wieku, które nam tak uprzyjemniają życie. Wole dobry obiad w wykwintnej restauracji, niż orzechy kokosowe, ananasy i grapefruity, którymi racza się dzikusy.

-Zdaje mi się, że tego wszystkiego tu nie znajdziemy, ale za to czekają nas liczne niespodzianki, za którymi ty, jak wiem, przepadasz.

-Oby tylko nie były to jakie przykre przygody - westchnęła Arabella.

-W każdym razie nasza podróż poślubna nie będzie banalna - zauważył margrabia głaszcząc aksamitną rączkę żony.

Przy sąsiednim okienku stali: płk. Croops, przedstawiciel armii Stanów, delegat Ministerstwa Kolonii Hipping i Mt. Doods, który dotychczas unikał towarzystwa i uporczywie milczał. Człowiek ten, jak wiadomo, cierpiał na mizantropię i udał się w podróż w dalekie światy ludzkie nadzieją, że spędzi resztę życia z dala od ludzi.

-Czy ma pan gotową flagę Unii? - zagadnął pułkownik zwracając się do Hippinga. - Za parę godzin, mam nadzieję, będzie ona dumnie powiewała nad tymi ładami, które teraz leżą pod nami. Będzie to dla mnie najbardziej uroczystą chwilą w życiu. Jak nazwiemy te ziemie?

-Ja proponuję nazwać ją Ziemią Lincolna albo Waszyngtona - rzekł Hipping.

-Czy widzi pan tę dużą wyspę, uwieńczoną trzema wysokimi górami - zagadnął pułkownik. - Ochrzczijmy ją mianem Ziemi Roosevelta.

Delegat kolonii uśmiechnął się kwasno.

-Niech i tak będzie - mruknął. - Ale czy nie byłoby lepiej nazwać ją imieniem generała, który wygrał światową wojnę - dodał odgadując myśli towarzysza, zapalonego liberala - np. Ziemia gen. Marshalla?

Rozmowę tę przerwał szyderczy śmiech Doodsa.

-Ależ, panowie - zawołał mizantrop Doods - nie wiecie jeszcze czy uda nam się szczęśliwie wylądować, a już sprzeczacie się o nazwy. Co do mnie, mam nadzieję, że tu nie ma nie tylko ludzi, od których rad bym trzymać się jak najdalej, ale żadnych inteligentnych twórców i że te ziemie wcale nie nadają się na kolonie dla naszej Umii.

-Dlaczego nie miałyby się nadawać? - oburzył się Hipping.



-Po prostu dlatego, że to świat całkiem odmienny od naszego. Zdaje mi się, że znajduje się on w jakiejś epoce, która nasza Ziemia przeżywała miliony lat temu, kredowej czy węglowej, jak to tam nazywają geolodzy. Przebrzydły rodzaj ludzki nie zdążył jeszcze rozplenić się na tej pięknej planecie to właśnie najbardziej mi dogadza. Jeżeli się nie mylę, to tam na tej plaży, która tak jasno świeca w słońcu swoim piaskiem, dostrzegam jakieś iguanodony, albo coś bardzo do nich podobnego, w każdym razie nie są to ssaki, lecz olbrzymie jaszczury, chodzące na tylnych łapach jak kangury. Proszę, spojrz pan przez lornetkę.

-W samej rzeczy - zawołał Hipping - te bestie mają przynajmniej ze 20 jardów wysokości i waga więcej niż nasze słonie. Można je chyba porównać ze współczesnymi wielorybami antarktycznymi.

Podobne spostrzeżenia robił przez inne okienko delegat Uniwersytetu Kolumbijskiego, który śledził przez lornetę pryzmatyczną przesuwając się pod rakieta krajobraz. I jemu się wydawało, że fauna na Wenerze różni się mocno od ziemskiej, lecz nie zorientował się jeszcze dokładnie, chociaż zauważył, że ocean roi się od rozmaitych stworzeń o dziwacznych formach.

Najwidoczniej wody przeważały tutaj nad lądami, które nie były rozległymi kontynentami, lecz obszernymi wyspami, przypominającymi obszarem Wielką Brytanię.

Sily wulkaniczne znajdowały się w stanie ożywione; działalność, przelatywano często ponad dymniami kraterami i ponad strumieniami górnymi, po stokach których spływały potoki wrzającej lawy. Hobbs z doktorem NoTsfoim bacznie śledzili rozległy krajobraz, szukając miejsca odpowiedniego do lądowania.

Inżynier i jego towarzysze byli w stanie najwyższego podniecenia.

-Muszę się przyznać, kochany doktorze - mówił Hobbs. - że doznaję pewnych wyrzutów sumienia. Nasza wyprawa jest, jak przyznasz, wielce ryzykownym przedsięwzięciem, nie mieliśmy w gruncie rzeczy żadnych szans, że uda nam się dotrzeć do tej pięknej planety, "która zwiemy Gwiazda Poranna lub Wieczorna. Spotkała mnie miła niespodzianka, lecz czy nie było to z mojej strony wielką nieostrożnością, że zabrałem w tę podróż kilkunastu ludzi, którzy mi powierzyli swoje życie. Dziwię się, że mi okazano tyle zaufania. Powinnismy byli ograniczyć naszą załogę do kilkunastu uczonych, takich jak pan, albo Johnson.

-Gdyby nie ci ryzykanci... - odparł Norzki.

-Awanturnicy, poszukiwacze przygód - poprawił inżynier.

-Smialo ich tak można nazwać - przytaknął Norzki. - Widzę, że jest w Stanach mnóstwo ludzi, gotowych narazić się na największe niebezpieczeństwa, byle zaznać nowych i silnych wrażeń; do takich właśnie typów zaliczam naszą piękną Arabelle i jej małżonka. Co my tutaj będziemy z nimi robili?

-No, już ja ich potrafię zużytkować - zawołał Hobbs. - Margrabia i panski Dick będą stanowili straż bezpieczeństwa, która jak się zdaje będzie nam potrzebna. Jak pan widzi nie brak tu olbrzymich bestii, którym może przyjść ochota zjeść któregoś z nas na śniadanie. Na szczęście mamy dobrą broń i duży zapas amunicji.

-Przyznam się panu - dodał Norwicz, - że zabrałem ze sobą parę bomb atomowych, mojej własnej konstrukcji. To nam zapewnia bezpieczeństwo osobiste.

-Obecnie jednak najważniejszą kwestią jest dla nas wypatrzenie dogodnego lądowiska dla naszego statku międzyplanetarnego. O tym, żeby opuścić się gdzieś w górach nie ma co nawet marzyć, te szczyty są bardzo strome, nie dostrzegam między nimi równych płaskowzgórzy. Najdogodniej będzie wylądować na jednej z tych rozległych plaż, które błyszczą jaskrawo w słońcu. O, teraz mamy krótką chwilę, w której gęste obłoki nie zasłaniają nam gwiazdy dziennej. Widzę, że atmosfera tutaj jest bardzo gęsta, obfitość wód sprawia, że chmury prawie ciągle zasłaniają niebo, które tu posiada bardzo głębokie zabarwienie, przypominające niemal naszą ultramarynę. Te właśnie obłoki nie pozwalają nam dostrzec z Ziemi żadnych szczegółów na powierzchni Wenus. Jest dla nas jednym z najważniejszych zadań określić długość doby tutaj. Jak pan sądzi - dodał zwracając się do Hartinga, - czy ta planeta obraca się wokół swojej osi, czy też tak jak nasz Księżyc dokonuje tylko jednego obrotu w ciągu całego swego roku?

-Zdaje mi się, że się obraca, ale możemy to stwierdzić dopiero po wylądowaniu. Tymczasem byłoby pożądane odbyć jak najodleglejszą podróż na naszej rakiecie, która zamieniła się na samolot i zbadać jak najdokładniej rozkład lądów tutaj. Opuścimy się na ten, który będzie się najlepiej nadawał dla nas jako siedziba.

-Jak widzę zamierza pan spędzić tutaj dłuższy czas - uśmiechnął się Hobbs.

-Sądzę, że rok albo i dłużej - rzekł astronom - nie zapominaj pan, że planeta, na której się znajdujemy, na swojej drodze wokół słońca wyprzedza Ziemię, która przeto coraz bardziej się od nas oddala. Kiedy dokona ona całkowitego obrotu wokół słońca, jej odległość od "kuli ziemskiej" będzie znacznie większa niż ta, jaka przebyliśmy w tej podróży. Obawiam się czy będziemy w stanie przebyć ją w drodze powrotnej.

-Będziemy się martwić o to trochę później - zaśmiał się Hobbs.

-Metauranu na pewno wystarczy - dodał Norwicz - w próżni międzyplanetarnej będziemy mogli osiągnąć taką szybkość jaką będzie nam potrzebna choćby nawet 30 km. na sekundę.

Rakieta minawszy wyspę, nad którą szybowała zapuściła się nad rozległe wody w poszukiwaniu innego lądu. Poruszała się z szybkością przynajmniej tysiąca km. na godzinę, która pozwalała odbyć podróż naokoło świata w bardzo krótkim stosunkowo przeciągu czasu. Johnson, który przyłączył się do grupki trzech uczonych, robił także spostrzeżenia w

zakresie swojej wiedzy, musiał on skonstatować, że Wenera była znacznie uboższa w ląd stały, aniżeli Ziemia. Największy z dostrzeżonych kontynentów nie dorównywał swoim obszarem Ameryce Północnej, za to wysp nie brakowało, wiele spośród nich było uwiecznione czynnymi wulkanami, co pozwalało się domyślać, że trzęsienia ziemi są tu zjawiskiem bardzo pospolitym. Jednym słowem Wenera była znacznie młodsza planeta aniżeli kula ziemską.

## Rozdział XV

W którym rakieta międzyplanetarna ląduje na obcej planecie

Po długich poszukiwaniach zdecydowano się opuścić na upatrzony ląd, który, jak się zdawało naszym podróżnikom, stanowił główną część dalekiego świata. Był on poprzeczony kilkoma wysokimi, gorskimi łańcuchami, między którymi leżały rozległe płaszczyny, porośnięte gestymi lasami. Przyrodnik wyprawy zauważył, że barwa roślinności na Wenerze była na ogół znacznie ciemniejsza aniżeli ziemskiej, co pozwalało się domyślać, że skład chemiczny chlorofilu tamtejszego zawierał znaczną przewagę ciałek niebieskich nad żółtymi.

Wybrzeże morskie świeciło licznymi i szerokimi plażami, nadającymi się najlepiej do lądowania ciężkiego wehikulu międzyplanetarnego.

Zbliżała się najbardziej uroczysta z całej podróży chwila, wiążąca usiłowania Hobbsa i jego towarzyszy. Po raz pierwszy od stworzenia świata stopa ludzka miała dotknąć powierzchni obcej planety. Kiedy Hobbs oznajmił tę wielką nowinę swoim współtowarzyszom podróży, pułkownik Croops i jego kolega z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Hipping podjęli wielce ważną według ich zdania, kwestię, czyja ma być ta noga, która dotknie powierzchni Wenery pierwsza. Przedstawiciel armii uważał, że on powinien być tym pierwszym człowiekiem, stąpającym po kontynentach dalekiego świata, gdyż jego obecność na rakiecie międzyplanetarnej stwarza wyraźną sytuację: Rząd Stanów biorąc udział materialny w wyprawie, tym samym wydelegował pułkownika Croopsa w charakterze gubernatora nowo odkrytych przestrzeni życiowych dla narodu Stanów Zjednoczonych, wprawdzie nie posiada urzędowej nominacji na stanowisko, lecz kładzie to na karb braku orientacji sfer rządowych pod tym względem.

Radca Ministerstwa Kolonii, Hipping, zaproponował energicznie przeciwko poglądom swego kolegi. Był on zdania, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych Unii hierarchicznie stoi ponad armią Stanów. Nowo odkryte ziemie stają się niebawem kolonią Stanów Zjednoczonych i wobec tego powinny znajdować się pod władzą Ministerstwa Kolonii, którego on, Hipping jest delegatem. Dlatego to noga przedstawiciela Ministerstwa Kolonii powinna pierwsza dotknąć lądu nieznanego świata.

Inżynier Hobbs wmieszał się do dyskusji między tymi dwoma urzędowymi osobistościami.

Ani pułkownik ani radca nie mogą rościć tak nieuzasadnionych pretensji. Jeżeli komu należy się ten zaszczyt, to chyba doktorowi Morskiemu, którego naukowa praca, daleka od wszelkich korzyści materialnych, umożliwiła ludzkości dokonanie tak wspaniałego dzieła, jakim jest wyprawa międzyplanetarna.

Przedstawiciel Uniwersytetu Kolumbijskiego dr Johnson poparł inżyniera, który jako kapitan międzyplanetarnego statku powinien mieć głos rozstrzygający tej sprawie. Rzecz prosta, że Hobbs przelał na Norskiego spory zaszczyt, to jednak wprawilo pułkownika w kwaśny humor. Rakietę zniżyła lat i szybowiała wzdłuż wybrzeży; pilot otrzymał polecenie wybrania jak najgładziej części plaży, jaskrawo odbijającej swą żółtawą barwą, od tła szmaragdowo-blekitnego oceanu. Wszyscy oczekiwali w najwyższym napięciu momentu, w którym rakietę dotknie nieznanego świata. Lotnik zdał świetnie tak trudny egzamin, jakim jest lądowanie na niepewnym, nieprzygotowanym do tego celu gruncie.

Niebawem odczuto lekkie wstrząśnienie, wielkie kółka rakiety dotknęły plaży, która była gładka i twarda dzięki temu, że fale morskie często ją obmywały; miano wnet odetchnąć obca atmosfera która, jak stwierdził Norwski, zawiera dostatek tlenu. Otwarto więc podwójne, żelazne drzwi, przy których stanął doktor Norwski, przez chwilę wahał się, potem energicznie, nie korzystając ze stopni, zeskoczył na wilgotny piasek. Jego stopy wryły się wien głęboko, były to pierwsze ślady stopy ludzkiej na Wenerze. Tuż za doktorem wyskoczył delegat Ministerstwa Kolonii Hipping, trzecim - pułkownik Croops, czwarty - inżynier Hobbs, który pomógł wysiąść pięknej Arabelli, rozglądającej się ciekawie dookoła siebie. Nie upłynęło parę minut, a już cała załoga rakiety opuściła jej wnętrze, wszyscy wciągnęli z ulgą i rozkoszą balsamiczne, bogate w życiodajny tlen powietrze, które wydawało im się znacznie gęściejsze aniżeli ziemskie.

Johnson wrócił pośpiesznie do swojego laboratorium i powrócił trzymając w ręku metalowy barometr.

-Co ja widzę - zawołał, - strzałki aneroidu pokazują przeszło 1000 mm. ciśnienia.

-1250 - poprawił Hobbs spojrzawszy na podziałkę przyrządu, - to znaczy, że Wenera posiada bardzo wysoka, a więc i bardzo gęsta u powierzchni atmosferę. Na razie nie odczuwamy tej poważnej różnicy w ciśnieniu, lecz kto wie czy nasze płuca wytrzymają to na dłuższą metę.

-Uf, jak gorąco i parno, - narzekała piękna Arabella - Słońce pali tu niemiłosiernie, całe szczęście że go wcale nie widać spoza gęstych obłoków.

Mister Johnson ze swej strony pobiegł na sam brzeg morza i zaczerpnął w dłoń wody, a skosztowawszy jej zawołał:

-Ocean zawiera tu znacznie mniej soli, aniżeli ziemski, co najwyżej 0,2%. Jeszcze jeden dowód, że Wenera jest znacznie młodsza od kuli ziemskiej, co by się zgadzało z teorią

Fay'a o powstaniu układu planetarnego. Jaka szkoda, że nauka nie rozstrzygnęła ostatecznie tej kwestii.

Każdy z przybyszów na nową planetę notował swoje pierwsze wrażenia, wszyscy po kolei sprawdzali obserwacje Johnsona; skonstatowano, że woda morska była bardzo ciepła, temperatura jej wynosiła 32°C.

Te pobieżne badania i obserwacje przerwał pułkownik Croops, który wetknął w wilgotny piasek drzewce od flagi Stanów Zjednoczonych i ustawił w wojskowym ordynku całą załogę rakiety, nie wyłączając margrabiny Arabelli i pokojówki Fanny. Oznajmił on uroczystie, że obejmuje nowo odkryty świat w posiadanie Unii i wezwał wszystkich obecnych do odśpiewania hymnu narodowego. Radca Hipping dodał od siebie, że na podstawie udzielonego mu mandatu, uważa te ziemie za kolonie Stanów i ma nadzieję, że jego towarzysze będą go uważali za gubernatora, sprawującego tutaj władzę cywilną.

Co za parada - zasmiał się Hobbs - pamiętam, że Krzysztof Kolumb także był mianowany gubernatorem Ameryki, także przez siebie odkrytej, ale go zazdrośni rywale zamknęli w więzieniu. Mam nadzieję, kochany radco, że nikt z nas nie zgótuje panu podobnego losu. Poddaje się pokornie pod pańską gubernatorską władzę - dodał z uśmiechem podając rękę Hippingowi.

-Hip, hip, hurra! - okrzyk ten powtórzony trzykrotnie przez całą załogę rakiety, zakończył tę uroczystą chwilę.

Inżynier Hobbs zaczął zastanawiać się nad tym, jak ułożyć najbliższy program działania. W porozumieniu z kolegami postanowiono zatrzymać się na dłużej w tym dogodnym punkcie wybrzeża, skąd rakieta mogła łatwo wystartować do ponownego lotu. Zamierzano rozpocząć badania naukowe. W tym celu podzielono załogę na trzy oddziały, naukowcy mieli założyć w pobliżu małe obserwatorium meteorologiczne w składzie osobowym następującym: przyrodnik, mister Johnson i astronom Harting.

Inżynier Hobbs w towarzystwie doktora Norskiego mieli udać się w głąb lądu dla badań chemiczno-geologicznych, towarzyszyć im miało dwóch uzbrojonych strażników w osobach margrabiego i Dicka, Arabella i pokojówka miały poprowadzić sprawy gospodarcze. Wszystkim obrzydły do niemożliwości konserwy i wzdychano do jakiegoś świeżego pieczeni, choćby z jakiej wielkiej jaszczurki, jeśli innej zwierzyny nie da upolować się myśliwym. Lotnik i dwaj pomocnicy mieli czuwać nad bezpieczeństwem uczonych i samej rakiety. Na szczęście zabrano dostatek broni i amunicji można więc było łatwo obronić się od napadów potworów, które dostrzeżono już uprzednio z wysokości paru tysięcy metrów na jednej plaży. Na razie jednak wszyscy pozostali na wybrzeżu; jakaś dziwna niesmiałość powstrzymywała wszystkich od rozłączenia się, jakiś lek ogarniał dusze przybyszów. Czuli oni instynktownie, że groza im jakiegoś nieprzewidzianego niebezpieczeństwa, których może nie uda się ująć nikomu, ale głód jest despota, nie liczącym się z żadnymi trudnościami.

-Czy predko uda sie pan na swoja wyprawe z inzynierem - zagadnal Dick.

-Sadze, ze jutro - odparl Norski, - mamy tutaj zrobic bardzo wazna obserwacje, od ktorej zalezec bedzie caly tryb naszego zycia na tej ziemi.

-Oho to musi byc cos bardzo waznego - zawolal Dick. - Czy raczy mnie pan objasnic o co idzie?

-Musimy okreslic dlugosc doby na tej planecie, nie mamy bowiem najmniejszego pojecia jak szybko obraca sie ona naokolo swej osi, moze znacznie wolniej niz nasza Ziemia.

-Albo i predzej - dodal Harting, ktory byl swiadkiem tej rozmowy. - Slonce nie stoi bardzo wysoko nad horyzontem, byc wiec moze, ze niebawem zapadne noc. Jutro o tej samej porze kwestia ta bedzie juz rozstrzygnieta.

-Widze, ze nasze zegarki mozna wrzucic do morza, jako nieuzyteczne graty - zawolal Dick.

-Nie rob tego - zawolal doktor Norski, - zmienimy cos nie cos na cyferblacie i beda nam dalej sluzily.

Wszyscy rozlozyli sie na plazy i wsluchiwali sie w grzmot balwanow, biegnacych z bezkresnej dali i przewalajacych sie z szumem na obszernej plazy. Jeden rzut oka wystarczyl Hartingowi do wygloszenia nastepujacego zgarnia:

-Nasza rakietka moze pozostac bezpiecznie o kilkadziesiat krokow od morza, gdyz nie grozi nam jego przyplyw.

-A to dlaczego? - zagadnal Dick.

-Z tej prostej przyczyny, ze Wenus nie posiada ksiezycy tak jak nasza Ziemia, a ten wlasnie satelita jest glowna przyczyna przyplywow morza. Slonce bierze tez w tym pewien udzial ale nieznaczny, mozemy vice rozpalic ognisko na tym gladkim i suchym, piasku, azeby rozjasnic nieco noc, ktora bedzie prawdopodobnie bardzo ciemna.

-Przydalaby sie jakas zwierzyna na smaczna pieczen. Czy nie uwaza pan doktorze, ze powinniśmy sie o nia postarac jak najpredzej, wprost tesknie za kawalkiem porzadnego miesa, moj zoladek nie znosi konserw.

-Ha, sprobuj - odparl Norski, - ale miej sie na baczności, najlepiej wez sobie margrabiego do kompanii, jest podobno zawolany myśliwym.

-Juz ide - odparl Dick biorac sztucer. - A nie napominajcie przygotowac suchego chrustu na ogien.

Pierwszy dzien pobytu na obcej planecie chylil sie ku zachodowi. W pare godzin po

wyladowaniu słońce znikło pod horyzontem, ku wielkiemu zadowoleniu Hartinga, który mógł już śmiało orzec, że Wenus trochę szybciej obraca się około swej osi, aniżeli Ziemia. O zmroku, który tu trwał dość długo, powrócili myśliwi przynosząc jakiegoś wielkiego ptaka, który ku zdumieniu pana Johnsona posiadał w stosunku do swej wielkości i ciężaru bardzo mało rozwinięte skrzydła. Widocznie gęsta atmosfera ułatwiała lot. Wkrótce zapadły nieprzeniknione ciemności, wszyscy skupili się dookoła płonącego ogniska, od którego zaczęła się rozchodzić won pieczystego, oczekiwanego z najwyższą niecierpliwością.

## Rozdział XVI

### Straszna noc

W atmosferze "dalekiego świata" nasi podróżnicy oddychali z trudnością, była ona bowiem gorąca, bardzo wilgotna i gęsta, przynajmniej dwa razy cięższa niż na Ziemi. Nie mogli wytrzymać we wnętrzu rakiety i spać jak zwykle na swoich tapczanach, wszyscy ułożyli się na plaży w pobliżu ogniska, które oświetlało krąg w promieniu kilkunastu kroków. Dalej wszystko tonęło w najczarniejszych ciemnościach; gruba warstwa chmur zasłaniała gwiazdziste niebo, skąd nie padał najmniejszy promień światła. Nikt nie miał odwagi opuścić ten świetlisty krąg, po środku którego płonął z trzaskiem i dymem stos wilgotnych galazek. Zjadłszy piezzonego ptaka, który wszystkim niezmiernie smakował po długiej diecie konserwowej, załoga rakiety rozciągnęła się na przyniesionych z jej wnętrza pledach i kocach, lecz oczekiwany sen nie przymknął nikomu powiek. Głęboka cisza przerywały silne podmuchy wiatru, jakieś dziwne odgłosy, dochodzące z glebi ładu, jak również z niewidzialnej powierzchni oceanu. Były to prawdopodobnie ryki potworów, które, jak się zdawało, zwabione światłem ogniska zbliżały się do biwaku.

-Zdaje mi się, - rzekł margrabia kładąc rękę na leżącym przy nim sztucerze - że niebawem jakiś okaz tutejszej fauny złoży nam wizytę. Jeżeli będzie się zachowywał spokojnie i nie przeleknie zbyt Arbelli, to odejdzie zdrow i cały, inaczej będę musiał posłać mu piorunującą (kule, która nauczy go respektu dla nowoprzybyłych istot.

Dick, który leżał obok doktora Norskiego, również miał swoją broń w pogotowiu, był on gotów walczyć do upadłego z najokropniejszymi smokami, byle tylko oddać niebezpieczeństwo od kochanego doktora, względem którego żywił braterskie uczucia. Norcki jednak daleki był od myśli, że może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo, zastanowił się w tej chwili nad całkiem innymi sprawami; projektował sobie, że zaraz nazajutrz dokona analizy wody morskiej, a potem weźmie się do zbadania składu atmosfery, którą oddychał.

Przyrodnik Johnson rozmawiał z Hartingiem, obu ich zajmowała wyłącznie jedna kwestia, jak długo będzie trwała noc, ile czasu zużywa Wenera na dokonanie obrotu dookoła swojej osi.

Co do inżyniera Hobbsa, to ten wieszował sobie w duchu, że zbudował raketę z nierdzewiejącej stali; inaczej w tej gorącej i wilgotnej atmosferze pokryłaby się warstwą rdzy, która już była widoczna na lufach sztucerów.

Tajemnicze odgłosy rozlegały się coraz donioslej. Dick dołożył chrustu na ognisko, które buchnęło jasnym płomieniem, po czym ze sztucerem na ramieniu zaczął wokół niego krzyczeć; usiłował przeniknąć swoim bystrym wzrokiem gesty mrok, lecz daremnie. Noc była ciemna jak smok.

Po jakimś czasie dostrzegł w grubej pomroce kilkanaście fosforycznych światełek, podobnych do wilczych ślepiów, lecz daleko jaśniejszych.

Równocześnie delikatny jego słuch złowił odgłos ciężkich kroków. Nie ulegało wątpliwości, że jakieś zwierzęta zbliżały się do biwaku.

Dick posunął się kilkanaście kroków w tym kierunku trzymając pod pachą sztucer gotowy do strzału. Fosforyczne ogniki znajdowały się już bardzo blisko, ciężkim krokiem towarzyszyło głośne sapanie. Była to chwila bardzo denerwująca, gdyż Dick nie odróżniał w ciemnościach nawet sylwetki zbliżającego się stworzenia; wyrwał więc z kieszeni nerwowym ruchem latarkę elektryczną i pusił snop jaskrawego światła w tym kierunku. Teraz dostrzegł olbrzymie cielsko, uwieńczone potężną głową, na której paliło się oprócz pary oczu, kilka innych świecących fosforycznym blaskiem punktów, snadź sama przyroda obdarowała olbrzymie cielsko latarniami niegorszymi od tej, jaką Dick trzymał w reku. Wahał się czy posłać nocnemu gościowi kulę wybuchającą, czy też pozwolić mu się zbliżyć jeszcze bardziej.

-Halo, margrabio Gwidonie, do mnie, do mnie!

Margrabia, który leżał obok swojej żony, w kilkunastu susach znalazł się przy Dicku. I on zaświecił swoją latarką. W strzasku jaskrawego światła zarysowała się już całkiem wyraźnie postać zwierzęcia, które w grubych zarysach przypominało przedpotopowego iguadonona. Potężne cielsko poruszało się na tylnych łapach, przednie zaś uzbrojone w olbrzymie pazury potwór wysunął przed siebie, w jego otwartej paszczy błyszczał rząd potężnych zębów. W tej chwili zabrzmiał wystrzał ze sztucera Dicka, który celował w łeb bestii. Trafiony snadź potwór wydał potężny ryk i rzucił się naprzód, lecz dwie celne kule margrabiego rozciągnęły go na plaży.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, nikt jednak nie śmiał opuścić świetlistego kregu, dopiero Dick, który siadł przy doktorze Noirskim, uspokoił nieco rozstrojone nerwy towarzyszy.

-Ma dosyć. Alez bestia, ma przynajmniej 20 jardów wysokości, nie chciałbym się dostać w jej pazury.

Zimna krew Dicka osmieliła jego towarzyszy. Wszyscy niemal pobiegli do margrabiego, który tryumfalnie wymachiwał swoją latarką.

-Tu, tu, możecie go zobaczyć, zdaje się, że to jaszczur, bo temperatura jego ciała nie jest wysoka. Już zdycha.



Pobieżne oględziny nocnego gościa zamiast uspokoić żalę rakiety zaniepokoiły ją jeszcze bardziej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło przybyszom w tym dalekim świecie, pełnym, jak się zdawało, takich potworów jakie mnożyły się na Ziemi w odległych epokach geologicznych. Mister Johnson wlał jednak nieco otuchy w struchlałe serca kolegów, zapewniając ich, że według jego zdania zabity potwór, jak wykazała budowa jego ciała, przede wszystkim zaś olbrzymi brzuch, należał do roślinozerców, nie zaś do drapieżników.

Z niecierpliwością oczekiwano wschodu słońca i wsluchiwano się w niemiłą odgłosy, które przejmowały lekko serca wszystkich uczestników wyprawy.

-Margrabina okazała zadziwiająco zimną krew jak kobieta. Leżąc na białym, wełnianym kocu, przyglądała się z ciekawością wielkim owadom, które krążyły z szumem w ciężkim powietrzu, opalały sobie skrzydła przy ognisku i niezdolne do lotu spadały na jej kolana. Były tam olbrzymie chrząszcze, różnobarwne cmy nocne, jakieś całkiem nieznanne na Ziemi gatunki, które Johnson chwycił zresztą palcami i chciał do szklanego słoja.

-Jest to istny raj dla entomologów, postaram się zrobić kolekcję, która zachwyci przyrodników na Ziemi. Żałuję tylko, że nie zabrałem szklanych i wysłanych korkiem pudełek, specjalnie wyrabianych na pomieszczenie w nich okazów. Jutro postaram się sporządzić coś podobnego. Jeżeli uda nam się powrócić cało i zdrowo do domu, to zrobię majątek sprzedając jakimś miłośnikowi moje zbiory. Poswiecam się więc gromadzeniu okazów, nie tylko fauny ale i flory tutejszej.

Przyrodnik był widocznie podniecony tymi perspektywami, jakie się przed nim otwierały, obejrzał on dokładnie zabitego potwora i orzekł, że jest on podobny do wielkozwierza megatorium, czyli olbrzymiego leniwca, który żył w odległych epokach geologicznych na Ziemi.

-Jest to roślinozerca, ale przypuszczam, że na tej planecie oprócz wielkich jaszczurow epoki kredowej, spotkamy się także i z wielkimi ssakami, podobnymi do mastodontów.

Mister Johnson, jak widzimy, nie troszczył się bynajmniej o osobiste bezpieczeństwo, pochłonięty zainteresowaniami zawodowymi, natomiast margrabia niepokoił się widocznie o żonę. Jak się niebawem okazało miał słuszną rację. W jakiejś godzinie po wzięciu zabitego potwora, zaczęły wypelzacz z toni morskiej jakieś ciężkie, żywe masy, które mister Johnson określił jako krewniaków ziemskich stegozaurów. Jeden z nich mający grzbiet najezony kolcami pelzał wprost na ognisko, przerażony margrabia pochwycił palacza głównie i uderzył nim w ślepię niepozadanego gościa, który niezamierzenie zawrócił, dzięki czemu uniknął kuli, która zamierzał mu posłać Dick.

Ta nowa wizyta wstretnego jaszczura zaniepokoiła Gwidona.

-A tośmy wpadli - zawołał, - alez tu roi się od rozmaitych bestii, które już, chwalić Boga,

dawno wygasły na kuli ziemskiej. Lada chwila może nas napisać jakiś inny przedstawiciel zaginionego świata. Proszę cię na wszystko, Arabello, wróćmy do naszego zacisznego apartamentu w rakiecie, chociaż tam ci będzie trochę duszno, ale bezpiecznie. Nie wiadomo jak długa okaże się ta noc tutaj, nie mogę narazić cię.

Piękna Arabella opierała się, lecz w końcu uległa namowom męża i w jego towarzystwie udała się do opuszczonej rakiety, leżącej bezwładnie na plaży. Sztucer margrabiego znalazł się w reku mister Johnsona, który wraz z Dickiem miał czuwać przez resztę nocy nad bezpieczeństwem towarzyszy.

Wkrótce po tym zerwał się silny wicher i w ciemnościach rozpetala się szalona burza; oslepiające błyskawice rozdzierały chmury, z których zaczęły lać się istne potoki wody.

Była to miewa, wobec której deszcze podzwrotnikowe były istną igraszka. W jednej chwili zagasło ognisko i znaleziono się w nieprzenikniętych ciemnościach, targanych szybko po sobie następującymi wyładowaniami elektryczności atmosferycznej. Nie pozostawało nic innego jak rejtować się do rakiety, w której spędzono spokojnie resztę nocy. Tylko Johnson pozostał pod gołym niebem w towarzystwie astronoma Hartinga, śledzącego uważnie widnokrąg. Minęło już dziesięć godzin od zachodu słońca, ale nic nie zwiastowało brzasku nowego dnia, dopiero kiedy uspokoiły się nieco rozchukane żywiły i fale wzburzonego morza przelatywały szturmować ląd, na niebie ukazały się pierwsze zwiastuny nowego dnia. Niebawem z rozkolysanego morza wychyliło się zza grubej opony chmur niewidzialne słońce.

Harting z żywym zadowoleniem spojrzął na zegarek. Teraz już wiedział, że planeta Wenus, podobnie jak nasza stara Ziemia, obraca się około swojej osi. Według jego obliczeń doba tutaj niewiele różniła się od doby ziemskiej. Była, jak mu się zdawało, nieco krótsza, ale astronom zdawał sobie sprawę, że długość dnia musi być zależna od szerokości geograficznej i od kąta nachylenia osi planety względem płaszczyzny jej orbity. Tych danych jeszcze nasz astronom nie posiadał, dlatego też dokładniejsze określenie trwania doby na Wenerze, musiał sobie odłożyć na później. Na razie zadowolić się musiał skonstatowaniem faktu, że Wenera, na szczęście, nie zwraca ciągle jednej i tej samej polkuli ku słońcu, tak jak Merkury, albo Księżyc ziemski.

Pospieszył on podzielić się tą ważną wiadomością z towarzyszami, którzy daremnie usiłowali usnąć we wnętrzu rakiety, gdzie było duszno i gorąco.

Odbyła się ważna narada, czy pozostać nadal na plaży, czy też szukać innego miejsca na dłuższy pobyt.

Harting oświadczył, że wyprawa musi się przygotować na tę ewentualność, że przyjdzie jej spędzić przynajmniej rok na dalekim świecie. Wyjaśnił on towarzyszom, że Wenus jako dolna planeta odbywa swoją drogę wokół Słońca daleko przedzielniej niż Ziemia, rok jej bowiem liczy trzysta dni ziemskich.

Skokiem tego stanu rzeczy odleglosc miedzy tymi dworna cialami niebieskimi, tj. Wenera a Ziemia, stal; sie powieksza. Rakieta opuscila Ziemie w rnomencie, kiedy kula ziemiska znajdowala sie po tej samej stronie Slonca co i Wenera, a wiec znajdowala sie wobec tej ostatniej w tzw. "opozycji", podczas ktorej odleglosc miedzy nimi jest najmniejsza.

-Musimy sie tutaj zadomowic - wyjasnil Harting swoje wywody - zdaje mi sie bowiem, ze uplynie kawal czasu zanim bedziemy mogli puscic sie w droge powrotna. Zbyt dluga podroz w przestrzeniach miedzyplanetarnych bylaby dla nas bardzo utrudzajaca, a nawet, powiem otwarcie, bardzo niebezpieczna, zwlaszcza, ze utracilismy nasz zapas cieplego powietrza, ktore musialo sie juz cackiem, ulotnic z naszych zbiornikow. Nie mozemy zas ich zamknac szczelnie, gdzy cisnienie by je rozsadzilo.

Doktor Norski bedzie musial pomyslec nad tym w jaki sposob wyprodukowac sztucznie z zabranych materialow tlen, niezbedny do oddychania. Ale to zmartwienie odkladamy sobie na pozniej, na razie idzie o to, by znalezc sobie jakies bardziej wygodne miejsce anizeli ta plaza, gdzie panuje taka duszna i ciezka atmosfera.

## Rozdzial XVII

### Okrucienstwo przyrody

Przyrodnik Johnson byl caly pochloniety badaniem otaczajacego go dalekiego swiata. Zbieral z zapalem wszelkie okazy fauny jakie wpadly mu w reke, poczynajac od owadow i morskich tworow, a konczac na wielkim potworze, ktory zaklocil czlonkom wyprawy pierwsza noc spedzona na Wenerze.-Moj uniwersytet wzbogaci sie okazami, ktore mam nadzieje, dowioze w calosci. Obawiam sie tylko zeby miejsca nie zabraklo w naszej rakiecie. Duplikaty, jak sie spodziewam, sprzedam muzeom za dobre pieniadze. Milion dolarow bedzie dobrze oprocentowany.

Uczony zmartwil sie, kiedy Hobbs oswiadczył, ze wyprawa musi znalezc sobie jakies dogodniejsze, stanowisko.

-Nie podobna tu dluzej przebywac - rzekl. - Znajdujemy sie na poziomie morza gdzie cisnienie atmosferyczne jest dla naszych pluc stanowczo za wysokie. Ponadto cierpimy z powodu nadmiernego goraca. Trzeba przeto osiedlic sie gdzies na wyzynach, gdzie bedzie chlodniej, a powietrze rzadsze. Ale sadze, ze wszedzie znajdzie pan, kochamy doktorze, wdzieczne pole dla badan przyrodniczych.

Johnson chcial wykorzystac nastepny dzien dla pomnozenia swojej kolekcji ale przeszkodzil mu w tym pulkownik Croops i Hipping.

-Zanim opuscimy to pamiatkowe miejsce, w ktorym po raz pierwszy ludzie postawili swoje stopy, trzeba wzniesc pokazny slad naszego tu pobytu. Widze, ze w poblizu znajdzie sie dosc materialu na jakis kopiec. Prosze wiec wszystkich czlonkow naszej wyprawy o wziecie udzialu w tej waznej dla historii pracy. Ja ze swej strony sporzadze urzedowy protokol,

który podpiszemy.

Pulkownik przejęty tym postanowieniem nie dał się odnieść. Musiano więc zabrać się energicznie do pracy. Przez cały dzień nagromadzono większe kamienie i układano z nich piramidę, wewnątrz której, w grubej blaszanej puszcze, umieszczono zredagowany przez Croopsa protokół. Zapisano w nim, że w tym a w tym roku ziemskim grono uczonych i podróżnych wylądowało na Wenerze, która objęto uroczyscie w posiadanie U.S.A.

Niemalże się przy tym umęczono gdyż, jak się okazało, praca fizyczna w gestej, wilgotnej i bardzo gorącej atmosferze wyczerpuje niezmiernie nieprzywykłe do tych warunków organizmy.

Nawet Arabella położyła własnymi rękami duży kamień na ten kopiec, z czego była bardzo dumna. Zabrało to cały dzień członkom wyprawy, dzień, który, jak oświadczył Harting, niewiele się różnił swą długością od dnia ziemskiego. Nasz astronom nie potrafił jeszcze określić dokładnie trwania doby na Wenerze, ale przypuszczał na razie, że planeta obraca się mniej więcej w ciągu 22 godzin ziemskich dookoła własnej osi.

-Zdaje mi się również, że nie ma tu zmiennych por roku, dlatego też łatwo nam przyjdzie znaleźć w pobliżu biegunów okolice o klimacie umiarkowanym, podobnym do ziemskiego. Po prostu udamy się pod wyższe szerokości geograficzne. Inżynier Hobbs postara się o to, żebyśmy się nie upiekli ale i nie zmarzli. Szkoda, że słońce kryje się tutaj ciągle poza chmurami. Inaczej przeprowadziłbym obserwacje astronomiczne, które by pozwoliły rozwiązać najważniejsze problemy.

Nasi podróżnicy z pewnym zaniem zajęli swoje miejsca w rakiecie, gdyż Hobbs szykował się do odlotu z niegospinnego wybrzeża, gdzie spędzono pierwszą noc tak obfitującą w denerwujące momenty.

Johnson sfotografował w naturalnych barwach zabita bestia, która po starannych oględzinach określono jako typ pośredni między przedpotopowym, iguadononem i mylidonem. Długiego nocnego gościa, pokrytego kolczastym pancerzem, uważał za krewniaka ziemskich stegozaurów, żyjących w odległych epokach geologicznych.

-Widocznie ewolucja organizmów zwierzęcych odbywa się mniej więcej w tej samej kolejności na wszystkich planetach, gdzie panują sprzyjające życiu warunki. Wenera jest znacznie młodsza od naszej Ziemi, skoro żyją tutaj jaszczury dawno na naszej planecie wygasłe. Ciekawy jestem czy spotkamy tu wyższe formy rozwojowe?

-Myśli pan o ssakach - wtraciła Arabella, która zaczęła żywo interesować się przyrodą dalekiego świata.

-Właśnie, - odparł przyrodnik. - Ciekawy jestem czy istnieją tutaj mastodonty, lwy i niedzwiedzie jaskiniowe?

-Walalabym, żeby ich tu nie było. Z tymi drapieżnikami musiał ciężko walczyć człowiek przedhistoryczny.

-Ale pamiętaj Kocham, że miał tylko oszczep i luk z krzemiennymi grotami. My zaś posiadamy broni palną. Spodziewam się więc, że z ich strony nie grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

-Będiesz polował na grubą zwierzynę - dodała z uśmiechem Arabella - w porównaniu z którą słonie, nasze żyrafy, tygrysy, hipopotamy i krokodyle to jakies karzelki. Proszę cię tylko nie ufaj zbyt swojemu sztucerowi.

-Mamy także granaty ręczne - zauważył Dick. - Nauczyłem się rzucać nimi na odległość kilkudziesięciu jardów podczas wojny. Niechby jakiś niedziedzic jaskiniowy albo nosorożec odwagał się nas napasać.

Pocziwy Dick nie przeczuwał mówiąc te słowa, że niebawem jego odwaga i zrezygnacja będą wystawione na ciężką próbę.

Kiedy już Johnson zapakował nagromadzone na plaży okazy, inżynier Hobbs dał sygnał do pierwszego startu z nowo odkrytego ładunku.

Rakieta pod energicznymi impulsami swojego atomowego silnika potoczyła się na osmiu olbrzymich kołach po gładkiej plaży i zamieniona dzięki swoim skrzydłom w wielki samolot lekko uniosła się w powietrze. Hobbs siedząc obok pilota wypatrywał odpowiedniego miejsca, nadającego się na dłuższy pobyt. Szybowało na wysokości dwóch tysięcy metrów ponad ładunkiem, pokrytym gęstą pierwotną puszcza, i niebawem zauważono położoną między górami obszerną dolinę o równym, trawiastym, dnie. Po krótkim namyśle Hobbs zdecydował się tu wylądować.

Natrafiono na kilka niewielkich kamieni, ale zrezygnowanym manewrem pilot wyminał te przeszkody i rakieta nieuszkodzona spoczęła na szmaragdowym kobiercu.

Pierwszy opuścił ją Harting z metalowym barometrem w ręku.

-Mamy tu ciśnienie atmosferyczne prawie takie same jak u nas na Ziemi - zawołał radośnie.  
- Można wychodzić inżynierze.

Za astronomem opuścił rakiety margrabia i Dick ze sztucerami gotowymi do użytku.

Gwido oglądał się podejrzliwie dookoła ale nie dostrzegł żadnego żywego stworzenia prócz kilkunastu wielkich ptaków, krzykiem witających nieznanego im potwora, który wtargnął w ich domeny.

-Jaki wspaniały lot - zachwycał się przyrodnik. - Prawie nie poruszają skrzydłami. Ale nie są one podobne do tego, który mam wczoraj dostarczyć smacznej pieczeni na wieczerze, są

białe jak śnieg, tylko grzbiety mają czarne, można by sadzić, że to latające pingwiny z naszej Antarktydy.

Dick chciał jednego ustrzelić, ale Johnson powstrzymał go słowami.

-Daj pokój Dicku. Nie po to tu jesteśmy, żeby pozbawiać życia piękne stworzenia- Mamy czas poznać je bliżej, skoro osiedliśmy się w tej dolinie na dłużej. Schowaj swoją amunicję na jakiegoś tygrysa albo innego drapieżnika.

Wszyscy po kolei opuścili wnętrze rakiety. Polanka niedawno pusta zaroila się ludzkimi postaciami. Wszyscy rozglądali się ciekawie dookoła.

Szeroka na kilka kilometrów dolina była otoczona wieńcem stromych szczytów, z których spływały szmaragdowe lodowce dając początek licznym potokom. Płynęły one wartko tworząc liczne kaskady i staczały swe krystaliczne wody hen, w nizinie położone okolice.

W odległości jakiegoś mili zaczynała się puszcza. Przez lunetę Johnson dostrzegł wysokie drzewa podobne do- naszych iglastych.

-Nie zabraknie nam opalu - skonstatował z zadowoleniem. - Możemy sobie rozpalić z jakiegoś tutejszego cedru potężne ognisko na noc, żeby mieć spokój od niepożądanych gości. Zaraz zarządźmy wyprawę po suche galezie. Dicku, wezmiesz do pomocy dwóch mechaników i postaraj się zaraz o paliwo.

-Czy mogę towarzyszyć naszym, drwalom? - zagadnął margrabia.

-Proszę, niech pan przy tej sposobności upoluje jakiego ptaka na obiad, przyznam się bowiem, że nabrałem nieprzezwycięzonego wstretu do naszych konserw.

-I ja - zawołała Arabella. - Przynieś mi Gwidonie coś smacznego, jakiego jarzabka albo kuropatwę.

-Watpie czy te gatunki znajdują się także, na innych planetach - rzekł z uśmiechem piękny Włoch. - Ale poszukam. Pan Johnson przed oskubaniem, opisze i sfotografuje naszą zdobycz.

-Ma się rozumieć, że tak zrobię. Ale ponieważ na większe okazy fauny tutejszej zabrakłoby niebawem miejsca w naszej rakiecie, przeto musimy poprzestąć na kolekcjonowaniu skorek, z których po powrocie urządzimy całe muzeum.

-Każę ci pan wypchac? A czy ma pan arszenik niezbędny do konserwowania skorek? - zagadnęła Arabella.

-Nauczę panią sztuki wyprawiania skorek, jeżeli ad pani zechce pomagać.

-Bardzo chetna. Musze sie przeciez na cos przydac - odrzekla Arabella. - Ale skory bedzie kto inny zdejmowal, brzydze sie taka kucharska robota.

-Juz ja cie w tym wyrecze. Kazdy myśliwy jest do tego przyzwyczajony. Inaczej nie jadalby owocow swego trudu.

Margrabina rozstala sie z mezem zatroskana.

-Miej sie na baczności kochanie - wolala za odchodzacych.

Margrabia Gwido pozegnal zone wesolym gestem podniesionej reki i przylaczył sie do Dicka, który procz sztucera duzego kalibru zaopatrzyl sie w pare granatow recznych, jak mowil - na wszelki przypadek.

Idac myśliwi ciekawie rozgladali sie po usianej duzymi glazami dolinie tropiac wzrokiem zwierzyne godna naboju. Wnet zaszyli sie w zarosla zwiastujace bliskosc lasu. Stapali ostroźnie po grubym kobiercu mchow i drobnych nieznanym roslin. Gwido wiedzial z doswiadczenia, ze w takich miejscach nie trudno natknac sie na jadowitego gada. Wkrotce myśliwi znalezi sie wsrod niebotycznych drzew, z dala tylko przypominajacych znane im ziemskie gatunki. Byly tam potezne kolosy podobne do cyprysow, inne mialy cechy charakterystyczne naszych debow. Gwido nie byl botanikiem, lecz notowal w pamieci te roznorodne formy roslin i porownywal je ze znanymi mu z Ziemi...

Sama flora na Wenerze jakkolwiek majaca swoisty charakter przypominala mu puszcze afrykanske. Obfitosc wody i ciepla sprawiala, ze na dalekim swiecie roslinnosc byla nieporownanie bujniejsza i bardziej moze roznorodniejsza nizeli na Ziemi.

-Johnson bedzie sie tu czul jak w rajku - myslal miody myśliwy zalujac w tej chwili, ze nie jest ani troche botanikiem. - Ulozy sobie wspanialy zielnik. Jego koleczy na pewno pozolkną z zazdrosci, kiedy im pokaze swoje zbiory. Wyprawa przyniesie obfity plon nauce.

Puszcza stala powazna ale roila sie od zycia. W konarach niebotycznych olbrzymow rozlegal sie szum niezliczonych skrzydel, z glebin dochodzily uszu naszych myśliwych jakies chrapliwe odglosy calkiem obco brzmiaca w uszach Ziemi.

Zatrzymano sie u stop jakiegos uschlego od uderzenia pioruna olbrzymia i mechanicy zaczeli odrabywac siekierami nizsze konary gromadzac je na stos. Przewiazali trzy duze narecza rzemieniami i gotowali sie do powrotu z tym zapasem, gdy wtem zadudnila ziemia od jakichs ciezkich krokow. Z pobliskich zarosli wypadlo kolosalne cielsko szukajace snadz ocalenia w szybkim biegu przed jakimis przesladowcami.

Gwido i Dick staneli jak wryci mierzac zdziwionym okiem to zjawisko.

Zwierze stanowczo nie bylo ssalkiem ale jakimis poteznym jaszczurem pozbawionym zupełnie sierści. Na kolosalnym cielsku, na dlugiej szyi tkwila nieduza ale uzbrojona w ostre i

dlugie zeby glowa. Mysliwi uskoczyli za pien suchego drzewa, gdyz olbrzym dostrzegl ich obecność. Zawahal sie widocznie i na chwile przystanal, jak gdyby gotujac sie do ataku na te drobne, nieznanne mu istoty. Lecz drgnal przejęty trwoga, gdyz tuż za nim zlowrogo zaszelescily zarosla. Przesladujacy olbrzymia, otoczyli go w mgnieniu oka. Gwido ujrzal kilkanascie jakby kangurow skaczacych na tylnich lapach i podpierajacych sie muskularnymi, grubymi ogonami. Z szeroko rozwartych ociekajacych pyskow wygladaly im dwa rzedy dlugich, spiczastych zebow. Scigany potwor byl znacznie wyzszy od zyrafy, jego cielsko mialo objetosc przynajmniej trzech sloni. Wydawac by sie moglo na pierwszy rzut oka, ze taki kolos nie potrzebuje sie obawiac zadnego napastnika, a jednak...

Nasza gromadka przerazona tym widokiem, byla swiadkami nigdy niezapomnianej sceny: kilkanascie drapieznikow, choc dziesieciokrotnie mniejszych, rzucilo sie z wyciem na kolosa. Jedne wskakiwaly mu na grzbiet sprezystymi susami, inne czepialy sie ostrymi zebiskami dlugiej szyi wyrrywajac z niej platy miesa. Olbrzym ryczec z bolu i przerazenia bronil sie zaciekle. Co chwila ktorys z napastnikow pochwycony dlugimi klami padal na ziemie i konal pod ciezkiemi nogami wielkozwierza. Lecz obrona, jak to latwo bylo przewidziec, byla daremna. Napastnikow przybywalo. Cala horda, niby stado zgłodniatych wilkow, szarpala broczaca strugami krwi ofiare.

Dick mial dac ognia ale Gwido powstrzymal go energicznym ruchem.

-Na Boga co czynisz? Czy chcesz te zgraje obrocic przeciwko nam?

Dick pohamowal sie lecz, mial ochote rzucic granat w te sfere okrutnych przesladowcow.

Gwido lekal sie, zeby zebiaste kangury nie zauwazyly obecności ludzi w tak bliskim sasiedztwie. Chylkiem, na damy przezeń mak, zaczeto sie wymykac gestymi zaroslami. Mysliwi oczekiwali w ukryciu konca walki.

Kiedy wreszcie zgłelk walki ucichl, odwazny Dick chylkiem podkradl sie do pola krwawych zapasow. Olbrzym konal rozrywany lakomymi szczekami napastnikow, ktorzy slono oplacili odniesione zwyciestwo, gdyz kilkanascie ich trupow lezalo wokol ich ofiary.

Dick ufny w skutecznosc swoich granatow bojowych poslal jeden z nich w ucztujaca zgraje. Huk wybuchu rozlegl sie donosnym echem w zakamarkach puszczy. Towarzyszył im grad przeklenstw rzuconych przez rozgniewanego Gwidona pod adresem Dicka.

-Idiota, chce sie dostac na zeby tym drapieznym kangurom - syczal.

Ale Dick uszedl calo. Mial te satysfakcje, ze jego granat uczynil istne spustoszenie w zbitej gromadzie ucztujacych zwyciezcow. Przerazona zgraja rozpierzchla sie, lecz ci, ktorym udalo sie ujsc calo wrocili niebawem do zastawionego stolu.

Dick wrocil do towarzyszy tryumfujacy.



-Moje granaty i na Wenerze cos znacza - rzekl.- Ale musimy gdzie indziej poszukac paliwa  
- dodal. - Tu nie bardzo jest, jak widac, bezpiecznie.

Przeniesiono sie o pol kilometra dalej, na skraj lasu, ktory pomimo znacznego wzniesienia nad poziom morza mial charakter podzwrotnikowej puszczy na Ziemi, i tam udalo sie znalezc uschle drzewo, ktore dostarczylo obfitosci potrzebnego na najblizsza noc opalu do ogniska. Plomien, jak spodziewal sie Gwido, Powinien odstraszyc nieznane, a jak sie okazywalo, liczne bestie.

-Czy tylko lekaja sie one ognia - zakwestionowal Dick. - Wszak nie ma tu ludzi, ktorych wszelkie zywe stworzenie obawia sie tam u nas. Wszak ten potwor, ktory zlozyl nam wczoraj wizyte szedl wlasnie w kierunku naszego oswietlonego biwaku, zamiast roztropnie sie cofnac. Gdyby nie nasze celne kule...

-At, nie ma co o tym myslec - przerwal niecierpliwie margrabia. - Zobaczysz sie...

Obladowani paliwem czlonkowie wyprawy wracali do towarzyszy. Kiedy znalezi sie na obszernej polanie, spostrzegli wielkie stado olbrzymich zwierzat, pasace sie na soczystej trawce...

Gwido, ktory polowal we wszystkich czesciach swiata na najgrubsza zwierzynie, przyjrzwawszy sie nowym gosciom orzekl, ze przypominaja one swoja budowa jelenie szerokorogie, dawno wygasle na Ziemi.

Dick zas porownal je do1 kanadyjskiego karibu.

Stado liczylo kilkadziesiat sztuk. Na jego czele stal olbrzymi samiec, jak sie zdawalo, pelniacy role stroza.

Zwietrzył on od razu obecność naszej gromadki. Nieznane mu twory zaniepokoiły czatownika, gdyż ryknął na alarm. Jelenie przestały skubac trawę i podniosły lby, uzbrojone w rosochate, olbrzymie rogi, rozgladając się bacznie dookoła. Snadź kilka małych istotek uginających się pod ciężarem suchych galezi, nie budziło w nich żadnych obaw, gdyż po chwili zaczęły znowu zrywać pyskami trawę,

Dick, jak zawsze ostrożny, stapał w ariergardzie. Własnie dochodzono do spoczywającej nieruchomo rakiety, kiedy wśród stada jeleni szerokorogich wybuchła nagle panika. Stado szykowało się wyraźnie do obrony. Samice i jelenki zbily się w ciasną gromadę, która otoczył wieniec samców.

-Zanosi się na nowa walke - rzekl Gwido, - ale nie widze napastnikow.

Zaledwie wymowil te slowa, kiedy z lasu wielkimi susami wypadlo kilkanascie drapieznikow I rzucilo sie na gotowe do obrony stado.

-Lwy - zawołał Dick.

-Tygrysy raczej - zawyrokował Gwido. - Przedziej, przedziej do rakiety!

Porzucono na polanie narecza galezi i biegiem dopadnięto statku międzyplanetarnego. Jak się jednak okazało, cała jego załoga nie wylaczając Arabelli i Fanny rozłożyła się grupkami na polanie. Ryk lwów wzniesił między nimi popłoch jeszcze większy aniżeli wśród stada jeleni. Wszyscy zaczęli tłoczyć się u małych schodów, ułatwiających dostanie się do wnętrza. Dr Norski czekał z zimną krwią, ażeby kobiety weszły pierwsze, potem przepuszczał kolejno wszystkich towarzyszy.

-Baczność doktorze! - krzyknął Dick. Spostrzegł bowiem, że jeden z tygrysów rzucił się nagle w kierunku rakiety. Kilkoma potężnymi susami dopadł schodków i już miał potężną łapą powalić Norskiego, kiedy rozległ się wystrzał. Potwór trafiony celną wybuchającą kulą sztucera padł jak rżnięty piorunem w chwili, kiedy Norski stawiał stopę na pierwszym schodku.

-No, jak widzę nie na darmo tu się znalazłem - mruknął Dick wypatrując nowej ofiary dla swego sztucera.

Donosny huk wystrzału poskutkował o tyle, że inne lwy poniechały łatwej zdobyczy i rzuciły się na nastawiony przeciwko nim mur szerokich potężnych rogów. Zawrzała znowu krwawa walka. Lwy usiłowały przeskoczyć te tarcze ale kilka z nich pobudzonych dostało się pod kopyta jeleniej osłony.

Ryk napastników, któremu wtórował żalostny bek samic i jelenków, napelniał powietrze. Ale cała załoga rakiety prócz nieustraszonego Dicka znajdowała się już w bezpiecznym miejscu.

Dick przypatrywał się ciekawie toczącej się walce. Widział, jak dwa samce niosąc na grzbietach śmiertelnego wroga wybiegło ze stada niesione szalona trwoga. Niebawem wspaniałe zwierzęta padły i zaczęła się krwawa uczta taka sama, jak tamta w lesie,

Nikt jej nie oglądał, gdyż załoga rakiety przerażona siedziała w ciasnych kajutach niebieskiego statku.

Inżynier Hobbs klął bestie, które, według niego, uniemożliwiały załodze rakiety pobyt na dalekim, świecie, dokąd on sam ją przeniósł poprzez pustynie międzyplanetarne.

-Musimy przenieść się na drzewa - zawyrokował wreszcie. - Tak zapewne urządzili się ludzie pierwotni i to ocaliło od zagłady gatunek homo sapiens.

Rozdział XVIII

Wiszacy pałac pięknej Arabelli

Nazajutrz po przybyciu do doliny inzynier Hobbs zwolal wszystkich towarzyszy na narade. Miano postanowic czy pozostac nadal we wnetrzu rakiety, czy tez zbudowac jakas praktyczniejsza i bezpieczniejsza siedzibe na dalszy pobyt. Pierwszy zabral glos malomowny dotad mister Doods, ow mizantrop, ktory nazwal kule ziemskie wstretne katownia, na ktorej ludzie i zwierzeta morduja sie nawzajem. Snadz spodziewal sie, ze na innej planecie walka o byt nie przybiera takiej nieublaganej postaci. Obecnie dal on wyraz swojemu uczuciu gorzkiego zawodu.

-Widze - zaczal melancholijnie, - ze i tutaj na tej wspanialej planecie, noszacej nazwe bogini milosci, istnieja potwory dawno juz na szczescie, wygasle tam u nas, ktore staczaja miedzy soba krwawe walki- Wszystko tu i tam pozera sie wzajem. Nie rozumiem po co natura powoluje do bytu te ohydne bestie, kazac im zywic sie krwia i miesem niewinnych stworzen, karmiacych sie trawa i liscmi, obdarzonych spokojnym charakterem. Gdyby istnialy same roslinozercy jakiz blogoslawiony stan meczy zapanowalby na swiecie. Bog - wierze w jego istnienie - popelnil w tym wypadku, ze smiem sie tak wyrazic, okrutny blad, stwarzajac takie mordownie. Nie dociekam jaki ma w tym cel, moj umysl tego nie obejmuje, ale cala moja istota moralna buntuje sie, przejeta zalem i obrzydzeniem.

Czlowiek, ktorego na szczescie nie ma, jak sie zdaje, na tym swiecie, jest tam, na Ziemi, najwiekszym drapieznikiem, gorszym niz pantera i tygrys, bo nie tylko tepi bez litosci liczne gatunki zwierzat ale prowadzi krwawe wojny ze swymi pobratymcami, czego nie czynia najdrapiezniejsze zwierzeta. Gdyby to ode mnie zalezalo, wytepilbym do ostatniego tych mordercow, pozostawiajac przy zyciu jedynie trawozerne. Wowczas...

-Marzenia nieziszczalne - przerwal Doodsowi pulkownik Croops. - Wojny sa nieuniknione i beda trwaly nawet wtedy, gdy wejda w uzycie bomby atomowe.

-Dlaczego ma sie wiecznie lac krew, pulkowniku - zagadnal oburzony Doods. - Przeciez cywilizacja...

-Doprawdy, jestes pan smiesznym marzycielem, kochany panie Doods. Wojny beda i sa toczone z jednego, nader oczywistego powodu- Na Ziemi jest za duzo ludzi. Walcza wiec i slusznie o miejsce pod sloncem, chleb i dach nad glowa. Dopiero kiedy tego, co watpie, starczy dla wszystkich, zapanuje na Ziemi i gdzie indziej spokoj. Ale poczekamy na to pare setek tysiecy lat, kochany panie.

-Azeby uniknac wojen - odezwal sie z kolei Hipping, - trzeba nowych przestrzeni zyciowych dla ludzkosci, ktorej juz za ciasno na naszym globie. Dlatego to nasz rzad uznal za wskazane, zebysmy, to jest ja i pulkownik, wziali udzial w tej wyprawie. Wenera dostarczy ludzkosci tak potrzebnej, nowej i wielkiej przestrzeni, stanie sie olbrzymia kolonia, zdolna, jak sadze wyzywic miliard ludzi.

-Co, ma pan zamiar przesiedlic na Wenus miliard ludzi? - zawolal rozbawiony Hobbs, - Alez...

-Na razie tylko nadmiar tych, którzy cierpia tam u nas niedostatek.

-To znaczy kilkadziesiąt milionów. Czy pan sądzi, że komunikacja międzyplanetarna rozwinię się podobnie jak marynarka u nas?

-Kto wie czy nie, szanowny inżynierze. Postępy techniki są dziś zdumiewające. Tymczasem należy przygotować tu teren...

-Jak to pan rozumie? - zagadnął Noriski.

-Mój kolega ma słuszną rację - wtrącił Croops. - Widzę, że Wenus ma wielkie niezamieszkałe przez inteligentne istoty obszary, na których istnieje grunt urodzajny, bogata roślinność i Jamna. Czego nam więcej potrzeba?

-Ależ pułkowniku, ten świat znajduje się w daleko wcześniejszej epoce geologicznej niż Ziemia, jak przypuszczam, w takiej, która odpowiada naszej trzeciorzędowej.

-Dajmy na to oligocenowi - wtrącił Johnson. - Te bestie, które widzimy, uniemożliwiają człowiekowi pobyt na nim.

-Zapomina pan, że posiadamy broń, która pozwoli nam wytepić w krótkim czasie te potwory. Kilka bomb atomowych i teren dla naszych emigrantów oczyści się z tego plugastwa - zawyrokował pułkownik.

-Och, co za krwiożercze zamiary - uśmiechnął się Johnson. - Ale ja przynajmniej zaprotestowałbym najgorzej przeciwko niszczeniu tej ciekawej fauny. Może znajdzie się kilka gatunków dających się oswoić, a więc pożytecznych dla paskich imigrantów.

-To się zobaczy, na razie nie mam zamiaru zostać zdobywcą tych bestyj. Czy pan oglądał tygrysa czy lwa, którego wczoraj ustrzelił Dick w chwili, kiedy miał rozszarpać naszego doktora? Ma on zęby ostre i długie jak małe szable. Nie chciałbym się na nie dostać. Dlatego wytoczę tym panom nieublagana wojnę.

-Tymczasem jednak zebraliśmy się, żeby obmyśleć dla nas wszystkich jaką bezpieczną siedzibę. Bo w razie napadu drapieżników nie zdążymy w porę ukryć się we wnętrzu naszej rakiety, mającej jedno tylko ciasne wejście - rzekł Hobbs. - Ja sądzę, że najwygodniej a raczej najbezpieczniej byłoby nam osiedzieć wśród konarów tych wspaniałych rozłożystych drzew, których tutaj nie brak w lesie.

Ponieważ zdanie to podzielili wszyscy więc niezwłocznie zabrano się do pracy.

Hobbs miał ciężkie zadanie przeprowadzenia po kamienistym gruncie swego wehikulu na skraj puszczy bez uszkodzenia jego potężnych kół, ale powoli udało się tego dokonać. W kilka godzin potem rakieta zatrzymała się na suchym skraju lasu w pobliżu grupy wspaniałych drzew, mających potężne, niemal poziomo odrastające od pnia konary. Na nich

postanowiono wybudować obszerny, podzielony na kilka oddzielnych pomieszczeń szalas. Dach dostarczył zabrany z rakiety brezent, podłogę spleciono z giętkich, przypominających bambus galezi. Ściany miały być z wielkich liści jakiegś olbrzymiej palmy.

Była to bardzo mozolna praca, w której niemal wszyscy, nie wyłączając arystokratycznej pary, wzięli udział. Oddawano się jej z zapalem, dzięki czemu po tygodniu wiszący pałac Arabelli, jak go nazywano, był gotowy. Prowadziły don liczne sznurowe drabinki, podobne do tych, jakie są używane na okrętach żaglowych. Arabella wspólnie ze swoim małżonkiem nie żałowała raczek dla upiększenia tej napowietrznej siedziby. Przeniosła tam niemal całe urządzenie swego apartamentu na rakiecie.

Dzięki tym staraniom młoda para znalazła się w przytulnym zakatku, dobrze zabezpieczonym od gwałtownych burz, które niemal codziennie rozpętywały się w tej atmosferze przenikniętej wilgocią, czterokrotnie tu silniejszą niż na Ziemi.

Załoga rakiety znosiła ten klimat tylko dzięki temu, że osiedliła się parę kilometrów nad poziomem morza.

Dni na Wenerze były ciągle pochmurne. Słońce rzadko i na krótko ukazywało się na niebie. Było przeważnie poświatowe, lecz za to w tej ciężkiej atmosferze rozwijał się wspaniały świat roślinny.

Drzewa stały w bujnej szacie zieleni. Na ich konarach mienili się tęczowymi barwami nieznanymi kwiaty, roznoszące balsamiczną wonię, przypominającą podzwrotnikowe puszcze ziemskie.

Młoda para, urządziwszy się ostatecznie w nieco odosobnionym szalasy zawieszonym kilkanaście metrów ponad ziemią, urządziła dla towarzyszy małe inauguracyjne przyjęcie. Na stole, przeniesionym z rakiety, stały butelki francuskiego szampana i hiszpańskich ciężkich win, liczne toasty na cześć młodej pary - Arabella była w doskonałym humorze i żartowała na temat doznanych zawodów.

-Wyobrażalam sobie pobyt na Wenerze zupełnie inaczej - mówiła. - Zdawało mi się, że zastaniemy tutaj wspaniałą cywilizację, grody zabudowane pałacami, w porównaniu z którymi nasze ziemskie byłyby nędznymi chatami, marzyłam, że zajmiemy z Gwidonem apartament w jakimś bajecznie urządzonej hotelu, że będziemy mieli na dachu lotnisko, z którego w każdej chwili byłoby można wystartować na samolocie i lecieć ponad wiszącymi ogrodami Semiramidy, że ludzie tu są piękniejsi i mądrzejsi od nas, słowem, marzenia naiwnej pensjonarki. Teraz zaś widzę, że wpadliśmy okropnie, bo ta Wenus to dziki kraj, jesteśmy jakby przeniesieni w młody zaczarowany świat, który dawno, może przed stu milionami lat, na naszej Ziemi przeminął. Ale nie sądźcie panowie, iż żałuję naszej pocziwej starej Ziemi. Och, nie jestem tępakiem głupia.

Ciesze się, że spędzę miodowe miesiące w tak odmiennych od naszych warunkach.

Uprzytamniam sobie, że jestem zapewne pierwsza kobieta, której dano poznać ten daleki a tak jeszcze młody świat, kryjący zadziwiające tajemnice natury. Panie Johnson, proszę mnie przyjąć na asystentkę w pańskich badaniach. Będzie panu pomagała w zbieraniu i preparowaniu okazów tutejszej fauny i flory. Nauczy mnie pan, jak się do tego brnąć, nieprawdaz? Chce być pożyteczna i uczyć się przyrody. Przecież ukończyłam kolegium, więc orientuje się trochę w tej dziedzinie. A ty, Gwidonie? - dodała odwracając się z zalotnym uśmiechem do meza.

-Oddaje się także bez zastrzeżeń pod rozkazy Johnsona. Będzie choćby z narazieniem życia dostarczał mu okazów zoologicznych, będzie ze zwierzyny chociażby najwstretniejszej zdierał skóry, preparował szkielety, stanie się nadwornym myśliwym, dostarczającym pożywienia dla całej naszej kipy.

-Doskonale mój drogi, tylko pamiętaj, żebyś w nadmiarze gorliwości nie dostał się w zęby jakiegoś tutejszego lwa czy innego drapieżnika.

-Och, nigdy nie udaje się na polowania sam jeden. Biorę Dicka albo innego towarzysza. Wiem, że z tutejszymi potworami nie ma żartów.

Pan Johnson sympatyczny, trzydziestoparoletni blondyn o rozumnych, niebieskich oczach, wyciągnął rękę przyjaźnie i uściśnął wypielegnowaną rączkę pięknej pani z uznaniem.

-Przyjmuje z wdzięcznością tę miłą ofertę. Od dziś jest pani moja asystentka w improwizowanej pracowni przyrodniczej. Czy umie pani obsługiwać mikroskopy?

-Ależ skończyłam skrocony, co prawda, lecz pożyteczny kurs w kolegium medycznym. Umie patrzeć przez szkła oraz umiem mnóstwo innych rzeczy, jak się pan niebawem przekonasz. Mój ojciec chorował długo i dla niego to właśnie uczyłam się medycyny.

Dick nie pytając o pozwolenie odkorkował świeżą butelkę Veuve Clicquot.

-Trzeba wypić za zdrowie naszej asystentki, doktorze - rzekł, - bo i panu margrabina może się na coś przydać.

Dr Norski uśmiechnął się.

-Właśnie poszukuję asystenta przy moim laboratorium chemicznym - rzekł żartobliwie. - Nauczę panią jak zużyty tlen zamieniony przez oddychanie na dwutlenek węgla, wydobywać z powrotem, aby tego życiodajnego gazu nie zabrakło nam w powrotnej podróży.

-Co, ma pani zamiar, doktorze, wracać już na Ziemię? - zaprotestowała Arabella.

-Och, mamy niestety dużo czasu zanim będziemy mogli to uczynić.

-Piećset dni ziemskich z okładem - rzucił Harting. - Tyle bowiem musi czasu upłynąć zanim

Wenus i Ziemia znajdują się znowu blisko siebie.

Gdybysmy teraz zapragnęli wracać do domu, że się tak wyrażę, musielibysmy przelecieć już nie 40, ale z pięćdziesiąt milionów kilometrów. Jesteśmy zatem skazani na dwuletni, bez mała, pobyt na tym świecie, dokąd wybraliśmy się tak lekkomyślniej.

-Mamy huk pracy przed sobą - zawołał Johnson. - Calego mojego życia nie starczy, żeby choć pobieżnie poznać ten interesujący świat. Nie martwie się, że jesteśmy tu na dwa lata uwięzieni. Skoro wrócimy z tymi skarbami, jakie tutaj zdobędziemy, czeka nas sowita nagroda.

-Zostane, również jak pan, sławna przyrodniczka.

-Wszystkich nas czeka ten zaszczyt, choćby z tego tytułu, że się tu pierwsi dostaliśmy - rzucił wesóło Gwido.

-Moje przyjaciółki nie poznają mnie jak wroce. Postarzejemy się o parę lat.

Ta myśl zasepiła nieco piękną Arabelle. Ale trwało to krótko.

Towarzystwo podniecone kawą, lakociami, szampanem wpadło w doskonały humor. Nawet milczący Doods wyraził zdanie, że i on cieszy się, bo może już nigdy nie wróci na nienawidzoną planetę, a z której się niestety urodził. Wenus była dlań rajem, ponieważ nie ma na niej ludzi, do których, z powodu ich okrucieństw i obłudy nabral nieuleczalnego wstętu. - Zobaczycie - mówił, - że za lat kilkadziesiąt człowiek wytepi większość gatunków i zostanie sam jeden na globie ziemskim. Teraz zabrał się do wielorybów. Złe gospodaruje na Ziemi. Natura pomści się na nim za to.

## Rozdział XIX

Czy to są ludzie

Arabella siedziała w swoim napowietrznym pałacu z margrabią, zajęta preparowaniem skorki jakiegoś dziwnego ptaszka, kiedy na pobliskiej gałęzi olbrzymiego drzewa rozległ się jakiś dziwny głos. Były to nieartykułowane dźwięki. Jakies nawoływanie, czy zew niewidzialnego zwierzęcia, które niesmiało zbliżało się do szalasu.

-Co to takiego? - zawołała chwytając za rękę meza.

Margrabia w odpowiedzi sięgnął po swój sztucer.

-Ależ powstrzymaj się kochamy- Jeszcze nie wiadomo co to takiego.

Margrabia rozgarnął prety, z których były splecione ściany szalasu i zatopił bystre spojrzenie w gąszczu.

-Malpy - zawyrokowal. - Jest ich kilka. Maja widocznie ochote zlozyc nam wizyte, ale boja sie.

-Alez tutaj zwierzeta nie lekaja sie woale ludzi - odparla zaciekawiona Arabella. - Zaden ptak nie ucieka, kiedy sie do niego zblizamy. Podobnie inne stworzenia tutejsze. Snadz czlowieka nie znaja. Jesteśmy jakby w raju.

Z tymi slowami wyskoczyla na mala platforme, do ktorej byla przymocowana drabinka sznurowa i sledzila najblizsze konary drzewa, podtrzymujacego wiszacy palac.

-Masz racje, to jakies malpy, ale dziwnie podobne do lodzi. Och, jedza cos.

Margrabia uspokoiony wyszedl takze na ganek.

Na sasiednim konarze siedzialy dwie duze1 malpy, przypominajace wygladem orangutangi albo szympansy. Nie okazaly one zadnej obawy na widok ludzi. Przeciwnie, uspokoione jakby zblizaly sie do szalasu.

Arabella cichym melodyjnym glosem zachecala je azeby jeszcze bardziej sie zblizyly.

Odnioslo to pozadany skutek. Jeden z niespodziewanych gosci zwinnie podskoczyl i znalazl sie na platformie tuz obok Arabelli.

Niewatpliwie byla to malpa, ale cale jej zachowanie bylo raczej ludzkie, anizeli zwierzece. Twarz miala porosnieta gestymi wlosami, duze oczy spogladaly inteligentnie i badawczo. Twor ten mial wzrost czlowieka i trzymal sie prosto na tylnych nogach. Rece jego byly stosunkowo krotkie w przeciwienstwie do malp czlekokształtnych, zyjacych na Ziemi. Malpa trzymala w prawicy jakis duzy owoc, ktory co chwila podnosila do ust, zeby ugryzc zen kawalek. Twarz miala plaska, wargi mierne, spoza ktorych swiecily dwa rzedy ostrych, ale nie nadmiernie wielkich zebow.

Arabella delikatnym ruchem chwycila za owoc, podobny do duzej brzoskwini i sama podniosla go do ust. Malpa usmiechnela sie przyjaznie wydajac cichy,- aprobujacy dzwiek.

-Jakas ty dobra, moja malpeczko - zawolala zachwycona Arabella. - Nie bronisz mi skosztowac tego przysmaku. Ach, jakie to smaczne - dodala. - Dziwny smak, bardzo przyjemny. Cos jakby owoc drzewa melonowego. Dziekuje.

Goscie usiedli jeden obok drugiego na podlodze i przygladali sie z widocznym, zaciekawieniem nieznanym istotom.

Gwido oddalil sie na chwile i powrocil w towarzystwie przyrodnika.

-Mamy gosci - zawolal. - Przyjrzyj sie im pan dobrze i powiedz czy to nie sa czasem tutejsi ludzie.



Johnson obrzucił przybyszów krytycznym okiem.

-Podobni do naszych małp człekokształtnych, ale to już nie czwororekie.

-Więc czymże są według pana?

-Czaszki mają podobne do naszych, wargi nie tak grube jak u Murzynów, rece stosunkowo krótkie, sięgające zaledwie do kolan, plecy nie tak szerokie jak u gorylow, szczęki silne, lecz nie wystające, kończyny chwytne, oraz - dodał z najwyższym zdziwieniem - mogą chodzić w postawie pionowej, tak jak my.

Jeden z gości powstał, podszedł chwiejnym, ale stanowczym krokiem do Johnsona i dotknął delikatnie jego kurtki, jakby badając czym pokryta jest skóra nieznanego mu istoty.

Badanie trwało kilka minut. Na twarzy gościa malowało się zdziwienie.

Jego towarzyszka podobnie rozpoznanie uczyniła ma jedwabnej sukni Arabelli, potem subtelnym, ostrożnym ruchem pogładziła dłonią jej bujne blond włosy. Świecąca klamra diamentowa u paska widocznie uczyniła na niej wrażenie, gdyż kilkakrotnie dotykała jej koniuszkami palców. Margrabina odpięła pasek i otoczyła nim porośniętą krótkim włosom kubic ciekawskiej, która wydała głosny okrzyk zachwytu,.

-Poczekaj, ty dzika kobieto - zawołała śmiejąc się margrabina - ustroje cię w modną sukienkę. Pójdziesz pochwalić się swoim przyjaciółkom.

Z tymi słowami wciągnęła gościa do swego pokoiku i po chwili obie "panie" wyszły stamtąd. Małpa miała na sobie żółtą, atlasową spódnicę, na głowie modny kapelusik z piórkami, ma szyi sznur białych koralików. W tym przebraniu, które sprawiło jej widoczną przyjemność, wyglądała jak jakaś hotentotka albo córka brazylijskiego szczepu dzikich Indian.

-Przedstawiam panom moją nową przyjaciółkę - zawołała Arabella robiąc komiczny dyg. - A ty, Gwidonie, ubierz przyzwójcie tego pana, który raczył nas odwiedzić tutaj ze swoją małżonką.

-Naturalnie. Powinni wyjść stąd jak ludzie - odparł margrabia.

Niebawem gość miał na sobie jasną, flanelową marynarkę i krótkie tenisowe spodenki. Gwido włożył mu do ręki rakietę i poklepał go przyjaźnie po łopacie.

-No, jesteś prawdziwym gentlemanem - rzekł.

-Możesz iść na kilka setów na najbliższy kort, o ile tu grywają w tenisa.

Przybysze z początku nie wiedzieli jak się poruszać w tym przebraniu, lecz szybko odzyskali pewność siebie. "Ona" przeglądała się zachwycona w toaletowym lustrze, odwracała je

jakby szukając istoty, która w nim widzi.

-Trzeba ich oboje sfotografować - rzekł Johnson.

-Kto wie czy jeszcze raz tu się zjawia.

-O, nie ma obawy. Nic a nic się nas nie boją. Zaraz znacie, że na tej planecie nie ma tego najgorszego drapieżnika, jakim według Doodsa jest człowiek. Trzeba ich czymś przyjąć.

Skoczyła do siebie i wróciła za chwilę niosąc pudełko czekoladek.

-Proszę pani, najlepsza marka, powinny pani smakować - rzekła czestując.

Malpa nie zrozumiała tego zapraszającego gestu. Arabella wyjęła więc z bombonierki kilka cukierków, sama jeden włożyła do ust, drugi wetknęła między wargi gościowi.

Snadz słodycz im się podobała, gdyż w kilka minut potem bombonierka była pusta. Oboje przybyli w gościnie brali całymi garściami i zuli lakomie.

-Widzicie, warto nas częściej odwiedzać. Na przyszły raz dostaniecie po tabliczke czekolady, a Gwido twego meza, szanowna damo, uraczy jakim mocnym likierem. To mu doda humoru.

Johnson śledził z najwyższą uwagą każdy ruch przybyszów. Były one, jak na małpy, nacechowane pewną inteligencją i celowością. "Pani" czuła się nieco skrepowana sukienką i kapeluszem, lecz na jej sympatycznym obliczu matowało się zadowolenie.

-To już nie małpy - zawyrokował wreszcie przyrodnik - te istoty znacznie wyższe, zarówno cielesnie, jak i duchowo.

-A więc, ludzie tutejsi? - zapytała Arabella.

-Albo ja wiem? Bawimy tutaj tak krótko, że nie możemy tego twierdzić. Może spotkamy istoty jeszcze doskonalsze. W każdym razie jest to bardzo już obrobiony reka przyrody materialna na ludzi. Niektóre plemiona na naszym globie stoją na niższym poziomie, aniżeli nasi goście. Gdyby używali mowy wyrazowej, rozwinęliby się szybko pod względem umysłowym,

Jecz wydają tylko jakieś dźwięki, w których trudno odróżnić słowa. Są jednak stanowczo mądrzejsze od szympanów i orangutanów. Nie mają ogona, umieją chodzić na tylnych nogach, wyprostowani jak my.

-A więc mamy do czynienia z kandydatami na ludzi - rzekł wesóło Gwido. - Mnie interesuje gdzie rosną te smaczne, aromatyczne owoce, które przed chwilą oboje spożywali.

-Sa wysmienite. Lepsze niż nasze brzoskwinie, a nawet ananasy - zapewniała Arabella.

Pokazywała na ogryzek mlaskając językiem i udając, że go podnosi do ust. Malpy zrozumiały widocznie te mimiki. On wyskoczył jednym susem na pobliską gałąź i zniknął w gąszczu. Po kilku minutach wrócił trzymając parę owoców w ręku, którą zapraszająco wyciągnął ku Arabelli.

-Patrzcie, rozumiał o co idzie. Ale spryciarz z pana - dodała biorąc ofiarowany owoc. - Muszą rosnąć gdzieś w pobliżu. Trzeba znaleźć to drzewo.

Wizyta trwała dobre pół godziny, po czym goście porozumiewając się krótkimi dźwiękami zniknęli w konarach drzewa unosząc swoje stroje.

-Wyobrazani sobie jaką sensację robią między swymi - zawołał Gwido.

Tymczasem Johnson biadał uważnie ogryzki smacznych owoców.

-Dziwi mnie, że takie plody rosną tutaj dziko wyglądają bowiem jak wynik celowej kultury ogrodniczej. Na naszej starej Ziemi dopiero po latach udało się z dziczek wyhodować coś słodkiego i smacznego.

-Niech pan weźmie pod uwagę, że na Wenerze panują znacznie przychylniejsze warunki dla roślinności aniżeli u nas - rzekł margrabia.

-No, zapewne. Słońca, kryjącego się ciągle za chmurkami, cokolwiek za mało. Atmosfera tutejsza, jak udało się stwierdzić, odbija aż 75% padających na planetę promieni świetlnych i ciepłych, ale biorąc pod uwagę, że Wenus otrzymuje ich czterokrotnie więcej aniżeli Ziemia, to można powiedzieć śmiało, że ta czwarta część wystarcza aż nadto tutejszej florze, a jednak...

-Musimy poszukać tych drzew rodzających te smakoliki - zdecydowała Arabella.

-Zaraz jutro rozpoczniemy poszukiwania kochanie - odparł Gwidon.

-Czy wezmiesz mnie ze sobą?

-Niezbyt chętnie co prawda, droga Arabello. Przekonał się bowiem, że te kraje roją się od różnych srogich bestii. Nie może zapomnieć napastliwych kangurow na tego olbrzyma w lesie, kiedyś szukali paliwa na ognisko. Szkoda, że nie nauczyli się tutejsi drapieżnicy obawiać się człowieka. Uważają nas widocznie za taką samą a może łatwiejszą zdobycz, aniżeli jelenie. Nie podobna samotrzeć zapuszczać się nieco dalej od naszego wiszącego palacu. Najmniej we trojkę i w dodatku z dobrą bronią.

-Och, jeżeli o to idzie, to i ja wezmę sztucer. Wiesz przecie, że umiem dobrze strzelać. W Miami na Florydzie otrzymałam w zeszłym sezonie sportową nagrodę w "Tir aux pigeons".

-Wiem kochanie, że ci nie brakuje odwagi. Zapytam jednak inżyniera Hobbsa.

-Och, to zbyt cenne, - zawołał Johnson. - Pojdziemy we czworke. Ja, państwo i Dick, który wspaniale umie obchodzić się z bronią i ma nawet granaty ręczne.

Arabella cieszyła się jak dziecko z projektowanej wycieczki. Ciągłe przebywanie w wiskacym pałacu zaczynało ją nudzić. Pragnęła ruchu, chciała poznać nieco bliżej ten interesujący świat, jaki ją otaczał.

Zrobiono więc niezbędne przygotowania. Dick zabrał zapas konserw, obiecując dostarczyć zwierzyny dla urozmaicenia menu.

Nazajutrz, kiedy właśnie miała wyprawa zabierać się w drogę, ludomalpy zjawily się ponownie w większej liczbie. Ona nosiła jeszcze na sobie lachmany, w które zamieniła się już wczorajsza jedwabna sukienka, kapelusik zniknął bez śladu. On nosił jeszcze spodnie, ale kurtkę podał o ostre galezie, przez które się zapewne przedzierał.

Procz tej małżeńskiej pary, były między gośćmi inne damy, dzwigające na plecach niedoleżne jeszcze dzieciaku. Arabella przyjęła ich jak wczoraj gościnnie.

-Ależ musiałaby pani tam u nas dużo wydać im modystki, kiedy tak krótko nosi pani nowe sukienki. Nie dam więc pani innej, bo widzę, że niebawem sama nie miałabym co na siebie włożyć.

Skonczyło się więc na kilku metrach kolorowych wstążek i papierowych kapeluszach dla panów.

Johnson w milczeniu śledził zachowanie się gości starając się zrozumieć znaczenie wydawanych przez nich dźwięków. Widocznie wystarczały one małpoludom do porozumiewania się między sobą. Po godzinie, na dany przez najstarszego samca znak, cała ta czereda usunęła się jakby pojmowała, że gospodarze spieszą się na wycieczkę. Arabella rozdała między nich po kawałku cukru i rozstano się w jak najlepszej zgodzie.

Johnson zabrał kilka owoców ofiarowanych sobie przez gości i spuszczone się na ziemię.

## Rozdział XX

### Zagadka trudna do rozwiązania

Nasza czwórka posuwała się ostrożnie w gąszczu lesnym, wypatrując kandydatów na "ludzi", jak nazywał Johnson niedawnych gości w pałacu wiskacym. Nie podobna było iść ich śladami, gdyż odbywały swoją drogę między galeziami, ale starano się dostrzec ich w bujnym chaosie drzew. Arabella zachwycała się wonnymi kwiatami, które opadały z galezi i ślały się jej jak jakiej boginie pod stopy - Jakież bogactwo form i barw. Niektóre rozsiewały odurzające wonie jakby storczyków brazylijskich, inne przypominały wielkie motyle, siadające na ich misternie rzezbionych kielichach. Margrabina podnosiła co piękniejsze i wkładała wraz z Usteczkami do zeszytu z grubej bibuły, zastępującego na razie zielnik.

Johnson ze swej strony przyglądał się wspaniałym okazom flory dalekiego świata. Wszystko tu było dlań nieznane i budziło jego ciekawość przyrodnika.

-Jakże by mi zazdrościli moi koledzy, gdyby wiedzieli jak szerokie pole do badań znalazłem tutaj - mówił. - Starczyłoby pracy dla tysięcy botaników i zoologów. Musimy łapać co się da, bo nie wiemy jak długo danym nam będzie bawić w tym raj.

-Harting mówi, że nie będziemy mogli wrócić przedzielniej niż za dwa lata. Mamy więc dość czasu na nasze badania. "Nasze" wymówił z dumnym naciskiem, wywołując uśmiech na ustach Johnsona.

-Sporządzimy sobie wspaniały zielnik, który tam na Ziemi wzbudzi sensację - dodał przyrodnik. - Spełnia pani wielce użyteczną dla nauki pracę, zbierając te kwiatki. Trzeba tylko dobrać odpowiednie liście i dawać krótkie napisy. Obiecuje pani w nagrodę za trud ochrzcić nazwą Arabella najpiękniejszy kwiat, jaki pani tu znajdzie.

-A ja dam pana nazwisko najładniejszemu motylowi - przekomarzała się margrabina.

-Cyt - przerwał Dick idący o kilkanaście kroków przodem. - Zdaje mi się, że słyszę ich mowę.

Zatrzymano się i zapuszczono wzrok między gałęziami pobliskich drzew.

Gwidon, który miał oczy rysia, dostrzegł coś przypominającego pierwotny szalasa ma jednym z konarów. Obok siedziała para "gości".

-No, przychodzimy was rewizytować - zawołał margrabia, - ale zapomnieliście dobudować schodki, a choćby drabinki do waszych domów.

-Czy na tym drzewie rosną owe smaczne owoce, którymi nas częstowali nasi goście? - zagadnęła Arabella.

-Nie widzę nic podobnego, Zdaje mi się, że małpy przyniosły je z daleka. Jaka szkoda, że nie mogą nas tam zaprowadzić - rzekł Dick. - Według mnie rosną one na niskich krzakach, jak nasze brzoskwinie.

-Dick ma słuszość. Trzeba opuścić las i iść jego skrajem.

Tak też uczyniono. Małpy nie schodziły ze swych szalaszów, więc nie było co tu robić. Niebawem las zrzędził i nasza czwórka znalazła się na, obszernej polanie porośniętej bujnymi ziołami i trawą.

-Trzeba by całymi dniami śledzić gości, żeby się dowiedzieć, skąd przynoszą te owoce, na które mamy taki apetyt - odrzekł Johnson. - Ale przebywanie w tym lesie pełnym niebezpiecznych bestyj nie nęci nikogo z nas. Cudem jakimś nie natknęliśmy się jeszcze na

jedna z nich. Miejcie bron w pogotowiu.

-To sie rozumie - mruknal Gwido, biorac swoj sztucer pod pache. - W pol sekundy po zjawieniu sie wroga moze mu poslac eksplodujaca kule.

-I ja - dodal Dick. - Nie damy sie tak latwo.

Johnson usmiechnal sie. Wiedzial, ze jego towarzysze nie zawioda w chwili niebezpieczenstwa. Teraz idac na przedzie przypatrywal sie ziolom rosnacym na polanie. Nagle podskoczyl, jakby podrzucony sprezyna, nachylil sie i zerwal jakas lodyge, ktora potrzasal z dzikim tryumfem nad glowa.

-Czym oszalal, czy mnie wzrok omamil? - krzyczal podsuwajac Arabelli swoja zdobycz. - Niech mi pani sama powie, co trzymam w reku.

Margrabina zasmiala sie.

-Alez nic nadzwyczajnego, toc to najpospolitsza kukurydza, szanowny doktorze. Czyzbys nie poznal pan naszej dobrej znajomej?

Johnson odetchnal z ulga.

-Dziekuje pani, - rzekl. - A zdawalo mi sie, zem oszalal...

-Dlaczegoz mialby pan oszalec na widok zwyczajnej kukurydzy?

-Wlasnie dlatego, ze jest to, jak pani rzekla, zwyczajna kukurydza.

-Skad sie ona wziala tutaj na Wenerze, odleglej o 50 milionow mil od Ziemi?

-Ot, wyrosla Sobie jak wiele innych jeszcze dziwniejszych roslin, ktore tutaj ogladamy. Ma zyzny grunt, wode, dosc swiatla wiec...

-Moj Boze, nie zdaje sobie pani sprawy z nieslychanej donioslosci mojego odkrycia - narzekal z zalosna mina przyrodnik. - Nie spotkalem dotad ani jednego gatunku ziemskiego na tym swiecie. Wszystko tu jest dla mnie zupelnie nieznanne. Roslinnosc na Wenerze jest bujna i nieslychanie posunieta w skali rozwoju. Sa tu drzewa lisciaste, sa palmy, mnostwo pieknych gatunkow, ale zaden z nich nie da sie zidentyfikowac z jakimis gatunkiem na Ziemi. A tu nagle natknałem sie na kukurydze, roslina amerykanska, ktora kultywowali juz Aztekowie od dawna, ktora jest wynikiem dlugiej hodowli i umiejetnego doboru nasion. Na tej dalekiej planecie, ktorej powierzchni po raz pierwszy od poczatku swiata dotyka noga ludzka - spotykamy kukurydze.- Czy to nie wydaje sie panstwu dziwne?

Gwido wzruszyl ramionami.

-Mnie nie - rzekl. - Coz w tym dziwnego, ze na innej planecie, gdzie panuja warunki

sprzyjające roślinności, natura powołała do bytu gatunek taki sam, jaki podobalo sie jej stworzyc na Ziemi. Moze znajdziemy inne gatunki bardzo pokrewne naszym ziemskim., skoro dluzej tu zabawiany.

Johnson rozwarl bezradnie ramiona jakby ubolewajac nad ignorancja margrabiego.

-Ależ, kochany margrabi, racz zrozumiec, ze ta kukurydza jest wynikiem hodowli a nie dziczka - zawolal. - Co do mnie nie watpie ani na chwile, ze musiala ona dostac sie tutaj z Ziemi naszej. W jaki sposob jest to dla mnie zagadka, ktorej w zaden sposob nie potrafie rozwiazac.

-Wiele jeszcze dziwniejszych faktow odkryjemy tutaj - rzekla Arabella. - Widzialam na przyklad pewnej nocy na pobliskiej galezi dotykajacej naszego szalasu weza, majacego nad oczami i wzdluz calego ciala jakby dwa rzedy jasnych latarek. Balam sie go, bo myslalam, ze jadowity. Sploszylam go uderzeniem galezi i uciekl. Byl cudownie piekny. I jeszcze jedno dziwo. Latal nad moja glowa smok. Talk, niech pan nie smieje sie, duzy jak moje ramie, prawdziwy smok ze skrzydlami nietoperza, z wydłużonym pyskiem, z ktorego wysuwal rozdwojony jezyk. Na grzbiecie mial szereg kolcow, skore pokryta luskami, slowem bajeczny smok, ktorego opisywali ludziska nieraz. Na Ziemi nikt go nie widzial, ale tutaj okazalo sie, ze smoki latajace naprawde nie istnieja. Mial on na glowie dwa swieczace punkty.

-Szkoda, ze go pani nie zlapala, albo nie zastrzelila dla dobra nauki - zawolal Johnson. - Ale zareczam pani, ze smok nie wywarlby na mnie takiego wrazenia, jak ta kolba dojrzewajacej kukurydzy.

-Przesadza pan, szanowny doktorze. Przyrodnik z poblazliwym usmiechem schowal do torby myśliwskiej swoja zdobycz i w milczeniu poszedl naprzod.

Z grupy gestych krzakow zerwalo sie kilka ptakow. Gwido strzelil tak celnie, ze kula sztucerowa sciagnela na ziemia jednego a nich.

Ptak byl wielkoscii naszego bazanta, ale jak juz przedtem zauwazono, mial nieproporcjonalnie male skrzydla. Johnson objasnil te uderzajaca anomalie gestoscia atmosfery na Wenerze. Przewyzszala ona o pol raza gestosc ziemskiej.

-Jakze latwo tu sie lata - zawolala Arabella - i co ciekawsze, lataja nawet zaby. Sama widzialam jedna, tak wielka, jak krolik. Miala miedzy palcami u nog blone, ktora zastepowala jej skrzydla.

-Podobne twory istnieja i na naszej Ziemi - zauwazyl Johnson. - Zycie w podobnych warunkach fizycznych, przybiera podobne formy. Materia, z jakiej skladaja sie wszystkie ciala niebieskie, nawet najodleglejsze od slonca jest taka sama, z jakiej sklada sie nasze slonce i krazace dokola niego planety. Nie spodziewalem sie, ze na tym dalekim swiecie znajdziemy organizmy tak dalece podobne do ziemskich. Ale to zrozumiale. Noga jest

najlepszym narzędziem do przenoszenia się z miejsca na miejsce po bezdrożach. Tam gdzie jest światło, muszą się wykształcić oczy; tam gdzie jest tlen w powietrzu, musi natura obdarzyć stworzy płucami. Tak, Wenus jest zdumiewająco podobna do naszej Ziemi.

-Wiec i kukurydza tutejsza może być taka, jak u nas - wtraciła Arabella.

-Przepraszam, ale...

-No, nie będziemy się sprzeczać o taką bagatelkę - zawołała pani. - Pokaż no Gwidonie tego ptaka. Jak myślisz, będzie równie smaczny, jak nasz bazant?

-To się zobaczy. Ale jeden to za mało na nasze apetyty.

-Jeżeli pragniesz grubszej zwierzyny, to ja masz! - zawołała Arabella, wskazując na zbocze, porośnięte trawą.

-Słonie, jak Boga kocham, słonie! - krzyknął Dick.

-Ale też trochę większe niż nasze - dodał Gwido odejmując od oczu lornetkę pryzmatyczną.  
- Dwa razy większe od azjatyckich i jakie dziwne kły mają te olbrzymy. Podwójne! Jedna para jest skierowana na dół, druga zakrzywiona ku górze.

-Niedawno przeglądałem mój atlas paleontologiczny, gdzie odtworzono na podstawie znalezionych szkieletów dawno wymarłe gatunki Ziemi - rzekł Johnson. - Otoż te słonie przypominają ziemskie mastodonty z epoki trzeciorzędowej.

Nasza czwórka przypatrywała się z najwyższym zainteresowaniem stadu, liczącemu kilkadziesiąt sztuk. Olbrzymy pasły się spokojnie na bujnej trawie nie zwracając najmniejszej uwagi na grupkę nieznaną sobie drobnych istot. A jednak gdyby wiedziały z kim mają do czynienia! Johnson przypomniał sobie jeden wielki rysunek: w dżungli idzie mały człowieczek w okularach z książką pod pachą. Ale ta mała postać się trwoży między mieszkańcami dżungli. Uciekają nawet pantery i tygrysy. Pod rysunkiem podpis: "Człowiek idzie". Tak - pomyślał sobie nasz przyrodnik. - Tutaj jeszcze nie wiemy kim jesteśmy. Inaczej wszystko co żyje, nawet te olbrzymie słonie pierzchałoby w popłochu. To chyba najlepszy dowód że na Wenerze, prócz tych małpoludów nie istnieją rozumne istoty. Ale znowu ta kukurydza...

Nasz uczonek sięgnął do torby, wyjął kolbę i znowu się jej bacznie przyjrzał.

Te oględziny znowu dały mu dużo do myślenia.

-A jednak - mówił do siebie - ta niepozorna roślina mówi coś innego.

Gwido chciał dać ognia do jednego z olbrzymów, lecz Johnson powstrzymał go.



-Nie bedziemy krwawymi zabojcami w tym mlodym swiecie - rzekl. - I tak na nic by sie nam taki okaz nie przydal, bo nawet szkieletow, wazacych po pareset kilo nie moglibysmy zabrac w powrotna droge na nasza -rakieta. Pani Arabello, prosze sfotografowac te zwierzeta. Sa wspaniale. Nie radze ich zaczepiac. Moga rzucic sie na nas jak zywa lawina i zdeptac na miazge.

Margrabia byl posluszny. Posuwano sie samym skrajem lasu, ciagle wypatrujac drzew rodzacych owe smaczne owoce, Lecz daremnie.

Johnsonowi udalo sie znalezc jeszcze dwie kolby kukurydzowe. Przypuszczac zaczynal, ze ta polana miedzygorska sluzyla kiedys jako pole, na ktorym sadzono te pozyteczna roslina.

Dzien byl dziwnie pogodny. Obloki niebawem niemal zupelnie znikly i na krotka chwile ukazalo sie ciemno indy go we niebo. Zdarzylo sie to po raz pierwszy od chwili wyladowania na Wenerze. Odslonilo sie przed oazami naszej grupki olbrzymie pasmo gorskie, ktorego sniezne szczyty wznosily sie do niebotycznej wysokosci. Johnson staral sie zmierzyc okiem ich wysokosc, ale daremnie! Szczyty, wznoszaca sie na dziesiatki kilometrow nad poziomem doliny, tonely w sonej mgle oddalenia.

-Co za kolosy! - zawolal zachwycony margrabia. - Nasze Himalaje wygladaja przy nich jak pagorki. Splywaja z ich stokow lodowce wprost bajecznej szerokosci. Musimy koniecznie urzadzic wyprawe wysokogorska. Umiem dobrze sie wspinac, a pan?

-Pojdziemy razem - odparl zachwycony tym imponujacym widokiem przyrodnik.

## Rozdzial XXI

### Niebezpieczna wyprawa

Nasza czwórka powrocila szcieszliwie do wiszacego palacu, gdzie Dick zajal sie niezwlocznie upieczeniem przyniesionego ptaka na obiad dla zglodnialej Arabelli. Ten "bazant", jak nazwano zdobycz, okazal sie jeszcze smaczniejszy, anizeli ziemskie jego krewniaki. Ale nie to zajmowalo uczonych z zalogi rakiety miedzyplanetarnej. Debatowano nad projektem jaki nagle wylonil sie w mozgu Hartinga.

Dzieki krotkiemu przejasnieniu sie w gestej atmosferze ujrzano slonce. Widok zyciodajnej gwiazdy rzadko tutaj cieszyl oczy mieszkancow pieknej planety. W jego promieniach ukazaly sie niebotyczne gory.

-Musimy urzadzic wielka i bardzo meczaca wyprawe aa te szczyty - mowil nasz astronom. - Oceniam ich wysokosc na czterdziesti co najmniej kilometrow...

-Czy nie przesadasz kolego - zawolal Johnson. - Byloby to istnym fenomenem natury.

-Juz od dawna zaobserwowano na Wenerze trzy punkty nieruchome w polnocnych

okolicach tej planety - bronil swego zdania astronom. - Nie mogly one byc czym innym jak szczytami niezmiernie wynioslych gor, siegajacymi poza granice tutejszej atmosfery. Oceniono w przyblizeniu ich wysokosc na 8 mil geograficznych.

-Bylyby one osiem razy wyzsze od gory Everest w Himalajach - zauwazyl Johnson.

-Nie wykluczam mozliwosci, ze znajda sie jeszcze wyzsze. Otoz szanowni koledzy, musze dostac sie na jeden ze szczytow, ktore na krotka chwile ukazaly sie nam dzisiaj.

-A to po co? - zagadnal - Gwidon.

-Przeciez nie znamy jeszcze dlugosci dnia tutejszego, czyli czasu obrotu Wenerly dokola jej osi. To sprawa, dla mnie przynajmniej, bardzo wazna. Udaje sie przeto na te gory z instrumentami. Kto mi bedzie towarzyszył panowie?

Zaleglo gluche milczenie.

-Jestem niezlym alpinista - odezwal sie wreszcie Gwidon - ale plac sie na gore wysoka na 50 km to nie fraszka. W kazdym razie moze pan na mnie liczyc. Prosze tylko wziac zapas tlenu, bo moglibysmy sie udusic na takich zawrotnych wysokosciach.

-Doktorze - zwrocil sie Harting do chemika, - Czy mozesz nam przygotowac po baloniku z tym nieodzownym do oddychania gazem?

-Zdaje mi sie, ze bede w stanie to dla was zrobic Mam oksylit, ktory w zetknieciu z woda wydziela tlen.

-Doskonale. Trzeba mi tylko ze trzech towarzyszy, ktorzy by mi pomogli niesc moje instrumenty, glownie teodolit.

-Jestem gotow - zawolal Hobbs. - Wprawdzie nas<<za rakietą moglaby nas wyniesc ponad owe szczyty niebo tyko w, ale nie ryzykuje startu. Gdybysmy uszkodzili nasz statek niebieski, odcielibysmy sobie powrot na Ziemię.

Ten argument był decydujący. Harting namówił jeszcze Johnsona i dwóch mechaników do kompanii, i niezwłocznie rozpoczęto przygotowania do tej ryzykownej wyprawy. Po namyśle przyłączył się do niej pułkownik Croops.

-Musze z tych gór rozejrzeć się po łąkach - rzekł - i zbadać, czy nadadza się do moich celów.

Arabella dowiedziawszy się, że jej mąż ma wziąć udział w tej niebezpiecznej wyprawie, udała się do Hartinga z protestem.

Astronom był właśnie zajęty przygotowywaniem swoich instrumentów, kiedy zasłona od jego kabinki między konarami wielkiego drzewa podniosła się i odezwał się dzwiczny okrzyk "hallo".

Astronom był zdziwiony tą niespodziewaną wizytą.

-Jakże mi przyjemnie widzieć panią margrabinię w moim gniazdku - zawołał. - Czym zasłużyłem sobie na to wyróżnienie?

-Zasłużył pan, ale chyba na ostrą nagane. Chce pan wziąć na te karkolomne wspinaczki na niebotyczne góry mojego Gwidona.

-Zgłosił się na ochotnika.

-Bo on pasjami lubi sport alpejski. Ale ja...

-Niepotrzebnie leka się pani o niego - odparł z uśmiechem uczonego, zazdroszcząc w duchu Gwidonowi. Arabella była w tej chwili piękniejsza, niż zazwyczaj. Na jej twarzy o regularnych, niemal klasycznych rysach, wykwitł rumieniec. Odgarnęła sobie właściwym ruchem dłoni (złociste "kedziory", spływające na marmurowe czoło, i stała tak pełna wyrzutu. Jej ukochany Gwidon znowu się naraza na niebezpieczeństwo. Taki on jest. Niczego się nie uleknie. Ale ona, jego żona.

Harting posadził piękną panią na splecionej z gałęzi ławeczce.

-Niech pani nie przesadza - rzekł łagodnie, - nie mamy zamiaru wdrzeć się na sam wierzchołek tej góry, kilkakrotnie wyższej od szczytów himalajskich. Proszę mi wierzyć. Byłoby to zresztą dla nas niemożliwe, ale muszę wdrapać się na jakieś dziesięć kilometrów, ażeby znaleźć się ponad obłokami, które w tutejszej, dwakroć gęstszej niż nasza atmosfera, stale zasłaniają nam słońce.

-Po co panu potrzebne to słońce?

-Muszę zrobić ważne pomiary astronomiczne. Sądzę, że skoro tylko wydostaniemy się w słoneczne strefy, osiągniemy cel. Nie myślę jak zapaleni alpinisci zdobywać tutejszych

szczytów. Zreszta wejść na górę mierzająca pięćdziesiąt kilometrów wysokości, nawet w tej krainie otrzymującej cztery razy więcej ciepła niż Ziemia, to mrzonka.

-Niech pan pamięta co mi pan przyrzekł - rzekła Arabella zegnając uczonego.

Przygotowania do projektowanej wyprawy nastreczały wielkie trudności. Należało przygotować z brezentu plecaki, porobić zaostrzone na końcu kije, podkuc gwoździami obuwie, ukuc czekany, gdyż spodziewano się natrafić w drodze na wielkie lodowce, przygotować zapasy tlenu w małych zbiornikach metalowych, nie zapomnieć o linach - słowem stworzyć tak jakby z niczego cały ekwipunek, używany zazwyczaj przez alpinistów w ich wysokogórskich wyprawach.

Arabella gorliwie pomagała w tej pracy, dzięki czemu po trzech dniach zastęp złożony z sześciu osób o samym świcie wyruszył w drogę.

Musiano zabrać ze sobą bron palną, gdyż jak wskazywało doświadczenie, w każdej chwili można było spotkać się z jakimś niebezpiecznym zwierzem i ten dodatek bardzo obciążał naszych alpinistów.

Pierwszy etap tej ciężkiej drogi nie wymagał zbyt wielkiego wysiłku. Posuwano się kamienistymi zboczami i dopiero przy schyłku dnia dotarto do podnoża góry, stanowiącej właściwy cel wycieczki. Niebawem znaleziono się w gęstej chmurze, która zasłoniła kompiętnie widok na okolice. Chcac nie chcąc, rozłożono się biwakiem na noc w jakiejś pieczarze u zbocza góry, ciągnącej się dość daleko w głąb.

Ponieważ Wenera nie posiada, tak jak Ziemia i Mars, księżycy, przeto po zachodzie słońca, nastaly nieprzeniknione ciemności, których nie łagodziło nawet gwiazdziste niebo z powodu gęstej warstwy chmur.

Przyroda dalekiego świata starała się naprawić poniekąd ten błąd kosmogoniczny, gdyż jak się już przekonano, niemal wszystkie tamtejsze twory żyjące są przez nią zaopatrzone w świecące latarnie, umieszczone przeważnie nad oczami, które także płoną, jak dwie wielkie gwiazdy. U płazów i gadów tamtejszych tworzą one jakby cały sznurek jasnych punktów wzdłuż ciała, tak jak u ryb głębinowych na kuli ziemskiej.

Badacze, którzy opuszczali się w stalowych kuciach na tysiąc i więcej metrów w otchłan morską, gdzie od początku świata panuje nieprzenikniony mrok, stwierdzili, że wszystkie niemal twory rozporządzają tam swoim własnym światłem.

Drobne raczki dotykające szyby aparatu wyrzucały ze swego ciała chmurkę niebieskawo-zielonego światła, jak gdyby pragnąc rozpoznać przeszkodę, na którą się niespodziewanie natknęły.

Ryby są tam podobne do malenkich okretów o dwóch rzędach okien, z których padają promienie elektrycznego światła. Analogiczne zjawiska zaobserwowano na Wenerze

podczas tamtejszych ciemnych nocy. W powietrzu roilo sie od owadów rozmaitego gatunku, przypominających nasze świetliki podzwrotnikowe. I rzecz szczególna - nawet jaszczury i ssaki tamtejsze miały do rozporządzenia naturalne latarnie, bez których nic tam się nie mogło poruszać noca.

Rozpalono sute ognisko u wejścia do pieczary, ażeby mieć ochronę od obfitej rosy, która tu była pospolitym zjawiskiem, podobnie jak burze, które wybuchały niemal codziennie z niesłychaną gwałtownością. Wówczas niebo stawało jakby w ogniu a olbrzymie błyskawice rozdzierały chmury z przerażającym rykiem. Lecz potoki lejące się z chmur nie zdołały zagasić chronionego przez strop pieczary ogniska. Znużeni wędrowcy urządzili sobie na piasku, leżąc grubą warstwą na dnie jaskini, wygodne legowiska, owinęli się w koce i niebawem zaczęła ich ogarniać lekka drzemka.

Lecz nie było im sadzone spędzić spokojnie długą noc.

Z wnętrza pieczary zaczęły dochodzić ich uszu ciężkie oddechy i głuche pomruki, wydobywające się z jakichś potężnych płuc. Dick, czujny jak zawsze, pierwszy zerwał się na równe nogi i chwyciwszy sztucer, zapuścił wzrok w ciemne wnętrze pieczary. Zdawało mu się, że dostrzeże kilka świecących punktów, które mogły być niczym innym, jak ślepiami bestii, które widząc ognisko tamujące im wyjście z ich siedziby, okazywały na swój sposób niezadowolony.

Dick dotknął ramienia śpiącego smacznie Norwskiego.

-Niech pan weźmie swoją broń - szepnął. - Zdaje mi się, żeśmy akurat weszli w paszczę tygrysa, czy jakiegoś innego bestii, prowadzącym tak jak nasze drapieżniki nocny tryb życia. Nie wiem doprawdy co poczuć? Byłoby najroztropniej z naszej strony nie wchodzić tym bestiom w drogę, zgasić ognisko i wynieść się pod gołe niebo, z którego leje niestety, jak z cebra. Czy i pan to zauważył, że tutaj bestie nie boją się ani ognia, ani człowieka?

-Zrobiłem to samo spostrzeżenie, co i ty, mój Dicku. Chyba dlatego, że nie ma tutaj ludzi, żeby rozpalili ogień i byli niebezpieczni dla zwierząt.

-Chyba, że tak - potwierdził Dick. - Ciekawy jestem, jak się zachowają potwory zamieszkujące te pieczary, do której tak nieroztropnie weszliśmy w poszukiwaniu wygodnego biwaku. Czy wyjdą na zewnątrz, poprzez stos płonącego chrustu, czy też rozropnie zaniechają swej zwykłej wycieczki łowieckiej. Roztropność nakazuje mieć się na ostrożności.

Rozbudzono więc wszystkich, jeden tylko pułkownik leżał rozciągnięty na kocu, lekceważąc, jak przystało na wojskowego, niebezpieczeństwo.

Jednakże sapania i pomruki nie ustawały, przeciwnie były coraz to głośniejsze i bardziej natrączywe. Rozgniewani na intruzów mieszkańcy pieczary znajdowali się tuż, tuż! Można było oczekiwać, że lada moment lawina żywego cielska runie w otwór prowadzący na

zewnatrz.

Dick wystrzelil, echo roznioslo sie w glab pieczary i odbite wielokrotnie od jej zakamarkow - przez pare sekund rozbrzmiewalo glucho. Dowodzilo to, ze pieczara byla bardzo gleboka i rozgaleziona, prawdopodobnie tez byla siedziba wielu tajemniczych potworow, ktore teraz usilowaly wydostac sie na wolne powietrze.

-Wstawac! - krzyknal Dick rozkazujaco.

-Pulkowniku, stac pod sama sciana u wylotu jaskini, jezeli nie chcesz byc stratowany na miazge przez jakiegos nosorozca albo mastodonta.

Croops, choc niechetnie usluchal dobrej rady i uczynil to w sama pore, po chwili bowiem kilka wielkich przedmiotow, kilkoma skokami przesadzilo ognisko. W jego swietle mozna bylo z gruba rozpoznać kształty uciekajacych bestii.

-To potezne niedzwiedzie - zawolal Johnson.

-A mnie sie zdaje, ze to byly jakies potezne lwy. - rzucil Dick. - W blasku ogniska widzialem wyszczerzone olbrzymie kly. Zdaje mi sie, ze to sa te same bestie, ktore niedawno napadly na stado jeleni, czy tez renow. Czy pamietasz doktorze, ze jeden z nich juz sie gotowal skoczyc na pana, kiedym mu wsadzal w ucho moja eksplodujaca kule.

-Nigdy nie zapomne, zes mi wtedy ocalil zycie, kochany Dicku - odparl Norski.

-A tosmo ladnie wpadli, - mowil dalej Dick.

I rzeczywiscie bestie nie przelekly sie ogniska, ktore powstrzymaloby kazdego tygrysa w naszych dzunglach.

-Ale juz moja w tym rzecz, zeby nauczyc je respektu przed dwunożną istotą - dodal potraszajac swoim cennym sztucerem.

Poprawiono rozrzucone nieco ognisko i nadsluchiowano co dalej nastapi. Okazalo sie niebawem, ze pieczara byla dosc licznie zamieszкана, bo po kilku minutach znowu jakas bestia runela w otwor z taka szybkością, ze nawet nie mozna bylo rozpoznać jej kształtow.

-To musial byc chyba jakis nosorozec, bo az ziemia zadrzala, pod jego ciezarem - zawyrokowal Johnson. - Jezeli nie chcemy byc stratowani, to wynosmy sie stad predzej.

-Na burze i ulewe - jeknal pulkownik.

Nie bylo jednak innej rady, dorzucono swiezego chrustu na ognisko i juz zabierano sie do opuszczenia jaskini, kiedy Dickowi przyszla dobra mysl do glowy.

-Ot, przeniesmy sie raczej w glab tej pieczary, razem z naszym ogniskiem, ktore zagradza

bestiom przejscie. Znajdziemy jakis przytulny kacik i spedzimy w nim noc bezpiecznie.

-To znaczy mamy wlezc tygrysowi dobrowolnie w paszcze - zawolal Croops.

-Mamy przeciez skuteczna bron, pulkowniku, pozwol, ze pojde na zwiady - i odwazny Dick z latarka elektryczna w jednej rece a z granatem w drugiej, znikl w czelusciach pieczary.

Niebawem rozlegl sie jego tryumfujacy okrzyk, znalazl na prawo od wyjścia, gleboka wneke, wielkosci sporej izby. Byla ona, jak sie przekonol, zupełnie pusta, przeniesiono sie do niej natychmiast wraz z ogniskiem. Wyjscie z groty pozostalo wolne dla jej mieszkancow. Co jakis czas jeden z nich opuszczal swe nocne pielesze, gnany zadza zdobycia jakiejs ofiary, zdolnej zaspokoic dojmujacy glod.

U progu nowej siedziby stanal Dick i jeden z mechanikow, jak sie zdawalo, narzeczony pokojowki Fauny. Pod ta straza pozostali czlonkowie wyprawy wysokogorskiej pograzyli sie niebawem w glebokim snie, z ktorego obudzono ich dopiero wtedy, kiedy mieszkancy pieczary, nocni lupiezcy wrocili na swe legowiska. W tym otoczeniu tajemniczym i niebezpiecznym nie zamierzano dluzej przebywac. Nocna burza ustala, lecz niebo pokryte ciemnymi chmurami, nie pozwalalo spodziewac sie ladnej pogody.

Po sniadaniu, zlozonym z konserw i biszkoptow, ruszono w dalsza droge, prowadzaca coraz to wyzej i wyzej.

Kolo poludnia znaleziono sie na obszernym, naturalnym tarasie, poroslym niskimi drzewami, na ktorych wisialo mnostwo owocow, znanych juz dobrze naszym przybyszom. Byly to te same, duze jakby brzoskwinie, przenoszone do wiszacego palacu przez malpoludy. Na pierwszy rzut oka uderzala regularnosc odstepow pomiedzy pojedynczymi drzewami.

-Alez to prawdziwa plantacja - zawolal Johnbon. - Czyzby ja zasadzili nasi goscie?

-Bardzo w to watpie. Hodowle potrafi prowadzic jedynie rozumny czlowiek, homo sapiens, wiec tu musza znajdowac sie ludzie. - zawolal Norski.

-Sadze, ze i kukurydza, ktora znalazlem niedawno, jest sadzona ta sama reka, co i te drzewa.

-W takim razie - wtracil Dick, - lada chwila mozemy sie z nimi spotkac, bardzo jestem ciekawy, czy sa do nas podobni.

-To jest wlasnie kapitalna zagadka - rzekl Johnson rozgladajac sie uwaznie dokola. - Widze tu tak jakby wydeptane sciezki.

-Moze to malpoludy przychodza tu krasc owoce, ktorymi nas czestowaly - rzekl Dick.

Z tymi slowy podniosl jeden z nich z ziemi i lakomie zapuscil w slodki miekisz swoje zdrowe

zeby.

-Doskonale - chwalil mlaskajac jezykiem. - Slodkie, maczyste, pachnace. Trzema takimi mozna by sie dobrze najesc.

Wszyscy poszli za przykladem laboranta, owoce znikaly jeden za drugim, dosc bylo potrzasnac jakimis drzewkiem, zeby spadlo z niego kilkanascie tych doskonalych owocow; nazbierano ich spory zapas na droge, ktora stawala sie coraz bardziej meczaca.

Posuwano sie powoli, pomiedzy rozrzuconymi bezladnie skalami, ktore, jak twierdzil przyrodnik, byly pochodzenia wulkanicznego.

-Byc moze, ze ta gora, na ktora sie tak mozolnie wspinamy, ma na swoim szczycie krater, ziejacy ogniem i lawa. Zauwazylem juz podczas naszej podrozy ponad tymi ladami, ze sily podziemne pracuja tutaj energiczniej niz na Ziemi.

Podrozni w gaju owocowym zauwazyli kilkanascie malp zbierajacych owoce, ktore, rzecz osobliwa, wkladaly do czegos w rodzaju koszykow, splecionych z wielkich lisci palmowych.

-Sa jak widze przemyslne, te nasze malpoludy - rzekl Dick. - Nie chce im sie chodzic czesto do tego sadu, wiec wola robic sobie zapasy. Nasze orange czy pawiany nie zdobylyby sie na cos podobnego.

Johnson ponownie stwierdzil, ze zwierzeta na Wenerze wcale, nie obawiaja sie czlowieka. Nie tylko malpy, ale i ptaki nie uciekaly na widok dwunoicznych istot.

Nie dziwil sie temu jednak, gdyz i na Ziemi w okolicach, ktorych nigdy nie dotknela stopa ludzika np. na Antarktydzie, tamtejsze pingwiny zachowuja sie z podobna przyjazna obojetnoscia wzgledem zeglarzy, ktorzy tam zawitali. Pozwalalo to domyslac sie, ze rozumne istoty zamieszkujace te planete nie sa takimi drapiezcami, jak czlowiek.

Wszystkie te spostrzezenia coraz bardziej zaostrzaly ciekawosc naszych podroznikow.

## Rozdzial XXII

### Nowa niespodzianka

Przez: caly pierwszy dzien tej wedrowki na niebotyczna gore, walczono z licznymi przeszkodami, ktore tamowaly kazdy krok. Posuwano sie w istnym labiryncie, raz natrafiono na gleboki wawoz o bardzo spadzistych stokach, na ktorego dnie szemraly monotonnie przezroczyste potoki. To znow natrafiono na strome, nieraz pionowe sciany i musiano godzinami poszukiwac jakiejs szczeliny, ktora by ulatwila wdrapanie sie na jej szczyt. Najbardziej uciazliwe bylo stapanie po piargach i usypiskach, skladajacych sie z niespojonych niczym odlamkow sikal, ktore usuwaly sie pod nogami. Johnson co kilka godzin ocenial przy pomocy aneroidu na jakiej wysokosci znajduje sie wyprawa. Okazalo



się, że osiągnięto już niemal pięciu kilometrów ponad poziom morza. Na tym poziomie odpowiadającym szczytowi Mont Blanc w Szwajcarii, barometr wskazywał jeszcze osiemset mm ciśnienia, lecz w tej nieco rzadszej atmosferze nasi alpinisci czuli się doskonale. - Zdaje mi się - rzekł Johnson chowając swój aparat do torby, - że łatwo osiągniemy dziesięć, a może i dwanaście kilometrów bez szkody dla naszych płuc i bez uciekania się do zapasów z tlenu. Ciągle jeszcze znajdujemy się wśród gęstych chmur i obłoków, przesłaniających nam widok na dalsze okolice, lecz spodziewam się, że niebawem ujrzemy czyste niebo i nasze kochane słońeczko, za którym już wszyscy tęsknimy.

Nad wieczorem natrafiono na przeszkodę, prawie że nie do pokonania, w postaci bardzo stromej, granitowej ściany, która ciągnęła się w obie strony bardzo daleko. Nigdzie nie było widac żadnej szczytowej w tym kolosalnym monolicie. Nie było również widac żadnego potoku spadającego z jej wierzchołka. Musiano wobec tego iść u podnóża tej ściany i szukać miejsca dogodnego do wspinaczki. Była to dosyć monotonna podróż, która przerwała jedynie spotkanie z ogromnym zwierzem, przypominającym szarego niedzwiedzia z Gór Skalistych.

Bestia ta zaopatrzona w kolosalne pazury, zachowała się na szczęście całkiem obojętnie wobec zbliżających się alpinistów. Wprawdzie Dick, jak zwykle, miał ochotę zapolować na tę grubą zwierzynę, lecz roztropny margrabia zabronił mu stanowczo zaczepiać potwora.

-I coż sobie wyobrazasz Dicku, że twoja kula mogłaby coś zrobić takiemu kolosowi, znaczyłaby dlań tyle, co ziarnko drobnego sruć dla odynca. Mogłabyś wyprożnić cały swój magazyn, a ten olbrzym miałby jeszcze tyle siły, żeby cię zabił jednym uderzeniem swej łapy. Tu trzeba by przynajmniej karabinu maszynowego albo armaty. Sam jestem namietnym myśliwym, ale nie lubię narazac życia bez istotnej potrzeby, wszak to bydle wcale nas nie zaczepia. To znaczy uważa, że nie starczyłbyś jej na śniadanie.

Dick uważnie przyglądał się odchodzącemu spokojnie potworowi. Był on przynajmniej cztery razy większy od najcięższego niedzwiedzia, jego muskularne cielsko było pokryte łuszczykami, niezbyt długim włosiem, spod którego sterczały ruchliwe uszy. Poteznie uzebiecie w wielkich szczękach wskazywało, że ten należy bez wątpliwości do rzędu drapieżników.

Ponad głowami podróżnych unosiły się olbrzymie ptaki, znacznie większe od kondorów w Andach. Ich białosrebrzyste pióra wydawały jakby głębokie poswisty podobne do odgłosu szybko poruszającego się samolotu myśliwskiego. Kiedy już zaczęto tracić ciepłość, posuwający się na czele gromadki przyrodnik, wydał okrzyk triumfu i zdziwienia.

W prostopadłej ścianie skalistej ujrzano jak gdyby wielkie wyłobienie, przez które, jak się niebawem przekonano, przetrzynana była bita droga, wyłożona wielkimi płytami granitowymi. Jednym słowem wspaniały goścień, przypominający wiekopomne dzieła Inkasów peruwiańskich. Alpinisci zatrzymali się nie wierząc własnym oczom. Poniesc tyle mozół, blakac się przez dwa dni po wertepach nie wiedząc, że na gorę prowadzi gładka, doskonale utrzymana szosa, to zaiste ironia losu.

-Jaka szkoda, że nie wiedzieliśmy o istnieniu tej drogi - zawołał margrabia Gwido, uderzając kolbą swego sztucera o kamienne płyty. - Nie byłoby jacy inżynierowie musieli ją budować. Przeciąć ten mur naturalny bez środków wybuchowych, to nie łatwe zadanie. Podjąć się tego mogli jacyś olbrzymi. Kiedyż Areszcie spotkamy się z nimi.

-Zdaje mi się, że niebawem musi to nastąpić - rzekł Hobbs. - Goście musi prowadzić do jakiegoś miasta, położonego gdzieś w górach. Mieszkańcy tutejsi przekładają widocznie słoneczne szczyty nad zachmurzone niziny.

Odkrycie to wlało nowe siły w zmęczone uciążliwą drogą nogi naszych podróżników. Skończyło się mozolne wyszukiwanie ścieżek wśród skał, przeprawa przez szumiące, zimne jak lód potoki, pokonywanie szczelin, głębokich nieraz na kilkanaście metrów, przeskakiwanie z wanty na wantę, narazające na złamanie nogi, słowem skończyły się wszystkie kłopoty nieodłączne od wycieczki w góry. Szosa była gładka, doskonale utrzymana i mierzyła przynajmniej piętnaście metrów szerokości. Posuwano się razno w górę, po niezbyt stromej pochyłości; uderzał naszych wędrowców brak jakichkolwiek śladów kół na tej szosie. Czyżby więc mieszkańcy Wenus nie znali wozów? Po coż więc budowali tak wspaniałe drogi? Wszyscy byli do najwyższego stopnia podnieceni tym odkryciem, które niezbitnie dowodziło, że na dalekim świecie żyją jakieś rozumne istoty. Rozglądano się ciekawie dookoła, lecz nigdzie nie dostrzegano żadnego budynku i żadnej, chociażby nędznej wioski. Po bokach drogi, w odstępach kilkudziesięciu metrów rosły jakieś rozłożyste drzewa, przypominające klony ziemskie. W ich cieniu odpoczywano od czasu do czasu, gdyż pochyłość drogi, choć nieznaczna, wymagała dużego nateżenia mięśni. Kiedy noc zapadła, rozłożono się biwakiem pod jednym z tych drzew, rozpalono z suchych gałęzi duże ognisko i spożyto z wielkim apetytem skromną wieczerze, w której smaczne owoce były głównym daniem.

Podczas wędrowki ta wspaniała szosa nie napotkano, jak to się mówi, żywej duszy. Dowodziło to, że zaludnienie planety Wenus, nie było tak wielkie, jakby można było przypuszczać. Burze, jak dotąd wybuchały niemal codziennie w niższych strefach, nie zakłóciły spoczynku naszym alpinistom. Noc była dość ciepła, choć jak zwykle panowały i tutaj nieprzeniknione ciemności.

Ubolewano nad Wenerą, że nie posiada ona tak jak Ziemia księżycy, który by rozjaśniał pomrok.

Kiedy się obudzono wczesnym rankiem z powodu gwaru, który zapanował na gościńcu, ujrano kilkadziesiąt, jak ich nazywał Dick, małpołudów idących gęsiego. Każdy z nich dzwigał w splecionym z liści koszu kilkadziesiąt owoców dobrze znanych przybyszom.

-Dokąd one to wszystko niosą? - wykrzyknął Hobbs. - Czyżby do miasta, które musi się znajdować w pobliżu? To są dziwnie inteligentne stworzenia. Nie można ich nawet porównywać do naszych goryłów czy pawianów.

-To, jak mi się zdaje - rzekł Johnson - są dostawcy żywności dla mieszkańców Wenerii. Muszą być wdrożeni w tę czynność, skoro spełniają ją bez przymusu i chętnie. O, śmieją się do nas. Może nas poznały.

Nasi podróżnicy przyglądali się tej małej karawanie, która niebawem zniknęła w oddali.

-Pojdźmy za nimi - proponował Johnson. - Zaprowadzą nas do miasta, któremu snadź dostarczają tych smacznych i pożywnych owoców.

-Nie dogonimy ich - westchnął Croops spoglądając melancholijnie na swój wydatny brzuszek.

-Niestety - potwierdził Hobbs - idą dla nas za szybko.

Lecz niebawem ukazała się nowa grupa małp. Niosła ona jednak zupełnie inne owoce, których Ziemiaństwo jeszcze nie znała.

Johnson śledził uważnie zawartość prymitywnych koszy. Po chwili wydał okrzyk triumfu i rzucił się w kierunku małpy idącej na samym końcu.

-Ależ one niosą kukurydzę - zawołał zdumiony. - Tak, nie mylę się. Dojrzała, o złośliwych, pełnych ziarnach. Teraz pojmuję, dlaczego ta pożyteczna roślina trafia się tu i owdzie. Ptaki roznoszą nasiona zupełnie jak u nas.

Chciał wydrzeć małpie jej brzemię ale natrafił z jej strony na energiczny opór. Uciekła tak szybko, że przyrodnik nie mógł nawet marzyć o dogonieniu jej.

Jej towarzyszkę śmiejąc się omijały z daleka zawiedzionego Johnsona jak gdyby chciały uniknąć napastliwej z jego strony. Ale w ich zachowaniu się nie można było dostrzec jakiegokolwiek niechęci względem przybyszów.

-No, śpieszmy się - wołał Dick. - Ja mam niezłe nogi więc pobiegne przodem, żeby ich nie stracić z oczu.

Usiłowania naszej grupki, żeby dotrzymać kroku objuczonym żywnością małpom nie powiodły się. Czekano idąc cierpliwie na inną grupę tych interesujących stworzeń. Droga stawała się coraz równiejsza. Z dala zarysowały się na tle obłoków srebrzyste kontury jakiegoś wysokiego budynku. Ten widok zelektryzował naszych wędrowców.

-Nareszcie - westchnął z ulgą Johnson.

-Miasto? - zagadnął Hobbs wyciągając swoją lornetkę.

-Nie widzę żadnych domów prócz tych wysokich murów. O, teraz ukazują się coś, jakby portyk podparty strzelistymi kolumnami - dodał Johnson, który cieszył się doskonałym

wzrokiem.

Zaciekawieni alpinisci przyspieszyli kroku. Droga nagle rozszerzała się i znaleziono się na obszernym placu, wybrukowanym wielkimi płytami z czerwonego marmuru. Po drugiej jego stronie wznosił się imponujący kolosalnymi rozmiarami gmach. Fronton jego ciągnął się daleko w obie strony. Znaleziono się u wejścia do długiej na kilkaset metrów kolumnady.

-Patrz pan - zawołał margrabia wskazując na błyszczące głowice strzelistych smukłych kolumn. - Toż to świeci jakby szczere złoto.

-Skądby się tu wzięło tyle złota - pokręcił sceptycznie głową Dick.

-Dlaczegożby ten metal nie miał się znajdować i na Wenerze - rzekł Johnson.

-Cały wszechświat, o ile zdaliśmy się przekonać przy pomocy analizy widmowej, składa się z tych samych pierwiastków chemicznych, co i nasz glob.

-Ależ musi znajdować się tutaj w wielkiej ilości skoro używają go na ozdoby architektoniczne.

-Sądź nie odgrywa on tu tej smutnej roli co na naszej planecie - zawyrokował margrabia.

Uszedłszy kilkanaście kroków ujrano jedną przewróconą kolumnę i przyjrano się uważnie jej głowicy.

-Szczere, masywne złoto - zawyrokował Johnson. - Bardzo artystyczna rzeźba, wyobrażająca jakies nieznane nam zwierzęta, podobne do słoni, a tam - dodał wskazując na sąsiednią kolumnę - piękny fryz, w którym wystylizowano trabe słoniowa.

Wszyscy przyglądali się z najwyższym zaciekawieniem obalonej widac skutkiem trzesienia ziemi kolumnie, Dick jakby nie wierząc Johnsonowi, dotykał złotej głowicy.

-Zdaje mi się, że istotnie to prawdziwe złoto, jest tego za dobre kilkanaście tysięcy dolarów, a tych kolumn widac tu bez liku. Jakby się ucieszył nasz, biedny Goldstone, gdyby się tu znalazł pospolu z nami; Biedak nie doczekał tej chwili, która by mu sprawiła, nieopisaną przyjemność. Wszak wziął udział w naszej wyprawie, żeby znaleźć nowe kopalnie złota.

-Ten kruszec musi tu się znajdować w wielkiej obfitości - rzekł Hobbs. - Gdybyśmy go mogli zabrać na Ziemię, to z łatwością pokrylibyśmy koszt mojego międzyplanetarnego statku; zdaje mi się jednak, że nic z tego nie będzie, to złoto jest przeklecie ciężkie. Sądząc po rozmiarach tego gmachu budowali go jacyś olbrzymi, kto wie, czy nie będziemy tu odgrywać roli Gulivena.

Inni podróżni jednak nie interesowali się szczerozłotymi głowicami licznych kolumn,

wykutych, jak się zdawało, z bardzo pięknego nefrytu, gdyż pilno im było znaleźć się we wnętrzu kolosalnej świątyni, do której prowadziła owa kolumnada.

Po paru minutach znaleziono się u wrot świątyni na roncisz otwartych. Przez chwilę nasłuchiowano, lecz nie było słychać najmniejszego odgłosu. Przerazająca pustka wionęła z wnętrza gigantycznej nawy, której sklepienie sięgało kilkudziesięciu metrów wysokości. Mogło się tu łatwo zmieścić kilkanaście tysięcy wiernych ściany były ozdobione przeslicznymi płaskorzeźbami, dla których stukano motywów w świecie roślinnym lub zwierzęcym, nigdzie nie dostrzeżono postaci ludzkich, co by mogło dać pojęcie przybyszom o tym, jak wyglądali mieszkańcy dalekiego świata.

Świątynia była widocznie od bardzo dawna nieuczeszczana. Sklepienie było w kilku miejscach mocno porysowane, podobnie jak grube mury. Naprzeciw wejścia stało coś podobnego do ołtarza, na którym dostrzeżono szczerozłoty obraz promiennego słońca, poza tym nic więcej.

-Zdaje mi się, że tutejsi mieszkano ubostwiają gwiazde dzienna, tak jak dawniej Peruwianie, - rzekł Gwidon. - Dziwi mnie tylko, dlaczego ta olbrzymia świątynia jest tak zaniedbana i opuszczona, czyżby wierni wymarli.

-A może zmienili swój kult - zauważył Johnson - Gmach ten musiał być kiedyś nawiedzony silnym trzęsieniem ziemi, ale te potężne mury oparły się niszczącym siłom.

Z tymi słowy przyrodnik wydobyl aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia płaskorzeźb ołtarza, kolumnady i innych interesujących szczegółów architektonicznych. Zajęło to sporo czasu i naraziło na ciężką próbę cierpliwości jego towarzyszy, którym pilno było dotrzeć do miasta, które, jak się zdawało, musiało znajdować się w pobliżu świątyni.

## Rozdział XXIII

### Siedziba polbogów

Kiedy nareszcie opuszczono starożytne mury, wzniesione przed tysiącami lat i widocznie zapomniane przez swych twórców, ujrano nową karawanę malpółudów, przemierzającą odległy plac i bez wahania ruszono za nią. Za przybytkiem czcicieli słońca leżały rozległe ruiny grodu, zniszczonego widocznie siłami podziemnymi. Gwidon chciał się tu dłużej zatrzymać, ażeby zbadać wewnątrz rozwalonych gmachów, i wyrobić sobie pewne pojęcie o ich mieszkańcach i ich trybie życia, lecz Johnson nie chciał utracić przygodnych przewodników, którzy jak się spodziewał, doprowadzą przybyszów do zamieszkałych okolic. Uszedłszy parę kilometrów, natrafiono na kolczasty żywopłot, za którym ujrano rozległy ogród, tak piękny, że przypominał legendarny Eden. Olbrzymie drzewa okryte oryginalnym kwieciem, piękniejszym aniżeli storczyki ziemskie, ciągnęły się w dal napelniając powietrze balsamicznymi woniami. Co kilkaset kroków natrafiano na grzedy jakichś oryginalnych roślin, tworzących pełną harmonii całość. Pośród nich spostrzegano tu i

owdziej niskie drewniane budyneczki pokryte wielkimi palmowymi liśćmi.

-Nareszcie - zawołał z ulgą Johnson, - jesteśmy w łące rajskim ogrodzie. Zdaje mi się, że te domki muszą być zamieszkałe, chociaż nie widzę żadnej żywej istoty.

-Dostrzegam jakąś postać - zawołał pułkownik. - Chodźmy!

Skreślił z drogi we dwóch, podczas gdy reszta alpinistów podążała za małpami, aby nie stracić ich z oczu.

W odległości kilkudziesięciu kroków, na macie splecionej misternie z włókien roślinnych siedział jakiś człowiek z podwiniętymi na sposób hinduski nogami. Jego ręce spoczywały swobodnie na kolanach, na twarzy o cerze ciemnopurpurowej, zastygłej w jakimś nieruchomym kurczku, malował się niebiański zachwyt. Oczy lekko zmrużone lśniły jakimś nieziemskim ogniem, lecz muskularne i harmonijnie zbudowane ciało zachowywało posagowy spokój.

-Ależ to czerwonoskóry - zawołał pułkownik zbliżając się do nieruchomej postaci. - Musimy go zapytać, gdzie się znajdujemy.

Z tymi słowami podszedł do żywego posagu i dotknął jego ramienia.

-Daj mu spokój pułkowniku, jest to widocznie jogi, pogrążony w pobożnych rozmyślaniach.

-Jogi - powtórzył pułkownik szyderczo. - Bawiac w Indiach miałem sposobność zetknąć się z tymi próżniakami, którzy tracą czas na rozmyślania, nikomu nie przynoszące najmniejszej korzyści. Nie myślę sobie robić ceremonii z tym czerwonoskórym.

Rzekłszy to potrząsnął silnie medytująca postać na jego twarzy zajaśniał przyjazny uśmiech.

-Obudź się człowieku - zawołał pułkownik. - Doprawdy można zwariować. Jakim cudem znaleźliście na tym dalekim świecie Indianie?

-Dlaczegoż to mają być Indianie, - zaprotestował Johnson.

-Przecież pan, widzi, że to kolorowa rasa.

-To niczego nie dowodzi - odparł przyrodnik - o ile sobie przypominam, istniała kiedyś na ziemi czerwona rasa, zamieszkująca legendarna Atlantyda. Doszła ona podobno do bardzo wysokiego rozwoju i stworzyła kulturę, z której starożytni obficie korzystali. Podobno Egipcjacy faraonów byli niegdyś kolonami Atlantydy.

-Coniebadź słyszałem, o tym, ale bardzo wątpię czy te legendy mają jakieś podstawy. Skądby się zresztą tu wzięli ludzie podobni do Atlantów, których istnienie nie jest naukowo

dowiedzione.

Pulkownik zaczął mówić do uśmiechającej się błogo postaci, której jak widać, bardzo było trudno wyrwać się ze stanu kontemplacji w jakiej się znajdowała Szeroko otwarte oczy były nadal utkwione gdzieś w przestrzeni, wargi tylko zaczęły się niedostrzegalnie poruszać i wtedy stała się rzecz dziwna, całkiem niepojęta dla pulkownika, jak i dla jego towarzysza; domniemany jog nie wydał żadnego dźwięku, a jednak w mózgach przybyszów zabrzmiało wyraźnie skierowane do nich pytanie, które zrozumieli doskonale, pomimo, że nie było ono ujęte w formie mowy wyrazowej

-Czego zadacie i kim jesteście?

Pulkownik spojrzał zdumiony na przyrodnika.

-Ależ on zrozumiał, co do niego mówilem - zawołał Croops - i my go rozumiemy także, chociaż nie mówi. To jakiś czarodziej. Musimy od niego dowiedzieć się czegoś więcej o mieszkańcach tego cudnego ogrodu.

-Przybывamy z kuli ziemskiej, z sąsiedniej planety - rzekł Johnson.

-Z "Czerwonego Globu" - odrzekł milczaco jog.

-Tak widocznie nazywają kulę ziemską, tutejsi mieszkańcy - rzekł przyrodnik.

Teraz dopiero przybysze zauwazyli jakiś niepokój na nieruchomej dotąd twarzy mieszkańca dalekiego świata.

-Może jesteście czarnymi magami, których przesładowania zmusiły nas do ucieczki na "Core Słońca"? - pytał jog w swym bezdzwiecznym języku.

-Co o mnie? - krzyknął pulkownik.

-Nie jesteśmy żadnymi magami, ani białymi, ani czarnymi - zapewniał Johnson, - lecz zwyczajnymi ludźmi, pierwszymi, których stopa dotknęła waszej planety. Pragniemy was poznać i nie mamy żadnych wrogich względem was zamiarów.

Jog kiwnął z zadowoleniem głową i z pewnym wysiłkiem stanął na nogi. Okazało się, że był on o głowę wyższy od obu przybyszów, jego ciało było nadzwyczaj harmonijnie zbudowane, tchnęło zdrowiem i siłą. Położył on przyjaźnie rękę na ramieniu Johnsona.

-Moja kobieta zaprowadzi was do naszego maga, - rzekł. - Oznajmijcie mu o waszym przybyciu na "Core Słońca".

W tej chwili na progu chatki ukazała się młoda kobieta. Mężczyzna porozumiał się z nią w swym niemym jakimś nieznanym języku.

-Pojdźcie za mną - rzekła kobieta.

Johnson nie mógł się oprzeć ciekawości, która mu kazała zajrzeć do wnętrza tej pustelni. Składało się ono z dwóch niewielkich izdebek. W pierwszej z nich, służącej widocznie za kuchnię, na prostej glinianej polepie stał na rozżarzonych węglach garnek gliniany. Kobieta wyjęła z niego dużą łyżką garść gotowanej kukurydzy, oblała ją roztopionym tłuszczem i zaniósła mężczyźnie, który znowu przybrał poprzednią postawę. Nie spojrzał on nawet na przyniesione pożywienie i znowu pograził się w medytacji, z której tak brutalnie wyrwał go pułkownik.

Młoda kobieta poszła szybkim krokiem naprzód i niebawem dogoniono towarzyszy, którzy oczekiwali na pułkownika i przyrodnika. Kobieta wskazała ręką na nieco większe domostwo, leżące w odległości kilkudziesięciu kroków od drogi i powróciła, złożwszy niski ukłon przybyszom, do swojej chatki.

-Malpoludy tutaj znoszą owoce - zawołał Dick. - Dotarliśmy zatem do jakiegoś rozdzielczego punktu, że się tak po naszymu wyrażę.

Zbliżono się do owego piękniejszego, dużego domostwa i ujrzano na progu parę wysokich postaci, odzianych w długie purpurowe szaty, utkane z jakiejś delikatnej materii, przypominającej jedwab. Najstarsza z nich o bardzo dystygowanym wyglądzie trzymała w ręku spory koszyk i rozdzielala pomiędzy malpoludy jakieś smakoliki, które widocznie stanowiły zapłatę za przyniesione owoce i kukurydże. Malpoludy chciwie chwytaly te zagadkowe dary i kładły je z widoczną rozkoszą do ust.

Dick zbliżył się i wyciągnął proszaco rękę.

Otrzymał jakąś kulke wielkości orzecha włoskiego i ciekawie jej skosztował. Miała wysmienity siwak jakiegoś nieznanego owocu i upajająca won. Niebawem Dick popadł w jakiś rozkoszny stan, przypominający skutki zazycia jakiegoś narkotyku w rodzaju opium. Jakas błogość rozlała się po całym jego ciele, w które wstąpiły świeże sily.

-To jest chyba coś w rodzaju naszej kokainy, ale tysiąc razy smaczniejsze - zawołał. - Teraz rozumiem, dlaczego te malpoludy znoszą tutaj owoce i kukurydże, przepadają snadź za tą nagrodą za swoje trudy.

-To widocznie lepsze niż nasze dolary - rzekł sarkastycznie Croops.

Przybysze czekali cierpliwie, aż wszystkie malpoludy otrzymały zapłatę za swoje usługi. Kiedy ostatni zniknął na drodze, Johnson zbliżył się i złożył niski ukłon przed trzema postaciami, które przyglądały mu się z nietajoną ciekawością.

-Przybywamy z sąsiedniej planety, która wyzwie się "Czerwonym Globem". Ten człowiek - dodał wskazując na Hobbsa - zbudował statek, który nas tu zaniósł, przez pustkę panującą we wszechświecie, na wasz świat, który wydaje się nam stokrotnie piękniejszy od naszego.



Nie jesteśmy czarnymi magami i nie przybyliśmy tutaj, ażeby was przesładować, nie lekajcie się nas, gdyż chcemy być waszymi przyjaciółmi.

-Kiedyscie tutaj przebyli? - zagadnęła postać w telepatycznym języku.

-Przed kilkunastu dniami załedwie - objaśniał Johnson. - Przedstawiam wam uczonego - dodał wskazując na doktora Norskiego, - którego odkrycie pozwoliło nam oderwać się od naszej ojczystej planety i przybyć aż tutaj.

Norski skłonił się z kolei przed magiem, (który objął go przyjaznym spojrzeniem).

Przyrodnik chciał z kolei przedstawić pułkownika Croopsa, lecz zauważył chmurę na czole maga, który widocznie przenikał jakimś niepojętym zmysłem aż do dna duszy przybyszów. To co się działo w umyśle pułkownika Croopsa nie budziło snadź przyjaznych uczuć w magu.

-Nie wszyscy żywcie względem nas przyjazne zamiary - zawyrokowała dostojna postać, - czy wszyscy przybyliście tutaj?

-Zostawiliśmy kilku towarzyszy przy naszym statku, który nas tutaj przyniósł przez otchłanie niebieskie.

-W jakim celu przybywacie na "Core Słońca"? - pytał dalej jog.

-Każdy z nas ma wytknięty cel podróży - odparł przyrodnik. - Ja pragnę zbadać przyrodę waszego świata, mój kolega Harting - dodał wskazując na astronoma - chce poznać jak szybko obraca się dookoła osi wasza planeta i porobić inne spostrzeżenia naukowe, pułkownik Croops...

Johnson chciał mówić dalej, lecz medrzec przerwał mu przeczącym ruchem ręki.

-Jego cele są nam znane - rzekł. - Ten człowiek pomimo waszych zapewnień jest właśnie przedstawicielem czarnych magów, którzy nas przesładowają od wielu dziesiątków lat. Kiedysmy opuścili naszą ojczyznę, poszli za nami aż do naszych kolonii, ażeby nas przesładować. Przeciwstawili oni egoizm naszej miłości dla ludzkości i nie mogli znieść naszego umiłowania wyższych ideałów. Czyż jesteście ich następcami?

Johnson, Harting i Hobbs żywo zaprzeczyli temu posadzeniu, lecz widocznie nie zdołało to uspokoić maga.

-Pragniemy was bliżej poznać, - rzekł. - Oczekujcie naszych odwiedzin w najbliższych dniach, pokażecie nam wasz statek, na którym tu przybyliście i opowiecie co się dzieje na "Czerwonym Globie". Musiała się tam łac krew obficie, gdyż od pewnego czasu stał się on znacznie bardziej czerwony niż był dawniej. Wprawdzie posiadamy dar jasnowidzenia, lecz zbyt wielka odległość od naszej ojczyzny, przeszkadza nam widzieć dokładnie co się tam

dzieje. Musicie dac nam szczegolowe informacje; przybedziemy do was w najblizszych dniach.

-Czy mamy was tam zaprowadzic? - zapytal Hobbs.

Mag usmiechnal sie poblazliwie.

-Trafimy bez waszej pomocy, - odparl. - A teraz odejdziecie i nie zaczepiajcie po drodze zadnego z naszych medrcow pograzonych w pobożnych rozmyslaniach.

Po tych slowach zlozil przybyszom lekki pozegnalny uklon i zniknal we drzwiach swej siedziby wraz z dwoma towarzyszacymi mu mlodziencami.

## Rozdzial XXIV

### Odwiedziny Synow Slonca

W drodze powrotnej wstepowano do kilku pustelni, w ktorych znajdowano szczuple rodziny synow slonca, tak bowiem nazywali oni samych siebie. Wszedzie panowala ta sama skromnosc urzadzenia, co w pierwszej napotkanej chatce. Rajski ogrod ciagnal sie daleko na zboczach kolosalnej gory, slonce swiecilo tutaj niemal bez przerwy, gdyz gesta warstwa oblokow, lezala o pare kilometrow ponizej. Panowalo tu umiarkowane cieplo, pomimo iz tarcza sloneczna wydawala sie przybyszom znacznie wieksza, anizeli na Ziemi. Panowal na tych wyzynach lagodny klimat, przypominajacy wyspy azorskie, a gestosc atmosfery wynosila cokolwiek wiecej anizeli osiemset milimetrow cisnienia barometrycznego. W tych warunkach, w dostatku ciepla i wilgoci, roslinnosc rozwijac sie mogla rownie bujnie, jak pod zwrotnikami na kuli ziemskiej. Istniala tutaj zdumiewajaca roznmaitosc gatunkow, ktore tylko z dala przypominaly flore ziemska. Mieszkancy tutejsi musieli od wielu wiekow zajmowac sie hodowla drzew owocowych, ktorych plody byly duze, smaczne i bardzo pozywne. Mogly one zatem wystarczyc w zupelnosci dla odzywiania, zwlaszcza, ze istniala tutaj i kukurydza.-Ci emigranci z Atlantydy zyja sobie tutaj jak w raj - mowil Johnson. - Nie potrzebuja ani siac, ani orac, wiec maja dosc czasu, azeby oddawac sie swoim kontemplacjom.

-Rad bym wiedziec - zawolal pulkownik, - jak liczna jest tutejsza ludnosc. Jest to zaiste doskonaly teren, kolonizacyjny, jak sadzie pomiescilby z latwoscia polowe mieszkancow kuli ziemskiej.

-Planeta Wenus jest wedlug mnie o kilkadziesiat milionow lat mlodsza od kuli ziemskiej. Pelno tu potworow, ktore zyly u nas w epoce trzeciorzednej. Nie uczynilyby one przyjemnym pobyt tutaj naszym emigrantom.

Pulkownik machnal lekcewazaco reka.

-W ciagu paru lat wytepilibysmy te bestie doszczetnie, o ile nie dalyby sie oswoic. A z tymi

czerwonoskorymi dalibysmy sobie latwo rade. Przeciez zyja oni na bardzo niskim poziomie kulturalnym, tak jak Indianie brazylijscy. Nie zauwazylem, zeby mieli jakakolwiek bron. Snadz zyja w spokoju, bo nawet nie poluja na te zwierzeta, ktoreśmy tutaj widzieli. W ich chatkach nie widzialem ani lukow, ani oszczepow, ani nawet nozy myśliwskich. Dziwi mnie tylko, ze nie lekaja sie napasci tych potworow.

-Ich ogrod jest otoczony szerokim kolczastym zywoplotem, stanowiacy jak sadze dostateczna wobec tego niebezpieczenstwa ochrone - zauwazyl przy rodnik.

Naszym alpinistom pilno bylo wrocic do wiszacego palacu i zaniec towarzyszom wiesc o dokonanych sensacyjnych odkryciach.

Zasypano ich tam gradem pytan, na ktore z trudnoscia znajdowali odpowiedz.

-Synowie slonca odwiedza nas niebawem, - rzekl Hobbs, zdawszy krotka relacje o tym co widziano. - Musimy ich godnie przyjac i przyjaznie do siebie usposobic. Sa to moim zdaniem nadzwyczajni ludzie. Obywaja sie bez jezyka takiego jak nasz i komunikuja sie miedzy soba w jakis tajemniczy sposob. Niech sobie pani wyobrazi - dodal zwracajac sie do Arabelli - ze z najwieksza latwoscia odgaduja nasze mysli, zanim jeszcze zdolalismy je wypowiedziec.

Piekna margrabina zarumienila sie.

-Jak to, wiec wnetrze naszej duszy jest dla nich otwarte jak ksiega, z ktorej moga czytac bez przeszkody? To okropne; - nasze "ja" przestalo byc niedostepna swiatynia i jestesmy jakby szklanymi palacami.

-Ma to i swoja dobra strone - zauwazyl Johnson. - Ani klamstwo ani obluda nie sa tu znane, a przyzna pani, ze nasz swiat jest do gruntu zaklamany. Sprzyja temu nasza propaganda, rozporzadzajaca takimi srodkami jak gazety, ksiazki, radio, kino, telewizja i tym podobne wynalazki. Nigdy tak skutecznie nie mozna bylo nas oklamywac jak teraz.

-Jednakze nie moge pogodzic sie z tym faktem, ze ci ludzie wiedza co sie dzieje na dnie mojej duszy.

-Dowie sie pani jeszcze o dziwniejszych sprawach. - rzekl Johnson. - Zastanawia mnie fakt, ze nie dostrzegam tutaj zadnych srodkow lokomocji uzywanych u nas, ani koni ani wozow, nie mowiac juz o samochodach, czy kolejach. Na oceanie nie widac nigdzie zadnego statku, w powietrzu procz ptakow nie dostrzeglem samolotow. Jakze przeto czerwoni ludzie przenosza sie z miejsca na miejsce, czyzby przypinali sobie skrzydla?

-To sie niebawem wyjasni - wtracil Hobbs.

-Przyznaje - odezwal sie milczacy zwykle Doods, - ze poczulem jakas (sympatie do tutejszych, mieszkancow. Nie uzywaja broni, a za tym nie przelewaja krwi; musza miec charakter lagodny, nie toczą wojen i miluja pokoj, pod tymi wzgledami zgadzamy sie ze

soba doskonale. Znienawidzilem nasz świat, gdyż panuje na nim nie tylko egoizm, ale i okrucieństwo, którego nie znoszę. Kocham, wszystko co żyje i nigdy żadnemu stworzeniu nie uczyniłem krzywdy.

-I nie odganiaś pan nawet moskitów, które chcą się napić twojej krwi? - zagadnął ironicznie pułkownik.

-Zabijam wyłącznie w obronie własnej - odparł Doods - i to tylko w ostateczności.

-Obawiam się, że nieza długo jakas bestia tutejsza pozre pana - szydził dalej pułkownik. - Dobrze uczyniliśmy nie zabierając pana ze sobą, gdyż mieliśmy w drodze kilka nieprzyjemnych spotkań z tutejszymi potworami.

Jednakże Doods, zamiast się obrazić, uśmiechał się pobłażliwie. Margrabina Arabella przy pomocy swej pokojówki Fanny, zajęła się urządzeniem przyjęcia dla spodziewanych gości. Prosiła Dicka, żeby dostarczył zwierzyny na stół, umieszczony pod galeziami rozłożystego drzewa. Ułożyła menu z najsmaczniejszych zapasów, które wynalazła w szpizarni. Były tam majonezy z homara, konserwy z najdelikatniejszych gatunków ryb i zwierzyny, kompoty, słodczyce i inne przysmaki, zdolne zadowolić podniebienie najwytrawniejszych znawców. Pomiedzy aluminiowymi talerzami i polmiskami zjawiała się istna bateria najroznorodniejszych butelek z wyszukаныmi trunkami, z których Gwido obiecywał sporządzić cocktaile, na czym znalazł się doskonale. Wszystkie te przygotowania były nazajutrz ukończone i z najwyższą ciekawością oczekiwano pojawienia się gości.

Nie dali oni na siebie zbyt długo czekać. W południowych godzinach, kiedy upał stał się znośniejszy, ukazały się trzy dobrze znane już przybyszom postaci. Był to ów mag, który rozmawiał z naszymi alpinistami, towarzyszyli mu dwaj piękni młodzieńcy, jak się zdaje jego synowie.

Zjawili się oni całkiem niespodzianie pod wiszącym palacem, jak gdyby doskonale znali jego położenie. Nie przybyli jednak żadnym środkiem lokomocji, bo w pobliżu nie dostrzeżono ani wierzchowców, ani wehikulu, ani samolotu. Pomimo to przybysze z dość odległego Edenu nie wydawali się znużeni. Hobbs obiecywał sobie zapytać gości w jaki sposób przybyli przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów; na razie jednak nie mógł tego uczynić, gdyż goście stali się przedmiotem żywego zaciekawienia ze strony jego kolegów. Margrabina we wspaniałej swej toalecie, skrojonej według ostatniej mody nowojorskiej, obok swego pięknego meza, wyszła na spotkanie czerwonych ludzi, obdarzając ich czarującym uśmiechem. Ta powabna para zrobiła ślad przyjemnego wrażenia, nie tylko na poważnym jogu, ale i na obu młodzieńcach. Margrabia biorąc na siebie rolę gospodarza zaprowadził przybyłych do suto zastawionego stołu i wskazał im wygodne fotele, przyniesione tutaj z rakiety.

Dick, który podjął się obowiązków stewarda, zaczął roznosić zakąski będąc pewny, że zasmakują mieszkańcom dalekiego świata. Nieborak jednak zawiodł się srodze. Medrzec i

jego synowie na widok mięsa i mięsnych konserw odwrócili się od nich z najwyższym wstremem. Nie pomogły zachęcające uśmiechy margrabiny i uprzejme zaproszenia jej meza; przybysze skosztowali zaledwie trochę słodczy i kompotów owocowych, zjedli po kawalku keksa oświadczając, że są już dostatecznie nasyćeni i pilno im dowiedzieć się czegoś o opuszczonej przed tysiącami lat ojczyźnie.

-Wasze pożywienie, którym nas czestujecie - rzekł mag, - dowodzi nam niestety, że życie na swojej planecie tak, jak żyją rozpleniłone w niższych sferach tutejsze zwierzęta. Gasicie życie niewinnych stworzeń i spożywacie ich mięso. Polujecie nawet i to wam sprawia przyjemność niegodną człowieka. Rozbudzacie w waszych duszach egoizm i okrucieństwo i wyrzadzacie sobie tym wielką krzywdę. My od dawna odrzuciliśmy tego rodzaju pokarmy i zadawałamy się smacznymi i pożywnymi owocami, kukurydzą i korzeniami niektórych roślin. Jest ich tutaj wielka obfitość, wystarcza to w zupełności dla podtrzymania naszych sił fizycznych i to, jak sadzę, złagodziło nasze charaktery. Zabić istotę obdarzoną przez Wielkiego Ducha Wszechświata życiem, jest według nas taka sama zbrodnia, jak zabójstwo bliźniego. Od niepamiętnych czasów nie popełniamy takich szpetnych uczynków.

Uczta zatem nie odbyła się tak, jak się spodziewano, zwarzyło to nieco dobre humory. Chciano je naprawiać szampanem i koktajlami, lecz daremnie. Synowie słońca ponad stare doborowe wina przekładali sok z pomarańczy i grapefruitów.

Toteż po niecałej godzinie wstano od stołu. Przybysze wyrazili chęć obejrzenia maszyny, która przyniosła gości z ich dawnej ojczyzny. Hobbs triumfalnie zaprowadził wszystkich do opuszczonej od kilku dni rakiety i zaczął objaśniać szczegóły jej konstrukcji. Podnosił pod niebiosa zdumiewające zdobycze nauki i techniki, osiągnięte w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat a głównie odkrycie energii atomowej która pozwoliła jego statkowi oderwać się od macierzystej planety, przebiec olbrzymią przestrzenią dzielącą glob ziemski od jej sąsiadki i otworzyć przed ludzkością nową, błogosławioną epokę.

Synowie słońca wysłuchali inżyniera z uwagą, lecz nie okazali zbyt wielkiego zachwytu poznawszy urządzenia rakiety i przeznaczenie licznych instrumentów pomocniczych i naukowych. Nawet radar, to cudowne narzędzie pozwalające widzieć w ciemności i poprzez chmury nie zaimponowało im ani trochę.

-Jak przybyliście z waszej ziemskiej ojczyzny na Core Słońca? - zagadnął urażony nieco w swej dumie inżynier. - Nie posiadacie, o ile mi wiadomo żadnych fabryk, gdzieby można wyprodukować statek do podróży międzyplanetarnej.

-Przybyliśmy tutaj przed kilkuset tysiącami lat ziemskich, - odrzekł mag. - Wówczas i nasza rasa holdowała w znacznej swej większości materialnym zdobyczą, stworzyła cywilizację, może równą waszej dzisiejszej, skoro mogliśmy poprzez pustynię dzielącą nasze dwa światy dotrzeć na Core Słońca. Lecz nasi przodkowie i my za nimi od dawna odrzuciliśmy materialną kulturę. Przekonałiśmy się bowiem, że stwarza ona urojone potrzeby, dla zaspokojenia których traci się drogocenny czas i zaniedbuje rozwój duchowy.

Wasza materialistyczna cywilizacja nie da wam szczescia, ktore tutaj stalo sie naszym udzialem.

-Jak to, czujecie sie szczeniwi wegetujac w tak pierwotnych warunkach, obywajac sie bez tego, co nam tak umila zycie tam, na naszej poczciwej Ziemi? - zawolala z niedowierzaniem Arabella.

-Przebywamy w swiecie nadzmyslowym, stokroc piekniejszym od tego, jaki nam pokazuja nasze grube, zwierzece zmysly - odparl mag. - Udoskonalajac dane przez Tworce Wszechswiata dary przyrodzone, wyprzedzilismy daleko wasza wiedze i technike. Poznalismy dokladnie wlasnosc i budowe materii, mozemy ja ksztaltowac wedlug naszej woli. Odkrylismy sily natury, ktorych istnienia wy jeszcze nie przeczuwacie.

-Jakiez to sa sily? - zagadnal ciekawie Hobbs.

-Nie pojelibyscie mnie, gdybym staral sie je okreslic, nie dorosliscie do tego poziomu, ale tymczasem...

-No to powiedzcie nam przynajmniej, czym gorujecie nad nami, jezeli lekcewazycie nasze zdobycze naukowe i techniczne, - rzekl Hobbs.

-Nie lekcewazymy waszych wysilkow, zalujemy tylko, ze zaufaliscie zbyt wazszemu niedoskonalemu rozumowi i waszym zwodnym zmyslom dla poznania sil przyrody i ustroju materialnego swiata. Nie spostrzegliście niestety, ze Najwyzszy Duch zlozil w was zarodki uzdolnien, ktore powinniscie byli usilnie rozwijac. Nawet zwierzeta posiadaja zadatki podobne.

-O czym mowisz, potezny magu? - zagadnal nieco ironicznie Croops.

Syn slonca wahal sie przez chwile, czy odslonic posiadane tajemnice tym istotom niedoskonalam, ktore musial traktowac jak male dzieci, lecz niebawem zdecydowal sie.

-Nasi dalecy przodkowie tam na Ziemi, skad pochodzili, od dawna znali pewne zjawiska, ktore wam, jak sadze, nie sa obce. Mielismy posrod siebie wyjatkowe osoby, obdarzone zdolnoscia widzenia tego, co jest zakryte przed fizycznym wzrokiem, - odgadywania przyszlosci.

-Tak, mamy i teraz jasnowidzow, czytajacych zamkniete listy, widzacych to, co sie dzieje gdzies o tysiace mil od nich, przepowiadajacych przyszlosc, poruszajacych przedmioty nie dotykajac ich i inne zjawiska, w ktore jak sadze, wierzyc moga tylko bardzo naiwni - wtracil Croops.

-Tak, znacie te uzdolnienia, ale sa one przywilejem nielicznych jednostek sposrod was - odparl niezmiyszany tymi slowami mag. - Nie potraficie ich przy niskim stanie waszej dzisiejszej wiedzy wyjasnic, dlatego je odrzucacie, jako produkt chorego mozgu. Ale

zapewniam was, ze bladzicie. Nasi przodkowie na Atlantydzie, juz przed milionem lat badali je i doszli do przekonania, ze mozna we wszystkich ludziach powoli rozwijac te uzdolnienia. Mysmy szli ich sladami i po wielu tysiacach lat usilnej pnacy stalismy sie niezalezni od materii, zdobyliśmy piekniejszy swiat nadzmyslowy i w nim zyjemy szczesliwi i wolni.

-Jestescie chyba czarodziejami - wtracil Hipping.

-Bynajmniej, nasze zdolnosc nie sa czymś nadprzyrodzonym, tak, jak waszych jasnowidzow, jeszcze znajdujace sie w stanie embrionalnym. Skoro zaczniecie pracowac nad ich rozwojem, staniecie sie nam rowni.

-Ale powiedz nam, wielki magu, co wam dal rozwoj tych utajonych w czlowieku zdolnosc, czy mozecie sie przenosic z miejsca na miejsce bez zadnych srodkow lokomocji mechanicznej? - pytal Hobbs.

-Przenosi nas w przestrzeni nasza sila psychiczna, ktora od dawna zwiemy "vril". Mozemy nia poruszac takie statki miedzyplanetarne, jak ten, ktory zbudowaliscie. Potrafimy poruszac ciezkie przedmioty wysilkiem, naszej woli, nie dotykajac ich. Odgadujemy mysli i zamiary ludzkie - dodal spogladajac znaczo na zmieszanego nieco pulkownika. - Widzimy naszym nadzmyslowym wzrokiem, co sie dzieje na naszej planecie.

-Czy siega wasz wzrok nawet na sasiednie swiaty? - zagadnal Harting.

-Tak daleko nie. Lecz zdolalismy dociec, ze kazde niemal slonce, a jest ich miliardy, posiadla swoj korowod planet, na ktorych kwitnie bujne zycie. Napelnia ono caly wszechswiat i jest jak on wieczne. Zmienia tylko ustawicznie formy, ktorych jest nieskonczona mnogosc. "Ja" jest jedno i nie gasnie nigdy. Nie znamy kresu, do jakiego wola Wielkiego Ducha Wszechswiata doprowadzi rozwoj istot zywych, wierzymy, ze z rak jego wyjda twory stokroc doskonalsze od nas. Przedluzylismy nasze zycie do kilkuset lat, lecz pomimo, ze poznalismy do gruntu nasze cialo i pozbylismy sie chorob, ktore was trapia, to nie zdolalismy zwalczyc starosci i smierci; nie przeraza nas ona. Oczekujemy jej z radoscia, bo po niej laczymy nasze dusze z Istota Najwyzsza.

-Nirwana indyjska - szepnal Johnson.

-Ale macie i inne dziwne uzdolnienia? - pytal dalej Hobbs.

-Widzimy dosc wyraznie przeszlosc i odgadujemy przyszlosc - mowil dalej mag. - Musze was ostrzec, ze wasza materialistyczna cywilizacja kryje wielkie niebezpieczenstwo dla ludzkosci. Wszak myslicie tylko o rozwoju waszego ciala, oddajecie sie namietnie wszelkiego rodzaju sportom i walkom, ktore ucza was cenic wyzej sile fizyczna anizeli duchowa. Nie dbacie o wasz rozwoj moralny, upadliscie w ciagu ostatnich wiekow znacznie nizej pod tym wzgledem, anizeli staliscie. Prowadzicie obecnie krwawe wojny dla niskich, przyziemnych celow, dla zaspokojenia potrzeb waszego ciala, dawniej zas wiedziliscie wojny religijne, mysleliscie o Bogu, dazylicie do zbawienia, do nagrody w niebie za cnotliwe

zycie. A dzis? Wracacie do poganских wierzen, a nawet gorzej, zaprzeczacie istnieniu Wielkiego Ducha. Wasza wiedza i technika wyprzedzila kolosalnie wasz rozwoj moralny i duchowy. Wynalezliscie straszliwe srodki zniszczenia, ktorzych uzywacie w walkach z innymi narodami, lecz nie zastanawiacie sie nad tym, ze igracie jak male dzieci z ogniem, ktory moze rozniecic pozar nie dajacy sie ugasic. Juz byly chwile, kiedy niewiele brakowalo, zeby owe okropne srodki zniszczenia znalazly sie w reku zlego, na wpol oblakanego czlowieka. Wtedy wyginelyby dziesiatki milionow ludzi. Niebezpieczenstwo to jednak nie minelo. W przyszosci moze sie zdarzyc, ze czarni magowie osiagna przewage nad bialymi, tak jak to bylo w naszej ojczyźnie, przed tysiacami lat. Kiedy ta chwila nadejdzie, nastapi straszliwa katastrofa, ktora mysmy w miedzyczasie sami przezywali. Egoizm, pycha, chciwosc i okrucienstwo zapanuje nad waszym swiatem. Sily duchowe nie beda juz zdolne przewazyć szali na korzysc wznioslych, altruistycznych pojec. Garstce naszych bialych magow, ktora czarni przesladowali nawet w dalekich ziemiach, dokad sie ukryli, udalo sie uciec az tutaj na te piekna "Core Slonca", gdzie zdolalismy osiagnac szczesliwy byt i wysoki rozwoj duchowy, lecz widze z bolescia, ze to przesladowanie jeszcze sie nie skonczylo. Utrzymujecie, ze nie jesteście czarnymi magami i nie zywiecie zadnych wrogich wzgledem nas zamiarow. Byc moze, ze wiekszosc was, ktorzy tu zdolaliscie sie dostac, ma jedynie naukowe cele, ze pragniecie tylko poznac ten daleki swiat, lecz kilku spomiedzy was ma niebezpieczne wzgledem nas zamierzenia. Rozpleniliscie lekkomyslne wasz rod na "Czerwonym Globie". My postepujemy rozumnie, dajemy zycie tylko istotom zdolnym do rozwoju duchowego, nie noszacy w zarodku ani chorob, ktore was trapia, ani zlych, wstecznych instynktow zwierzeczych. Jesteśmy piekni nie tylko fizycznie, ale i moralnie. Stosujemy przy sprawach rozmnazania sie nasze zdobycze wiedzy nadzmyslowej, wy zas rozradzacie sie jak zwierzeta. Jest wam juz dzis za ciasno na waszym globie, cierpicie nie tylko od zimna, ale trapi was glod, wynalezliscie srodki zniszczenia a nie potraficie wytwarzac sztucznie najpospolitszego pozywienia, np. cukru, maki, tluszczow roslinnych. Mysmy zas od dawna poznali te sekrety natury, lecz bogata tutejsza roslinnosc dostarcza nam w obfitosci srodkow do utrzymania naszego ciala, ktorego potrzeby sa bardzo male. Wy zas kochacie zbytek wszelkiego rodzaju, uganiacie sie za -wyszukanym jadlem i napojami, lekcewazycie zas skarby duchowe.

I oto nadeszla chwila, ze dzieki waszej technice i nauce dostaliscie sie na nasza planete i zaczynacie marzyc o tym, azeby sie tutaj przesiedlic. Skoro wrocicie na Ziemie i zdacie sobie sprawe z bogactw naturalnych jakie tu znalezliscie, bedziecie usilowali zalozyc tutaj kolonie, tak jak mysmy zakladali swoje kolonie w Peru i Egipcie. Jesteście dla nas niebezpieczni. Chociaz nie zdajecie sobie jeszcze z tego sprawy, pomimo, ze nie jesteście tak jak my magami. Zloto ma w oczach waszych wielka wartosc. Dla zdobycia tego mizernego kruszcu, ktorego my uzywalismy dawniej dla ozdob architektonicznych, a nawet na dachy swiatyn, kiedy czcilismy slonce, gotowiscie popelnic najwieksze okrucienstwa i zniszczyc cywilizacje nieskonczenie wyzsza, anizeli wasza. O ile sie nie myle - dodal zwracajac sie w strone Arabelli i jej meza - sa miedzy wami posiadacze wielkiej ilosci tego metalu, ktorego uzywacie na bicie monet, bedacych u was srodkami wymiany i skryzalizowania bogactw. My jednak od dawna obywamy sie bez wszelkich monet, nie ma



miedzy nami ani biedakow, ani bogaczy. Wystarczaja nam owoce rosnace obficie w tutejszych lasach i ogrodach, w ktorych przebywamy. Nie wiemy co to glod, albo niedostatek, dzielimy pomiedzy soba sprawiedliwie wszystko co jest nam potrzebne do naszego skromnego utrzymania.

Wlasnosc prywatna, jaka sluzycie wam za podstawe waszych ustrojow spolecznych, nie istnieje u nas, gdyz jest nam niepotrzebna. Jesteśmy wszyscy rowni, a przynajmniej staramy sie byc rownymi w naszej doskonalosci duchowej, nie wszyscy bowiem mieszkancy "cory Slonca" osiagneli jednaki poziom duchowy i moralny. Ci, ktorzy wspieli sie najwyzej sa naszymi przewodnikami a nad wszystkimi nimi goruje Wielki Mag, przed ktorego oblicze musicie sie stawic. Wasza inwazja jest zbyt waznym faktem dla mieszkancow "cory Slonca", azebysmy sami mogli rozstrzygnac o waszym losie. Nie lekajcie sie jednak, nie zniszczymy was, gdyz brzydzimy sie gaszeniem zycia nawet najnizszych tworow. Wielki Mag musi jednak poznac was i orzec czy mozece pozostac na naszej pieknej planecie, czy tez powrocic na Czerwony Glob, skad przybyliscie niespodziewanie. Moglismy temu zapobiec, gdyz posiadamy dostateczne srodki, azeby nie dopuscic do waszego ladowania na tej wyspie, pragnelismy jednak poznac was blizej i dowiedziec sie, jak wyglada obecnie wasza kultura. Niestety nie posuneliscie sie ani na krok dalej od nas, jezeli idzie o rozwoj duchowy i moralny. Przebywacie w swiecie materialnym nie tylko fizycznie ale i duchowo. Nie istnieja tutaj zadne istoty, do ktorych moglibysmy was porownac, te stworzenia znoszace nam owoce i plody rolne, w zamian za przysmaki, ktore lubia namietnie, nie sa juz malpami, tak jak wasze, lecz nie sa tez jeszcze ludzmi. Moze stana sie nimi za kilka milionow lat, kiedy my bedziemy polbogami, za jakich nas dzis slusnie macie.

Oczekujcie wiec postanowien Wielkiego Maga. Byc moze, ze kaze on wam stanac przed swoim majestatem, lecz moze zadowoli sie nasza relacja, dotyczaca waszej strony fizycznej i duchowej. A teraz nie miejcie nam za zle, ze osadzilismy was jak na to Niestety zaslugujecie i zegnajcie.

Ta wymiana mysli obywatelowej sie bez mowy ludzkiej trwala az do zmierzchu. Z sasiedniej puszczy zaczely juz dochodzic ryki nocnych drapieznikow wychodzacych na lowy. Przybyszom pilno bylo wrocic do swego wieszacego palacu, w ktorym czuli sie bezpiecznie, nie zatrzymywali przeto dluziej swoich gosci, ktorzy wnet znikneli jak duchy w pomroce okrywajacej ziemie.

## Rozdzial XXV

### Niebezpieczny spisek

Odwiedziny Synow Slonca zrobily kolosalne wrazenie na mieszkancach wieszacego palacu. Podczas gdy jedni czlonkowie wyprawy wyrazali sie o gosciach z wielkim entuzjazmem, jak np. przyrodnik, Harting i Hobbs, to inni, do ktorych nalezal pulkownik Croops, jego kolega Hipping, a nawet po czesci i margrabia, patrzyli sceptycznie na ich zdolnosci, ktore

pozwala im stac sie niejako polbogami w stosunku do zwyklych ludzi. Mister Doods, jak i Arabella zachowywali sie mniej wiecej neutralnie, okazujac co najwyzej sceptycyzm w przeciwnienstwie do czysto negatywnej pozycji pulkownika i Hippinga. Wywiazala sie pomiedzy czlonkami wyprawy namietna dyskusja, w ktorej glowna role odegral pulkownik Croops i jego kolega z Ministerstwa Kolonii.-Sa to wedlug mnie nadzwyczajni ludzie - twierdzil Hobbs.

-Coz pan widzi tak dalece nadzwyczajnego w tych jogach - pytal sarkastycznie pulkownik. - Jezeli mam prawde powiedziec, to uwazam tego maga za zrecznego kuglarza, ktory pragnal nam zaimponowac swoim przemowieniem. Traktuje on nas jak niedojrzale dzieci, ale zapomina, ze nie jestesmy znowu tacy latwowierni. Czyz mozna, bowiem wziac za dobra monete jego przechwalki, ze mieszkancy Wenery nie znaja chorob, ktore nas trapia, ze moga zyc po trzysta lat i wiecej. A juz to, ze potrafia przenosic sie sila psychiczna z miejsca na miejsce bez zadnych srodkow lokomocji, wedlug mnie zakrawa na wielka blage.

-Jednakze - odezwal sie Doods, - nie mozna zaprzeczyc, ze i miedzy nami, na naszej starej planecie spotyka sie ludzi, obdarzonych podobnymi zdolnosciami. Przypominam sobie na przyklad, ze pewne medium, nazwiskiem Moses potrafilo unosic sie w powietrze, a nawet wyplywalo z jednego okna wysokiego domu i wplywalo przez drugie do tego samego mieszkania; nazywa sie to autolewitacja. Na seansach spirytystycznych widzialem nieraz jak ciezkie stoliki podnosily sie w gore, bez zadnej pomocy ze strony obecnych.

-Ja o niczym podobnym nie slyszalem - upieral sie Croops.

-Ja jednak znam mnostwo podobnych faktow i stokroc jeszcze dziwniejszych, nalezalem bowiem do towarzystwa badan zjawisk metapsychicznych, sa one zaiste zdumiewajace i wszystkie proby wytлумaczenia ich wydaly sie nam dziecinnie naiwne. Slusnie powiedzial mag, ze nasza dzisiejsza wiedza jest wobec nich bezsilna, lecz dowodzi to tylko, ze znajduje sie ona jeszcze w pieluchach. Nasi pozytywisci zaprzeczaja tym faktom, a nie mniej one zdarzaja sie u nas. Nie mozna zatem ich negowac w zupelnosci. Czyz nawet ptaki nie posiadaja cudownego instynktu orientacyjnego, ktory pozwala bocianowi z Indii wrocic do swojego gniazda w Europie, a wywiezionemu w koszyku golebiowi pocztowemu na odleglosc kilkuset kilometrow od rodzinnego golebnika, odnalezc don droge przez nieznanne sobie okolice. Dziki, brazylijski Indianin, oddalwszy sie od swojego obozowiska w celach myśliwskich nie zabladzi w puszczy tak, jak my Europejczycy, ktorzysmy juz ten instynkt zatracili. Tutejsi mieszkancy przeciwnie, rozwijali w sobie te wszystkie uzdolnienia dane im przez Stworce i w ciagu wielu tysiecy lat osiagneli wyniki, ktore nas wprawiaja w zdumienie. Nie wszyscy sa, jak powiedzial mag, jednakowo uzdolnieni, lecz wiekszosc slusnie budzi w nas szacunek; albo ten ich jezyk telepatyczny, dzieki ktoremu moga sie tak latwo z nami porozumiewac, nie znajac naszego jezyka. A czy i pan, pulkowniku nie dziwi sie, ze twoj mozg jest zdolny przyjmowac te tajemnicze mysli obywatelne bez mowy ludzkiej. Pulkownik potrzasnal glowa.

-Przyznaje, ze nie wszystko dobrze rozumialem, w kazdym razie ten ich sposob

rozmawiania bardzo mnie dziwi.

-Kiedy poznamy ich bliżej - odezwał się Hobbs, - może dowiemy się jeszcze o innych dziwach. Musi pan przyznać pułkownikowi, że skoro od wielu tysięcy lat wyemigrowali z kuli ziemskiej na Wenerę, to musieli już znać sekret energii atomowej, który myśmy dopiero w ostatnich czasach zdołali wydrzeć naturze. Myślałem, że mój statek niebieski wprawi ich w zachwyt, ale skoro tak nie jest, muszą znać jakieś tajemnicze siły przyrody, które są jeszcze przed nami zakryte i używają ich między innymi do przenoszenia się z miejsca na miejsce bez samolotów i samochodów. To jest kraina kryjąca w sobie mnóstwo niespodzianek i tajemnic. Co do mnie, przestałem się już czemukolwiek dziwić. Wenerianie, jak utrzymują, odrzucili swoją materialistyczną cywilizację, która im widocznie nie dała szczęścia. Niezmiernie żałuje, że tak mało pozostało z niej śladów,

-A ta niebotyczna świątynia, którą oglądaliśmy na gorze? - zagadnął Harting. - Jest to dzieło olbrzymów, wobec którego nasze nowojorskie drapacze chmur wydają się mizernym naśladownictwem. O ile mogłem na oko ocenić, główna nawa w tej starożytnej świątyni ma wysokość przynajmniej dwustu jardów, a leżące w gruzach wieże były może kilkakrotnie wyższe. Musieli więc posiadać inżynierów i budowniczych lepszych niż nasi.

-Ale to wszystko, jak sami mówią, należy do dawnych zamierzchłych czasów, kiedy czcili słońce jak starożytni Peruwianie - wtrącił Hipping.

-Teraz żyją oni sobie tak, jak nasi przodkowie w raju, albo jak mieszkańcy wysp Tahiti przed Cookiem. Nie mają żadnych pragnień, żywią się owocami, kukurydzą i jak słusznie mówi mój kolega Croops, oddają się proźniactwu i rozmyśleniom, nikomu nie przynoszącym korzyści. A na naszej Ziemi niemal dwa miliardy ludzi żyje przeważnie w niedostatku, ba, cierpi nawet głód, który zabiera nieraz miliony ofiar. Dokucza nam także zima, podczas gdy tutaj jest tak ciepło, że trzeba przed upałami uciekać w góry. Natura szczerze obdarzyła tę piękną planetę wszystkim, co jest niezbędne dla nas, nie mówię już o złocie, którym tu kryją dachy świątyni. Ale jakże bogaty jest tu świat roślinny, na pewno znajdzie się tutaj mnóstwo gatunków, które by mogły dostarczyć cennych surowców dla naszego przemysłu. Ale wszystkie bogactwa marnują się w pogardzie u tych magów. Byłoby to z naszej strony szalenstwem, a przynajmniej lekkomyślnością bez miary, gdybyśmy nie postarali się wykorzystać tych bezmiernych zasobów, po które wystarczy wyciągnąć rękę. Nasz rząd w mądrym przewidywaniu podobnych możliwości wydelegował mnie i pułkownika, nie pozalował paru milionów dolarów, dla zbadania tego dalekiego świata. Musimy sumiennie spełniać włożony na nas obowiązek.

-Jak to jest obowiązek? - zawołał ironicznie Johnson.

-Polega on na tym - rzekł Croops, - żeby zbadać warunki panujące na tej planecie, poznać jej mieszkańców, zorientować się w ich liczebności, w środkach obrony przez nich posiadanych i zdać rządowi, o ile się da, najdokładniejszy raport. Nie można przecież patrzeć obojętnie na to, że kilka lub kilkanaście milionów rozproszonych jogów zajmuje

szczodrze obdarzone przez przyrodę ludy, nie wyciskają ich bogactw, podczas gdy my, ludzie na Ziemi, poszukujemy przestrzeni życiowej, żywności, której nam stale brakuje, surowców niezbędnych dla naszego przemysłu, nie mówiąc już o tym, że nasze pory roku, raz kaza nam cierpieć od miodów i śniegów, to znowu nadmiernych upałów. Nasze rządy, jak mi się zdaje, postanowią skolonizować tę piękną planetę, która stała się nam dostępna dzięki odkryciu energii atomowej i która może łatwo pomieścić przynajmniej miliard ludzi.

-Zdaje mi się - mówił po krótkim wahaniu pułkownik, - że wystarczyłoby parę dywizji naszego wojska dla zajęcia tych lądów, kilkakrotnie większych od obszaru naszej Unii.

-Widocznie marzy pan o kurach Corteza i Pizarro, - wtracił ironicznie Doods. - Parę tysięcy Hiszpanów, zbrojnych w samopaly i pancerze, wystarczyło dla podbicia Meksyku, który znajdował się na bardzo wysokim poziomie cywilizacji. Zabijano bez litości tysiące nieszczęsnych Indian, którzy niestety nie posiadali jeszcze broni palnej i nie znali żelaza. Równie barbarzyńsko postępowali Hiszpanie w Południowej Ameryce. Pizarro, który nie umiał nawet pisać i czytać, pchany niepokonaną żądzą zdobycia złota, zniszczył cywilizację Peruwianczyków, stojącą pod wieloma względami znacznie wyżej niż europejska. Wprowadzili oni sprawiedliwy podział dóbr materialnych pomiędzy wszystkich mieszkańców i mieli bardzo postępowy ustroj społeczny.

-Tak, byli komunistami czystej wody! - zawołał oburzony Croops.

-Zdaje mi się, że tutejsi jogowie także zaprowadzili u siebie podobny ustroj. My Amerykanie zwalczamy go jednak z całą energią, gdyż według nas nie jest on żadnym postępem, lecz raczej ponurą tyranją i zaprowadza niewolnictwo, które myśmy u siebie od dawna zniesli. Przekonamy się niebawem, czy tak jest w istocie, a jeżeli się okaże, że tubylcy są także wyznawcami komunizmu, to w naszym interesie leży zaprowadzenie tutaj innego ładu, bardziej odpowiadającego naturze ludzkiej, która uważa własność prywatną za rzecz świętą i nienaruszalną.

-A więc knuje pan formalny spisek przeciwko naszym dzisiejszym gościom - zawołał przerażony Johnson. - Projektuje pan ni mniej, ni więcej, tylko zbrojne wtargnięcie wojsk naszych na ten daleki i swit zawojowanie go, tak jak ongi Hiszpanie zawojowali Amerykę, zniszczenie ich cywilizacji i osiedlenie tutaj ludzi, którzy w porównaniu z nimi są, śmiało mogę powiedzieć, barbarzyńcami.

-Nie taję, że istotnie będę zachęcał nasz rząd do tego - odparł twardo pułkownik, - spełnię tylko mój obowiązek żołnierza, obdarzonego zaufaniem swoich przełożonych.

Przyłączam się bez zastrzeżeń do zdania mego kolegi, szanownego pułkownika - żywo potwierdził Hipping. - Moje Ministerstwo Kolonii zaraz po powrocie otrzyma mój raport, który, tak mi się zdaje, będzie przyjęty przychylnie.

-Ależ panowie - zawołał przerażony Harting, - czyż nie zdajecie sobie sprawy z

niebezpieczeństwa, jakie mani wszystkim zagraza na wypadek, jeżeli Wenerianie przenikną nasze zamiary. Lekam się, czy ich już nie przeczuwają.

-Czyż nie potrafia czytać w naszych myślach? - dorzucił Johnson. - Kto wie, może Wielki Mag już jutro będzie wiedział o tym, uknutym przez pana, niebezpiecznym spisku, a wówczas potraktują nas jak niebezpiecznych intruzów, z którymi w imię dobra ogółu należy postąpić jak najsurowiej.

-Moga zniszczyć naszą rakietę i odciąć nam powrót na Ziemię - zawołał strapiiony Hobbs.

-Albo nas zamordować - dodała Arabella, zalamując ręce.

-Tego nie uczynia - uspokajał margrabine Doods - brzydza się bowiem zabójstwem nie tylko ludzi, ale i zwierząt. - Tak czy owak pan pułkownik i jego kolega nie postępują roztropnie, odsłaniając swoje tajne plany.

-Przecież nikt nas chyba nie zdradzi - rzekł Hipping. - Byłoby to bardzo nieładnie działać przeciwko ewentualnym zamierzeniom naszego rządu.

-A ktoż panu zareczy, że oni już teraz nie odgadują naszych myśli? - odezwał się Gwidon. - Zdaje mi się, że potrafia to uczynić.

Dyskusja ta skończyła się powszechną konsternacją; spoglądano z nietajoną niechęcią na pułkownika i Hippinga; w sercach wszystkich zaczęła się gnieździć trwoga, że magowie przenikną niebawem, albo już przeniknęli intencje przybyszów i z niepokojem oczekiwano nadchodzących zdarzeń.

## Rozdział XXXI

### Tajemniczy zew

Nazajutrz wczesnym rankiem Gwidon ze zdziwieniem zauważył, że jego żona i pokojowka Banny okazują jakiś niezwykle niepokój i zdenerwowanie. Arabella ubrała się wcześniej jak zazwyczaj, pokojowka nasładowała swoją panią, obie spoglądały na siebie porozumiewawczo. -Dokąd wybierasz się Arabello - zagadnął margrabia, - przecież jest dopiero szósta godzina; niedawno ptaki zaczęły swoją pieśń poranna na powitanie słońca, które nawet nie wejrzało ani na chwilę spoza ciężkich chmur.

-Muszę iść Gwidonie, - rzekła z mocą...

-I ja także, - dodała Fanny stając u boku swej pani.

-Dokąd to się wybieracie? - spytał zdziwiony Gwidon. - Wiecie przecież, że takie wczesne spacerki są tutaj niebezpieczne; nawet w biały dzień można się natknąć na jakiegoś potwora. Jeżeli pragniecie się przejść, to poczekać aż się zrobi jasny dzień i pozwólcie,

ze bede wam towarzyszył z moim sztuczerem.

Kobiety pokrecily przeczaco glowami

-Nie mozemy czekac ani drwili dluzej - zawolala niemal z rozpacza margrabina, - Nie wiem doprawdy co sie we mnie dzieje, ale czuje, ze mnie ktos wzywa do siebie.

-Chyba mialas jakis przykry sen, kochanie? - pytal troskliwie margrabia. - Ktoz to na ciebie moze oczekiwac, skoro nikogo tu nie znasz.

Arabella wahala sie przez chwile, potem gwałtownie zarzucila mezowi ramiona na szyje i pocalowala go tkliwie w same usta.

-Nie gniewaj sie Gwidonie, ale doznaje wrazenia, ze on kazal mi przyjsc...

-Kto taki i dokad?

-Syn maga, ten wyzszy.

-A mnie wezwal ten nizszy. Ach jacy oni obaj sa piekni - dodala Fanny z zachwytem. - jak aniolowie, ktorzy zstapili z nieba na ten dziwny daleki swiat.

Gwidon przygladal sie przez chwile uwaznie obu kobietom, po czym usmiechnal sie z gorzka ironia.

-A wice chyba zakochalyscie sie obie w synach maga. - zawolal.

Margrabina oburzyla sie.

-Co za przypuszczenie - zawolala - wiesz przeciez, najdrozszy, ze ciebie jednego kocham - dodala z emfaza.

-A jednak i ty i twoja Fanny chcecie isc do nich. - zartowal margrabia, - czyzby wam naznaczyli rande-z-vous w swym telepatycznym jezyku, tam w tym rajskim ogrodzie, który zamieszkuja?

-Takiej mysli nam nie zakomunikowali, odchodzac spojrzeli tylko tak jakos dziwnie na nas obie...

-Snili mi sie w nocy, tak jakos niezwycajnie. Och, Gwidonie, nie zadaj ode mnie wyjasnien. Sama nie zdaje sobie sprawy z mojego stanu wewnetrznego, czuje tylko, ze musze, nieodwolalnie musze tam pojsc.

-Do tego ogrodu? Po co?

-Sama nie wiem, ale musze i to natychmiast. Oni mnie kazali.

-I mnie także - dodała Fanny z płaczem.

-A coż na to twój narzeczony, ten przystojny mechanik?

-Nic mu nie powiem, ale pojde razem z pania - dodała energicznie Fanny.

Margrabia rozłożył bezradnie ręce.

-Zaczynam rozumiec - rzekł po chwili namysłu, - oni dali wam psychiczny nakaz, zahypnotyzowali was, odebrali wam wolę i musicie spełnić to, czego od was zadają. A może ty Fanny zadurzałaś się w tym niższym synu maga?

-Och, niech mnie pan o to nie posadza, - zaprotestowała żywo pokojowka. - No, chodźmy już, proszę pani. - dodała z pewną natarczywością zwracając się do margrabiny. - Nie mogę już dłużej zwlekać.

Margrabia zniknął za kotarą i po chwili wrócił w towarzystwie mechanika, który niedawno zareczował się z Fanny. Był to przystojny, dwudziestokilkuletni brunet, który od samego początku podróży międzyplanetarnej starał się o względy Fanny. Dowiedziawszy się o co idzie, nie okazał najmniejszego zdziwienia

-To są magowie, czarnoksiężnicy - rzekł poważnie, - musimy wszyscy czynić co nam kaza, gdyż mają jakąś dziwną władzę nad nami wszystkimi, wszak umieją odgadywać nasze myśli.

-Szkoda, że i my nie potrafimy czegoś podobnego - dodał margrabia, - bo byśmy się dowiedzieli po co wzywają nasze obie panie.

-Musiały im się po prostu bardzo podobać - rzekł tknięty żądłem zazdrości Tom. - Ja pojde z panem. Musimy bronić te biedaczki w razie potrzeby.

Po chwili Tom zjawił się ze sztucerem i w pasie myśliwskim, w którym sterczało kilkadziesiąt nabożów z eksplodującymi kulami.

Spuszczono się po drabinie na dół, a kiedy znaleziono się na murawie pod drzewem, margrabina bez namysłu ruszyła przed siebie.

-Jeżeli macie udac się do owego rajskiego ogrodu, to trzeba isc bardziej w lewo - zauważył Gwidon.

-Nie, nie - zaprotestowała margrabina. - zdaje mi się, że znam lepszą drogę.

-Przecież nigdy tam nie byłaś kochanie.

-A jednak wiem, ktoredy isc wypada.

Margrabia usłuchał żony myśląc w duchu, że dzieją się dookoła niego jakieś dziwne niewytłumaczone zjawiska.

Był już jasny pogodny dzień, słońce wyjrzało na chwilę spoza obłoków, kiedy na skraju doliny ujrzało kilka malpółców dzwigających kosze z owocami. Niebawem doprowadzili oni naszą czwórkę do owego kamiennego góscinca, który snadź ciągnął się daleko w dół i zapewne stanowił najlepszą drogę do siedziby półbogów. Nie potrzebowano zatem błąkać się po wertepach, brodzić w wodzie zimnych potoków, mozolnie szukać, jak przedtem, przejść pomiędzy niebotycznymi ścianami skalnymi. Dzięki temu posuwano się szybko naprzód i w kilka godzin ujrzało kolczasty żywopłot, uniemożliwiającym dzikim bestiom przedarcie się do siedziby półbogów.

Wejście zamykała szeroka szczerozłota brama.

-To warte kilka dobrych milionów - rzekł Tom uderzając kolbą w grube prety. - Ale nie widac tutaj żadnego odzwiernego albo strażnika, każdy może przejść bez legitymacji.

-Albo nawet ukrasć te bramy - dodał zartobliwie Gwidon.

-Ale jak dotąd nikt się na nią nie połakomił - uśmiechnął się mechanik. - Chyba jak będziemy stąd odjeżdżali, zabiorę ją. Będziemy mieli na urządzenie ładnego domu, skoro się pobierzemy z Fanny.

Ale widok rajskiego ogrodu oderwał uwagę kobiet od złotych wrot. Arabella, wielka miłośniczka kwiatów, właścicielka cieplarni, gdzie hodować lubiła najrzadsze odmiany storczyków, które nabywała, nie licząc się z dolarami, wpadła w zachwyt.

-Boże, ależ to jakiś czarodziejski ogród, - wołała przyglądając się tej wspaniałej roślinności. - Nawet nie przeczuwałam, że istnieć mogą takie cudne kwiaty. Jakże mizernie wyglądają przy nich nasze róże, goździki, tulipany, magnolie, irysy, a nawet storczyki z Borneo i Ameryki Południowej. Zapach ich jest wprost odurzający. Jestem jakby upojona...

Wciągała z rozkoszą te nieznanne sobie wonie. Fauny nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerwać napredce wiazanki, która przypięła sobie do gorsu. Najpiękniejszy okaz wpięła w złociste loki swej pani i szły uśmiechnięte, z błogosciami na twarzy, cienista droga pod konarami rozłożystych drzew, z których za najbliższym powiewem spadały kielichy kwieciste o przebogatych barwach.

Arabella wiedziona jakimś niepojętym instynktem szła prosto do siedziby maga, przed którą jak dawniej zgromadziła się grupka malpółców, oczekujących nagrody za przyniesione owoce. Za chwilę ukarali się dwaj młodzieńcy. Ujrzawszy obie kobiety nie okazali najmniejszego zdziwienia. Powitali przybyszów lekkim skinieniem głowy, spowitej w naturalnie układające się loki czarnych jak heban włosów. Teraz dopiero margrabia i Tom mogli im się dokładnie przyjrzeć. Fanny miała słuszną porównując ich do Archaniolów. Byli majestatycznie piękni. Ich muskularne kształty tonęły w draperiach powłoczystych szat



purpurowej barwy, dziwnie harmonizującej z ceglasta cера. Oczy jak dwie jasne gwiazdy plonely nadziemskim ogniem pod wysokim czolem. Fanny mimo woli zgiela kolana i wyciagnela rece do mlodszege maga, ktory usmiechnal sie przyjaznie, lecz nie spieszyl sie wyjawic jej po co zostala tutaj wezwana. W milczeniu rozdzielal przysmaki miedzy usluźnie malpoludy, a kiedy ci bezinteresowni sludzy oddalili sie, dal znak przybyszom, azeby poszli za nim.

Zatrzymano sie przed mala pustelnia, przylegajaca do siedziby Maga i spowita w girlandy pasowych kwiatow, wiekszych kilkakrotnie anizeli roze. Niskie drzwi do niej byly otwarte. Mlodzieniec wszedl pierwszy, za nim Arabella i Fanny. Kiedy margrabia chcial to samo uczynic, mlodzieniec zatrzymal go stanowczym ruchem reki.

-Po co wezwaliscie tu moja zone? - zagadnal zachmurzony.

-Na rozkaz Wielkiego Maga, przed ktorym macie stawic sie jutro na waszym statku - odparl mlodzian - Wasze kobiety maja pozostac tutaj, wy obaj zas mozece sie oddalic.

-Jak to, chcecie zabrac nam nasze kobiety? - oburzyl sie Tom ukaszony przez weza zazdrosci. - Nigdy sie na to nie zgodze. Fanny, chodz do mnie - dodal gromkim, rozkazujacym glosem.

Fanny ukazala sie na chwile, ale zamiast spelnic zyczenie narzeczonego pokrecila przeczaco glowa.

-Czy i ty zostaniesz tutaj Arabello? - zawolal margrabia.

-Musze, gdyz taki jest rozkaz Wielkiego Maga Nie lekaj sie o mnie.

Ale Gwidon obdarzony iscie wloskim temperamentem nie godzil sie tak latwo z tym zyczeniem nieznanego mu Maga. W jego wyobrazni zaczely sie budzic przykre podejrzenia. - Ziemianki wzniecily milosne zapedy w sercach tych przepieknych mieszkancow dalekiego swiata. Wyzyskali swoj magnetyczny wplyw dla zaspokojenia swych zadz, zapewne zywszych tutaj wskutek nadmiaru slonca, wsrod tego rajskiego otoczenia anizeli na Ziemi. Lecz nie liczyli sie z uczuciami jego, margrabiego Ramini, przedstawiciela starozytnego rodu szlacheckiego. Na te zniewage on, Gwido nigdy, przenigdy nie odpowie inaczej, jak tam w swojej ojczyźnie komus, co by sie osmielil...

I naglym ruchem, niemal bezwiednym siegnal do boku, przy ktorym wisial zamiast szpady, dlugi kordelas myśliwski.

Tom, idac za przykladem margrabiego, podniosl gotowy do strzalu sztucer i skierowal lufe w serce pieknege mlodzianca.

Lecz nagle poczul jakis dziwny bezwlad we wszystkich czlonkach, wypuszczony sztucer padl ciezko na ziemie, Gwidonowi sparalizowana reka odmowila posluszenstwa. Spogladal

upokorzony, na wpol tylko przytomnie na polboga, który usmiechnal sie don z lagodnym wyrzutem.

-Tak samo jak was, obezwladniamy dzikie bestie, ktore, jak to sie czasem zdarza, maja ochote nas napasc, - rzekl w swym niemym, ale mimo to tak dobitnym jezyku. - Wasza wyobraznia kaze wam lekac sie o te kobiety. Lecz; uspokoicie sie, nic im z naszej strony nie zagraza, nie dotkniemy ich nawet palcem. Zrozumcie, ze zblizenie sie do was albo do waszych kobiet byloby dla nas upokarzajaca ujma, postepkiem, ktorego musielibysmy sie wstydzic, wszak jestecie niemal zwierzetami, bo ludzmi jeszcze nie jestecie, tak samo jak te stworzenia, ktore dla dogodzenia swym podniebieniom sa naszymi slugami... Oddalcie sie przeto spokojnie i nie posadzajcie nas o czyny, ktorymi sie brzydzimy.

Margrabia sluchal tego ze wzrastajacym oburzeniem.

-Jak to? - myslal, - zblizenie cielesne do jego przecudnej Arabelli byloby dla tego czlowieka czymś upokarzajacym jego dostojnosc? Obluda oslonieta duma. Nigdy on, Gwido, nie uwierzy w szczerosc wynurzen czerwonego Adonisa.

Ten jednak, jakby czytając jego buntownicze mysli, usmiechal sie juz teraz poblazliwie. Uwazny obserwator moglby nawet dostrzec na jego twarzy odcien pogardy.

-Odejdziecie - dodal, - pamietajcie, ze posiadana przez was bron nie jest dla nas niebezpieczna. Macie jeszcze inna, lecz i ta okaze sie dla was nieuzyteczna, jezeli byscie chcieli wydac nam wojne. Rozporzadzamy potegami przyrody, calkiem wam nieznanymi. Nie powinniście zreszta zywic wzgledem nas wrogich zamiarow, nie zaslugujemy na to. Oddalcie sie do waszego statku, na którym jutro powinniście stawic sie przed obliczem Wielkiego Maga, który chce was zobaczyc i osadzic.

-Osadzic? - powtorzyl Gwido, - czyz jestesmy przestepcami w waszych oczach.

-Bynajmniej - odparl mlodzieniec. - Zakomunikujcie ten rozkaz waszym towarzyszom. Jutro zaprowadze was do naszej stolicy, noszacej tak jak dawna stolica naszej ojczyzny ziemskiej, nazwe Cerne - zlotobrane miasto.

We drzwiach ukarala sie na chwile Arabella.

-Odejdz Gwidonie, - rzekla przykladajac dlon do serca. - Nie trac wiary we mnie.

Obaj mezczyzni odczuli, ze musza spelnic ten nakaz i odeszli w milczeniu.

-Mozecie za pare dni przyjsc tu znowu - rzucil im ma pozegnanie mlodzieniec.

Rozdzial XXVII

W stolicy Wielkiego Maga

Margrabia i jego towarzysz wrociwszy do wiszacego palacu opowiedzieli towarzyszom o zatrzymaniu kobiet na rozkaz Wielkiego Maga. Pulkownik Croops napietnowal ten postepok z najwyzszym oburzeniem, jako pogwalcenie wolnosci obywateli Unii.-Wiem dobrze co mam o tym sadzic. Jest to starozytna rasa, ktora tutaj mieszka juz od niepamietnych czasow. Jest przeto wyczerpana i musi odswiezyc swoja krew, a wiec zmieszac sie z inna, mlodsza od siebie. Ci pyszalkowie maja sie za nadludzi i uwazaja, ze zblizenie sie do naszych kobiet, uwlaszczyloby ich godnosci.

-Wiec pan sadzi pulkowniku, ze moga oni zatrzymac moja zone i Fanny w calach, o ktorych napomknales.

-W kazdym razie wydaje mi sie to wszystko bardzo podejrzone.

-Margrabia nachmurzyl sie.

-Pomscilbym sie na nich srodze, gdyby istotnie osmielili sie na cos takiego, - zawolal. - Podobno - rzekl zwracajac sie do Norskiego. - zabral pan ze soba kilka bomb atomowych?

-Doktor pokrecil glowa.

-A wiec myslisz pan o wydaniu wojny Wenusjanom - zapytal ironicznie - Widza, ze nie bierze pan na serio ich wynurzen. Kto wie, czy nie potrafia oni rownie latwo przeszkodzic nam w uzyciu broni recznej.

-Moze chcieli was tylko tak nastraszyć - wtracil Hippling.

-Jutro mamy sie stawic w stolicy Wielkiego Maga, - dodal.

-Postaramy sie przy tej sposobnosci zbadac, jak liczne jest to plemie polbogow.

-To sprawa bardzo wazna! - zawolal pulkownik.

-Jednym slowem, chce pan zrobic wywiad w celach militarnych - zadrwil Johnson. - Obawiam sie, ze panskie plany zaszkodza nam bardzo w opinii tutejszych mieszkancow. Jako przyrodnik moge panu dac pewne wskazowki, co do gestosci zaludnienia dalekiego swiata, naturalnie calkiem teoretyczne, ale niemniej przeto uzasadnione warunkami fizycznymi, ktore tu panuja. Na Wenerze jest bardzo gesta i ciezsza atmosfera, odbiera ta planeta czterokrot wiecej ciepla od slonca niz ziemia. Przekonalismy sie z doswiadczenia, ze pobyt w nizinach na poziomie morza jest dla naszych pluc bardzo ciezsza proba. W parze i spiekocie nie moglibysmy dlugo wytrzymac, a w dodatku te ciagle burze i ulewy.

-No i ci nocni goscie - dodal Harting, - roi sie tam od jakichs przedpotopowych potworow, nic wiec dziwnego, ze tutejsi mieszkancy przeniesli sie w gorzysze okolice, gdzie panuja znosne dla zycia warunki.

Mozna stad wywnioskowac, ze tylko wyzyny nadaja sie tutaj na staly pobyt dla ludzi takich jak my, no i oni. Stad latwy wniosek, ze zaludnienie tej planety nie moze byc liczne, nie przekracza ono, jak sadze, kilkunastu milionow dusz.

-Bardzo logicznie pan rozumuje, szanowny doktorze - zawolal ucieszony Croops. - Gdyby tak bylo istotnie, skolonizowanie dalekiego swiata nie nastreczaloby wielkich trudnosci.

-O ile polbogowie nie maja lepszych srodkow do obrony niz my do ataku - wtracil Doods.

Jednakze pulkownik, jak sie zdawalo, nie lekal sie zadnych niespodzianek i w dalszym ciagu snul swoje plany zaborcze.

Noc minela w oczekiwaniu przewodnika i na przygotowaniach do startu rakiety, majacej sie udac do stolicy Wielkiego Maga. Musiano zwinac palac wiszacy, przeniesc wszystkie przedmioty do wnetrza statku niebieskiego, wypatrzyc najdogodniejsza droge, po ktorej mialy sie potoczyc olbrzymie kola, slowem, te ostatnia noc pobytu w dolinie spedzono na ciezkiej pracy.

Nad robotnikami czuwali margrabia i pulkownik, gdyz lada moment mozna sie bylo spodziewac jakiego niepozadanego goscia z glebi dzungli. Rozpalono stos suchych galezi, ktorego blask widocznie trzymal dzikie bestie z daleka.

O swicie, w pare godzin zaledwie po wschodzie slonca, ktore ma dalekim swiecie wydaje sie znacznie wieksze niz na Ziemi, zjawil sie mlodzieniec, majacy sluzyc za przewodnika czlonkom wyprawy w ich podrozy napowietrznej, do nieznanego celu.

Margrabia nie omieszkal zapytac, jak sie miewa jego kochana malzonka i otrzymal odpowiedz, ze, nic zlego jej sie nie stalo i ze ma nadzieje polaczyc sie niebawem z mezem.

Inzynier Hobbs zaznajomil czerwonego pilota z mechanizmem rakiety. Polbog nadzwyczaj szybko zorientowal sie, zajal wskazane sobie stanowisko na przodzie statku, skad mogli objac wzrokiem duza przestrzen i dal znak do startu.

Poteczny samolot bardzo szybko oderwal sie od ziemi i poszybował nad oceanem oddalając się od wysp, na ktorej wyprawa pierwotnie wyladowala. Jakkolwiek rakietka przelatywala przynajmniej tysiac kilometrow na godzinie, podroz trwala az do samego poludnia.

Po przebiciu rozleglego morza, ukazal sie nowy lad, odlegly o pare tysiecy kilometrow od tymczasowej siedziby przybyszow. Unoszono sie nad dziko poszarpanymi lancuchami gorskimi, wymijano zionace ogniem i dymem paszcze wulkanow i posuwano sie coraz bardziej w glab tego obszernego kontynentu. Natrafiono wreszcie na rozlegly plaskowyz, gdzie lezala stolica Wielkiego Maga. Pelno tu bylo slonca, swiecacego na szafirowym niebie; warstwa chmur zaslaniala morze, pod nogami podrozni widzieli rozlegle ogrody, ktore niebawem, znikly i ukazala sie w calym swym majestacie, imponujaca ogromem i rozmaitoscia siedziba Maga Wyladowano na olbrzymim placu, otoczonym gigantycznymi

budowlami. Nie były to jednak domy mieszkalne, lecz raczej świątynie i gmachy publiczne.

Wszystko to było wzniesione z jakiegoś polprzezroczystego marmuru rozmaicie zabarwionego przez naturę. Czworokątne kolumny ze złotymi głowicami podpierały zawrotnie wysokie stropy, było to istotnie dzieło olbrzymów, których jednak nigdzie między Wenusjanami nie dostrzegano.

Wylądowanie dziwnego wehikulu, podobnego do jakiegoś legendarnego ptaka Roka, opisywanego przez Sindbada Żeglarza, było snadź wielką sensacją dla mieszkańców stolicy, gdyż niebawem plac napelnił się tłumem ciekawych. Przyglądano się z najwyższym zaciekawieniem wysiadającym przybyszom. Ich wygląd, tak niezwykle, zaczął nieć wyraźnie popłoch, lecz przewodnik musiał w swym telepatycznym języku dać uspakajające wyjaśnienia zgromadzonym tak licznie rodakom, bowiem panika ustąpiła miejsca zwykłej ciekawości. Czerwony pilot ustawił całą załogę rakiety i wyjątkiem dwóch mechaników, którzy pozostali dla jej strzeżenia i z wielką powagą poprowadził ich w kierunku siedziby Wielkiego Maga, zajmującej kilkaset metrów głównego boku tego olbrzymiego placu, z którego rozchodziło się kilka szerokich ulic wysadzanych drzewami. Zatrzymano się na chwilę przed olbrzymim portykiem, złota brama rozwarła się szeroko, jak gdyby pchnięta reka olbrzymiego portiera i znaleziono się na dziedzińcu pełnym wodotrysków, sztucznych basenów wodnych i misternie urządzonych klombów kwiatowych.

-Pozostanie tutaj na chwilę - rzekł im czerwony pilot. - Wielki Mag wie już o waszym przebyciu i niebawem dostanie wysokiego zaszczytu oglądania jego oblicza. Nie zapominajcie proszę, że kłamstwo i obłuda jest wśród nas źle widziane, otworzcie więc wasze serca i głowy, nie usiłujcie zataić żadnej myśli, gdyż Wielki Mag nie da się w błąd wprowadzić.

Po chwili przewodnik zniknął w złotej bramie, która prowadziła do siedziby Maga, pozostawiając Ziemiaków trwożnym oczekiwaniu.

-Coż to, mają nas stawiać przed sądem najwyższym - protestował Croops usiłując daremnie ukryć nurtujący go niepokój.

-Nie masz pułkownika widocznie czystego sumienia - zadrwił Doods, - jakże zdołasz ukryć swoje zaborcze plany, o których tak lekkomyślnie mówiłeś w wieszczym pałacu.

-Nie mamy zamiaru ukrywać w jakim celu rząd Unii przyłączył nas do wyprawy - wtracił Hipping. - Spełniamy tylko lojalnie rozkazy naszych przełożonych, a to przecież nie jest dla wojskowych urzędników żadnym przestępstwem.

Rozmowę tę przerwało pojawienie się licznego orszaku, na czele którego posuwał się wysoki, chudy starzec o dziwnie uduchowionej, ascetycznej fizjonomii. Długa, śnieżno biała broda spadała mu na piersi; na niej lśnił wielki złoty krzyż, który u Atlantów był godłem życia wiecznego. Ta imponująca postać zatrzymała się przed grupką Ziemiaków i przyglądała im się

w milczeniu, przez dobre pare minut.

Wielki Mag usiadl na tronie, wznoszacym sie posrodku dziedzinka i w swym telepatycznym jezyku rzekl:

-Witajcie nam przybysze a naszej dalekiej ojczyzny, ktora musielismy opuscic przod wielu tysiacami lat ziemskich, na skutek katastrofy wulkanicznej i przesladowan jakich doznawalismy ze strony Czarnych Magow, naszych rodakow nie uznajacych naszych wznioslych idealow, lecz uzywajacych swej wiedzy magicznej dla osiagniecia egoistycznych celow, dogadzania swym namietnosciom, ceniacych dobra materialne wyzej anizeli duchowe.

Opowiedzcie nam w krotkich slowach, jezeli potraficie, co sie stalo z nasza ojczyzna i z naszymi przodkami Toltekami.

-Niestety, posiadamy tylko bardzo niepewne wiadomosci z tak odleglych czasow i ladow. Na miejscu waszej wspanialej ojczyzny pochlonietej przez, morze, na skutek dzialania sil podziemnych, rozlewa sie obecnie wielki ocean nazwany Atlantykiem. Te wszystkie skape wiadomosci - mowil Doods, - pochodza od Hindusow, starozytnych Egipcjan, a glownie od filozofa greckiego Platona, ktory zyl dwa tysiace lat temu i byl podobno uczniem kaplanow egipskich, ktorzy swoja wiedze tajemna wraz z religia otrzymali z rak waszych przodkow.

Na istnienie Atlantydy naprowadza nas wiele faktow, ktorych inaczej nie potrafilibysmy sobie wytлумaczyc, jak na przyklad podobienstwo niektorych szczepow zamieszkujacych Europe i Ameryke, wspolne pochodzenie jezykow hiszpanskich Basko z narzeczeniami Indian i zgodnosc tradycji. Lecz wielu naszych uczonych nie wierzy w to, ze kiedys istnial wielki kontynent przez was zamieszkiwany. Resztko Atlantydy, jak sie zdaje, byla piekna wyspa Posejdonia, ktora podczas wzmozonej dzialalnosci wulkanicznej przed dwudziestu tysiacami lat podzielila smutny los wielkiego kontynentu. Sa to dla nas tak odlegle czasy, ze gina w pomroce wiekow, wiemy, a raczej domyslamy sie, z wielu danych, ze Egipt byl kiedys jedna z waszych kolonii, ktore zajmowaly caly poludniowy brzeg morza Srodziemnego, znalazly sie tam bowiem bardzo starozytne ruiny ogrodow, wzniesionych za waszych czasow.

Doods, ktory zajmowal sie pilnie archeologia, meta-psychika i w ogole byl zwolennikiem tak zwanych nauk hermetycznych, nie mogl nic wiecej powiedziec Wielkiemu Magowi o jego dawna pochlonietej przez zywioly ojczyznie. Lecz; i ta garstka metnych wiadomosci byla mile przyjeta przez jego sluchaczy.

Mister Doods odczul, ze jego sympatie dla Wenusjanow sa przez nich odwzajemniane.

Kiedy skonczyl, Wielki Mag (kolejno badal innych przybyszow. Bylo widoczne, ze czyta on z latwoscia w myslach i sumieniach, jego bowiem opinie uderzaly trafnoscia i glebokoscia sadow. O Hartingu wyrazil sie dosc przychylnie.

-Jestes uczonym badaczem ogromu wszechswiata; zdaje ci sie, ze oko twoje, dzieki

zbudowanym przez was przyrzadom optycznym, siegnelo juz daleko w glab otchlani niebieskich, lecz; moze cie zapewnic, ze widziales nie wiecej anizeli wrota do tego wspanialego dziela, przed ktorym duch ludziki korzy sie i odczuwa cala swoja nicosc.

Pracujesz bezinteresownie, dla czystej nauki i dlatego jestes u nas mile pozadany gosciem. Chciales zawiazac nic porozumienia z innymi planetami i to ci sie udalo do pewnego stopnia. Jezeli jednak dotknales stopa naszej planety, zawdzięczasz to glownie temu uczonemu chemikowi, ktory potrafi z 1cjszych pierwiastkow wytwarzac ciezsze, jakie nawet nie istnieja w przyrodzie. Wydaje sie wam, ze odkrylicie zrodlo najwiekszej sily jaka istnieje w naturze, nazwaliscie ja energia atomowa, wiezcie jednak, ze my od dawna poznalismy sily tysiackrotnie potezniejsze, ktorymi dowolnie rozporzadzamy. - Ten czlowiek - dodal wskazujac na inzyniera Hobbsa - jest balwochwalca techniki, ktora, wedle jego mniemania, stworzy nowa, blogoslawiona epoke dla waszej zacofanej ludzkosci. Mysmy technike materialna od dawna doprowadzili do wysokiego stopnia doskonalosci, mielismy przed tysiacy lat zaklady przemyslowe, ktore przy bardzo malym udziale czlowieka wytwarzaly automatycznie wszystko, co tylko moglo sluzyc dla zaspokojenia naszych potrzeb materialnych. Doszlismy jednak do przeswiadczenia, ze w tym blogoslawionym swiecie, obdarzonym przez Stworce wszechrzeczy bogatymi darami natury, potrzeby te sa bardzo skromne. Zyjemy wylacznie roslinnymi pokarmami, podczas gdy wy musicie spozywac mieso stworzen, ktore pieczolowicie hodujecie, azeby je potem okrutnie zabijac. To wlasnie utrzymuje was na najnizszym stopniu cywilizacji, smialo wiec moze powiedziec, ze jestescie barbarzyncami i wiele wiekow jeszcze uplynie, zanim, tak jak Hindusi na kuli ziemskiej, poprzestaniecie na roslinach.

-Ty, piekny mlodziencze - dodal Mag zwracajac sie do Gwidona, - holdujesz jeszcze dzikszym instynktem, gdyz nie zabijasz z potrzeby, lecz dla karygodnej przyjemnosci. Twoje rece sa zbroczone krwia licznych niewinnych ofiar zabitych smiercionosna bronia, ktora az tutaj zabrales. Najodpowiedniejsza dla was siedziba bylyby te niziny, w ktorych dzikie potwory toczy miedzy soba walki pozerajac sie wzajemnie. Miedzy nimi nie ma takich okrutnych drapieznikow, za jakich was niestety musze uwazac. Pomiedzy osobnikami jednego gatunku panuje zarowno na Ziemi, jak i tutaj spokojna zyczliwosc; wasz gatunek toczy w swoim wlasnym srodowisku zazarte boje, ludzie tepia swoich bliznich, czego nie czynia ani tygrysy ani wilki, ani zadne tutejsze bestie. Wy - dodal wskazujac na Croopsa i Dicka, - macie rece obficie zbroczone krwia ludzka, dlatego dusze nasze odwracaja sie od was z najwyzszym wstretiem. Nie jestescie w gruncie rzeczy zli, ale zabijaliscie na rozkaz waszych przelozonych, w okropnych wojnach, ktore niedawno prowadzono na Czerwonym Glebie. Niestety nie byly to wojny, toczone dla osiagniecia dobr materialnych, ktore pragnelibyscie odebrac innym narodom, ale dla zaspokojenia chciwosci i egoizmu. Nie sadzcie, ze nie odgadlismy waszych zamiarow - mowil wpatrujac sie w Croopsa i Hippinga. - Tam na Ziemi robi sie wam za ciasno, gdyz nie umiecie jeszcze wykorzystac wszystkich plodow natury dla osiagniecia dobrobytu, dlatego chcielibyscie przeniesc sie na nasza "Core Slonca", gdzie, jak sie wam zdaje, znajdziecie warunki przyjazne dla zycia, lecz jestescie w bledzie. Ludzie zbudowani tak jak wy i my moga przebywac jedynie na

tutejszych płaskowyzach, wzniesionych znacznie ponad poziom morza, a takich obszarow jest tutaj niewiele. Ci, ktorzy by tutaj przybyli na takich statkach jak wy, natrafiliby ma bardzo nieprzyjazne warunki i musieliby zyc w ciaglym mroku, w goracej i wilgotnej atmosferze., posrod dzikich bestii, z ktorymi walka bylaby bardzo trudna i niebezpieczna.

Nie bedziecie mi chyba uwazali za zle, jezeli otwarcie powiem, co na ogol mysle o dzisiejszej ludzkosci. Tkwi ona w glebokim barbarzynstwie, z ktorego dopiero stara sie robic pierwsze kroki w kierunku osiagniecia poziomu, na ktorym znajdujace sie istoty zaczynaja byc ludzmi. Jestescie jeszcze na wpol zwierzetami przebywacie ciałem i duchem w swiecie materialnym, zaniedbawszy rozwoj waszego intelektu i sera. Uplynie jeszcze wiele tysiecy lat zanim bedziecie godni stanac obok nas, dlatego wasza obecność na "Corze Slonca" jest niepożadana a nawet niebezpieczna. Znacnie potężne środki niszczenia, a nie osiagneliscie tego poziomu moralnego, jaki jest wam potrzebny, azebyscie sami od nich nie zgineli. Oczyma naszej duszy widzielismy, ze niedawno znajdowaliscie sie o jeden krok od katastrofy, ktora wam stale zagrazac bedzie w niedawnej przyszlosci, jezeli slepo bedziecie isc dotychczasowymi drogami, a nie skierujecie waszych usilowan o la osiagniecia wyzszej moralności i rozwoju drzemiacych w ludziach uzdolnien maturalnych, ktore mysmy v ciagu dlugich tysiecy lat w sobie rozwineli. Mozecie jednak pozostac na "Corze Slonca", jezeli sobie tego zyczycie. Nie obawiamy sie was bowiem. Klade jednak warunek, ze nie bedziecie sie tutaj rozmnazali, bo byloby to dla nas szkodliwe, gdybysmy musieli wspolzyc z istotami podobnymi do was. Dlatego kazalem odlaczyc od was wasze kobiety, ktore tu przywiezliście ze soba. Nie uczynimy im nic co by sie sprzeciwiloby waszym przesadom i zapatrywaniom lub zwyczajom. Jesli byscie jednak postanowili powrocic na Ziemię, wasze kobiety odzyskaja wolność i bedziecie je mogli z powrotem zabrac na Czerwony Glob. Kiedy was pozegnamy, otrzymacie wspanialomyslny dar.

Wielki Mag zamilkł, jakby chcial rozwazyc to, co mial zamiar wypowiedziec, na jego twarzy znac bylo pewne wahanie, lecz wreszcie wyjawil swoja mysl.

-Znamy wasze niskie pozadania, wiemy, ze pragniecie tego niedzkiego kruszcu, ktory nazywacie zlotem; moglibysmy wam oddac wszystko jaki sie u nas znajduje, lecz nie potrafilibyscie go zabrac ze soba. Mv od dawna wydarlismy naturze sekret otrzymywania tego metalu z innych pospolitszych kruszców. Ty - dodal zwracajac sie do Norskiego - bedziesz wtajemniczony w sposoby sluzace dla osiagniecia tego niskiego celu. Sikoro powrocisz na Czerwony Glob, bedziesz go mogl produkowac w dowolnych ilosciach, dla zaspokojenia chciwosci ludzkiej. Jezeli po rozwadze dojdiesz do przekonania, ze tam na Czerwonym Globie wiadomosci te nie wywolaja jakichs przewrotow ekonomicznych, otrzymasz od nas szczegolowe wskazowki jak masz postupowac, aby otrzyma zlot z zelaza, lub nawet z piasku. A teraz jestem zadowolony, ze poznalem blizej tych, ktorzy pozostali na Czerwonym Globie, po naszym stamtad odejsciu. Moge was zapewnic, ze nic zlego wam sie nie stanie o ile nie bedziecie wystepowac wrogo przeciwko nam.

Dostojny starzec poblogoslal wiszacy na piersiach zlotym krzyzem przybyszow, tak jak to czynili kaplani starozytni Atlantydy i dal im znak reka, ze posluchanie uwaza za



skonczone.

-Wracajmy do miejsca, z ktoregosmy dzis wylecieli - rzekl piekny mlodzieniec, ktory sluzyl zalodze rakiety za pilota w tej odleglej podrozy, - nie traccie czasu i oddalcie sie bezzwlocznie, gdyz wasza obecosc tutaj zaniepokoil mieszkanow stolicy, uwazaja was za czarnych magow, ktorzy przybyli z naszej dawnej ojczyzny w zamiarze przesladowania nas, tak jak to czynili w dawnych czasach. Ucieklismy do dalekich kolonii afrykanskich i azjatyckich, ale i tam poszli oni za nami, azeby krzyzowac nasze szlachetne zamiary i sklaniac ludzi do wystepku i zlych obyczajow, ktore mysmys potepiali. Potrafimy mieszkanow stolicy uspokoic, o ile znikniecie im z oczu. Zajmujcie wiec wasze miejsca w tym statku; doprowadze go do punktu, z ktorego rankiem wyruszyliśmy.

Inzynier Hobbs i doktor Norski widocznie byli niezadowoleni z tej decyzji przewodnika, ktoremu tak bylo pilno poprowadzic rakieta na daleka wyspe.

Chemik odczul sympatie maga dla swojej dzialalnosci bezinteresownego uczonego, zwrocil sie wiec z niesmiala prosba do pilota.

-Bardzo mi przykro - rzekl, - ze talki krotki czas spedzamy w waszej pieknej stolicy, pragnelibysmy goraco poznac nieco blizej wasze obecne zycie, zaznajomic sie z tym, co osiagneliscie w dziedzinie nauki, ktorej jestem przedstawicielem.

-I w dziedzinie techniki, w ktorej ja jestem, ze sie tak wyraze, kaplanem - dodal inzynier. - Musieliscie poczynic wielkie w tym kierunku postepy, ktore nas do najwyzszego stopnia zaciekawiaja. Czyz nie zgodzilibyscie sie pokazac nam waszych zakladow przemyslowych, ktore dostarczaja wam srodkow do zaspokojenia waszych potrzeb materialnych. Sadze ze kilka godzin wystarczyloby na jaki taki chocby pobiezny rzut oka na to, coscie zdolali osiagnac w tej dziedzinie a byc moze nie zrozumieamy tych drog po jakich stapala wasza wiedza, ktora, jak przypuszczam, dosiegla bardzo wysokiego poziomu, lecz chcielibysmy chociaz ogladac ostateczne wyniki, do jakich doszliscie w dziedzinie chemii, techniki i fizyki.

Pilot zastanowil sie przez chwile.

-Musze na to otrzymac zgode Wielkiego Maga - rzekl. - Poczekajcie az sie z nim porozumiem w tej sprawie.

Norski spodziewal sie, ze przewodnik uda sie znowu do siedziby Wielkiego Maga w zamierzonym celu, lecz porozumienie to nastapilo w przeciagu paru minut, przy czym pilot nie opuscil rakiety.

Usiadl w milczeniu na swoim krzesle, z ktorego poprzez szyby kabiny kapitanskiej widnial palac Wielkiego Maga, zapadl w jakis dziwny stan nawiadzajac telepatyczne polaczenie z osoba nalezaca widocznie do otoczenia Wielkiego Maga. Tajemnicze promieniowanie wychodzace z jego mozgu pobiegla w przestrzen, jakby jakis cudowny telefon niematerialny, pozwolilo przeslac zapytanie i otrzymac na nie natychmiastowa odpowiedz.

-Doktor Norski i pan - dodał zwracając się do inżyniera, - otrzymaliście pozwolenie na zwiedzenie kilku naszych zakładów chemicznych i przemysłowych - rzekł młodzieniec.

Norski uklonił się nisko.

-Nie omieszkamy z tego pozwolenia skorzystać. Czy możesz młodzieńcze być naszym przewodnikiem?

Nadczłowiek uśmiechnął się przyzwalająco.

Po pewnym czasie znaleźli się przed jakimś wielkim gmachem, znajdującym się pośrodku rozległego parku.

-Jest to nasz zakład chemiczny, w którym otrzymujemy na drodze syntetycznej najważniejsze środki odżywcze, potrzebne dla podtrzymania naszego ciała. Chodźcie za mną.

Wszyscy trzej znaleźli się w obszernej sali, gdzie odbywały się jakieś tajemnicze procesy chemiczne, które w najwyższym stopniu zwróciły uwagę Norskiego. Znajdowały się tam płytkie baseny napełnione wodą, do których dochodziły wyloty szerokich rur. Przewodnik w krótkich słowach, objaśniał przebieg procesu chemicznego, który się tu odbywał.

-Nie widzicie promieni pozafioletowych, które padają na te zbiorniki, - rzekł. - Spełniają one bardzo ważną pracę. Z azotu powietrza, dwutlenku węgla, z odrobiny siarki i innych pierwiastków, w tych kadziach powstaje syntetycznie białko. Dużo czasu kosztowało naszych chemików podpatrzenie sekretów przyrody, która za pośrednictwem roślin wytwarza z wymienionych pierwiastków tak potrzebne do życia substancje, jak białko, skrobia, cukier i tłuszcze. Nie mogę wam dać bliższych wyjaśnień, gdyż musielibyście najpierw poznać naszą współczesną wiedzę chemiczną. Nie zdolalibyście, jak sadzę, zrozumieć przebiegu tych procesów bardzo zresztą skomplikowanych. Musi wam wystarczyć, jeżeli powiem, że potrafimy już zupełnie obchodzić się bez roślin, dla otrzymania wszystkich podstawowych substancji odżywczych w dowodnych ilościach. Energia promienista, azot, dwutlenek węgla, woda i sole mineralne wystarczają nam w zupełności do osiągnięcia tego celu, do którego wasza nauka tak mozolnie szuka dróg. Sadzę jednak, że za jakieś tysiąc lat i wy zamiast uprawiać tak mozolnie glebę ziemską w celu otrzymania żywności pochodzenia roślinnego, będziecie potrafili produkować ją sztucznie, tak jak my to czynimy. Wówczas nie będziecie narzekali na przeludnienie Czerwonego Globu, który zdoła wyżywić nawet znacznie liczniejszą ludność, aniżeli obecnie.

-Na Ziemi mieszka dziś prawie dwa miliardy ludzi - objaśniał Hobbs.

-Wyżywiecie trzy razy tyle istot ludzkich, skoro tylko poznacie sekret użytecznych roślin, potrafiących wyrabiać krochmal, cukier, tłuszcze i inne bardzo skomplikowane związki z wody, powietrza i soli mineralnych, których im dostarcza gleba.

Doktor Norski chciałby dłużej przebywać w tym zakładzie chemicznym lecz przewodnik spieszył się. - Gdybyście chcieli zapoznać się z naszymi sposobami otrzymywania bardzo skomplikowanych związków organicznych na drodze syntetycznej, musielibycie poświęcić na to nie jeden rok pracy i pognać stan chemii w naszym globie. Jednakże nie mamy na to więcej, niż dwie godziny czasu, chce wam jeszcze pokazać jeden z najważniejszych naszych zakładów pracy, w którym wyrabiamy odzież, jak widzicie bardzo prosta. Muszę tu zaznaczyć, że jakkolwiek potrafimy sztucznie otrzymywać wszystko to, co wytwarzają rośliny, to jednak przekładamy nad te sztuczne produkty, nasze smaczne, wonne i pożywe owoce, których pewnie już sami skosztowaliście. Na drodze tak zwanego zjawiska mutacji wytworzyliśmy całkiem nowe gatunki roślin, które nam w obfitości dostarczają zdrowego pożywienia.

Po tych słowach młodzieniec wprowadził obu Ziemiaków do parku, gdzie wznosił się inny obszerny budynek. Była to fabryka sztucznego włókna, zarazem przedziałnia i wytwornia gotowej odzieży.

Przewodnik oprowadził po niej swoich towarzyszy dając im krótkie wyjaśnienia

-Z tej cieczy, która tu widzicie w zbiornikach, otrzymujemy nici daleko lepsze, aniżeli wytwor jedwabnika. Z włókien tych, na automatycznych krosnach wytwarza się ta piękna materia, - dodał wskazując na swój płaszcz szkarłatny. - W następnych oddziałach fabryki, maszyny szyją odzież, a wszystko to odbywa się jak widzicie niemal zupełnie automatycznie. Jest tu tylko kilku ludzi, kontrolujących działalność maszyn, (które poruszamy naszym wilem, postacią energii, wam jeszcze nieznaną). Wszystkie nasze zakłady przemysłowe są całkiem zautomatyzowane i to od wielu tysięcy lat. Pracują one prawie bezustannie, przy znikomym udziale rąk ludzkich. Możemy wytwarzać "wszystko, co tylko wchodzi w zakres naszych skromnych potrzeb, bez żadnego wysiłku fizycznego. Nasza wiedza, nasze maszyny i urządzenia od dawna zdjęły z nas jarzmo ciężkiej pracy fizycznej, które nosi rodzaj ludzki na karku przez tak długie wieki. Mogąc zaspokoić najbardziej wyrafinowane potrzeby materialne, staliśmy się podobni do dzieci, przekarmionych słodyczami; naprzykrzył się nam luksus materialny, te niezliczone wynalazki ułatwiające człowiekowi życie i serca nasze odwróciły się od tego wszystkiego, za czym wy się tak uganiacie. Doszliśmy do przekonania, że to wszystko stworzyło dla nas tylko urojone potrzeby, dlatego dobrowolnie wyrzekliśmy się waszych materialistycznych zdobyczy, z których wy, w waszej naiwności jesteście tak dumni. Materialistyczna cywilizacja przeszła się u nas od dawna i wiercie mi, że epoka w której obecnie my tutaj żyjemy jest daleko wyższym szczeblem kultury, aniżeli wasza. Zwolnieni od pracy fizycznej, mogliśmy zwrócić wszystkie usiłowania dla rozwoju naszych władz duchowych. Przyroda niemal już nie ma przed nami żadnych tajemnic. Otrzasneliśmy się zupełnie z wiezów, jakie nakłada na istoty żywe materia. Może być, że z czasem i wy dojdziecie do tego celu, który my już od dawna osiągneliśmy.

Nie znając tego co to jest walka o byt materialny, staliśmy się istotami nieskonczonymi od was wyższymi, nie dziwcie się więc, że patrzymy na was, jak na jakies niższe twory, bo w rzeczywistości jesteście nimi w porównaniu z nami. Niewiele byście uzyskali pozostając tutaj

na dluzej. Zbyt duzy dystans dzieli nas od mieszkancow "Czerwonego Globu". Nie jesteście zdolni wykonac takiego olbrzymiego skoku z tych nizin, w ktorych przebywacie, na wyzyny, dokad mysmy juz zdolali dotrzec. Zapewniam was tylko o jednym, ze osiagnelismy najwyzszy stan szczesliwosci, jaki moze stac sie udzialem istot smiertelnych. Niech wiec wam to zapewnienie wystarczy. Skoro wrocicie tam, skad zescie przytulili, powiedzcie to wszystkim, lecz zarazem ostrzezcie ich przed zaborczymi planami o jakich marza niektorzy z waszych towarzyszy. Potrafimy je udaremnic srodkami znajdujacymi sie do naszego rozporzadzania. Nawet odkryta przez was niedawno energia atomowa, ktora wam umozliwila podroz na "Core Slonca", jest niczym w porownaniu z silami nam znanymi. Byloby nam bardzo przykro, gdybysmy musieli was o tym przekonac odpierajac wasz najazd.

Przewodnik prowadzil swych towarzyszy z powrotem przez rozlegly ogrod, gdzie mogli podziwiac rabaty wspanialych, nieznanym sobie kwiatow, w porownaniu z ktorymi ziemskie musialy wygladac jak koniczyna przy wspanialej rozy.

Norski nie mogl sie powstrzymac od slow zachwytu.

Pilot usmiechnal sie z zadowoleniem.

-Lubujemy sie w kwiatach - mowil pieszczac reka czerwony kielich jakiegos nieznanego Ziemiom gatunku. - Potrafimy wytwarzac calkiem nowe odmiany a nawet trwale gatunki roslin, ktore przed tym hodowalismy. Roslina stala sie w naszym reku jakas plastyczna masa, z ktorej lepimy nowe formy, czyniace radosc naszym upodobaniom. Mamy artystow projektujacych nowe odmiany kwiatow i botanikow, ktorzy te projekty urzeczywistnia ja. Nie budujemy juz wielkich domow mieszkalnych z kamienia czy metalu, gdyz pobyt w takich klatkach stal sie dla nas od dawna wstretny. Zamieszkujemy juz, jak wiecie w rozleglych ogrodach, powrocilismy bowiem na lono matki natury, bo na nim czujemy sie najzdrowsi i najprzyjemniej. Tylko muzea, fabryki, akademie mieszczą sie w masywnych budynkach; zreszta czeste tutaj trzesienia ziemi niszcza niemilosiernie dzieła architektow.

Powrotna droga do makiety wsrod tego rajy byla dla Ziemiom istna rozkosza. Z zalem niemal znalezi sie na owym obszernym placu, gdzie spoczywala rakietka miedzyplanetarna.

Pilot naglil teraz do pospiechu i kazal zajac wszystkim miejsca w niebieskim statku. Przemowil kilka slow do zgromadzonego tlumu Wenusjanow, ktorzy poslusznie staneli pod murami gmachu. Pilot dal znak do odjazdu. Hobbs puscil w ruch silniki odrzutowe, rozlegl sie szereg szybko po sobie nastepujacych detonacji, ktore wywolaly poploch miedzy tlumem Wenusjanow i rakietka majac wolna przed soba przestrzen wyniosla sie majestatycznie w powietrze i niebawem wspaniala stolica Wielkiego Maga zniknela we mgle oddaleni.

Rozdzial XXVIII

Dwie Ewy w rajy

Po odejściu Gwidona i Toma obie kobiety pozostały same w przeznaczonych im na pobyt pustelni. Margrabina rozglądała się ciekawie po niewielkiej izdebce, która za całe umeblowanie miała dwa tapczany, zasłane miękką jedwabistą pościelą, parę zwyczajnych stolików i niewielki stół z pięknie polerowanego drzewa. W kącie stała bardzo pierwotna umywalnia, bez lustro i żadnych przyborów toaletowych. Cała jej ozdoba była cyzelowana misternie miednicą z białego nieznanego metalu zwanego aurychalkiem. Margrabina obejrzawszy te wszystkie sprzęty skrzywiła się z niesmakiem.

- Ani perfum, ani kawałek pachnącego mydła, ani szczoteczki do zębów, ani przyborów do manicure, ani nawet ładniejszego ręcznika, ale najbardziej mnie dziwi brak lustro. Tutejsi ludzie są, przyznaję, bardzo piękni, jakże więc mogą obejść się bez: zwierciadła, czyżby ich kobiety nie pielegnowały swojej urody tak jak my. Widzę także, że nie ma tu ani radia, ani telefonu, ani nawet szafy na suknie. Doprawdy nie pojmuję jak można być czymś w rodzaju polboga, a obywać się bez tych wszystkich rzeczy, do których myślimy tam na Ziemi przywykli.

Sądząc po urządzeniu tego domku można by ich uważać za jakich abnegatów, anachoretów, jogów indyjskich, którzy obywają się bez wszystkiego. Zamiast odzieży mają na biodrach przepaske, jadają dziennie garstkę ryżu i kilka owoców i to jest ich całe pożywienie.

- Widocznie jest im tak dobrze - odezwała się Fanny. - I u nas ludzie ubodzy żyją nie lepiej jak ci pustelnicy, o których pani wspomina.

- Ale przecież nie są z takiego trybu życia zadowoleni. Marzą o majątku, który by im pozwolił korzystać z tych wszystkich zdobyczy cywilizacji, z jakich korzysta większość ludzi zamożniejszych, a ci Wenusjanie, jak mniemam, mogliby żyć bardzo wygodnie, gdyby tylko chcieli.

- Ale pewnie nie chcą. Te wszystkie radia, fortepiany, patefony, ta modna telewizja, zwariowana muzyka widocznie ich nie nęci. Są szczęśliwi bez tego wszystkiego, bo to nie są zwyczajni ludzie tak jak my, ale aniołowie, którzy jeszcze nie zdążyli dostać się do nieba. Ach jacy są piękni - dodała z zachwytem. - Ten młodszy, przed którym musiałam ukleknąć, to nawet ładniejszy niż pani mąż, margrabia Gwidon.

- Tak sądzisz - odparła kwasno margrabina. - Moja droga, jestem innego zdania, Gwidon to najpiękniejszy mężczyzna nie tylko na Ziemi ale i tutaj na tym dalekim świecie.

- Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o moim Tomie, co pani o swoim mężu.

Margrabina popatrzyła ze swawolnym uśmiechem na swoją pokojówkę i pogroziła jej zartobliwie palcem.

- Obawiam się, że zakochasz się na śmierć w tym czerwonym młodzieńcu.

-Chyba już się zakochałam - odparła Fanny.

-Biedny ten Tam - odparła z tragicznym komizmem margrabina. - Mam jednak nadzieję, że nie posuniesz się w swoich zapalach zbyt daleko.

Fanny zrobiła bezradną minkę.

-Przeczuwam, że będzie mi bardzo trudno oprzec się mu gdyby...

Po krótkiej tej rozmowie obie kobiety opuściły swoją pustelnię, gdzie panował miły chłód i udały się do otaczającego ją ogrodu, wiedzione ciekawością. Chciały przyjrzeć się bliżej życiu mieszkańców tego raju. Arabella wzięła pod rękę Fanny i udały się obie na przechadzkę. Zajrzały do sąsiedniej pustelni, w której zastały młodą kobietę z dwojgiem kilkuletnich dzieci. Mąż jej zrywał owoce z sąsiedniego drzewa i zrewnie wrzucał je do wiszącego na gałęzi koszyka. Kiedy go napelnił, zszedł zwinnie na ziemię i stanął przed kobietami z miłym uśmiechem witając się gestem ręki. Podał im parę świeżych owoców, przypominających kształtem i barwą morele, pachnących i rozplywających się w ustach.

Arabella przyjęła ten poczęstunek i usiłowała nawiązać w telepatycznym języku rozmowę z mężczyzną.

-Gdyż żyjecie tylko tymi owocami, które tu tak obficie rosną - zapytała.

-Bynajmniej - odparł Wenusjanin. - Jadamy także chleb, pieczony z kukurydzowej maki i z innych nasion tutejszych roślin zbożowych. Kukurydza pochodzi z naszej dawnej ojczyzny na Czerwonym Globie, skąd przybyliście niedawno, ażeby poznać Core Słońca. Inne zaś ziarna znaleźliśmy tutaj w obfitości. Mamy swoje pola, na których je uprawiamy, pomagają nam w tej pracy małpoludy przez, nas oswojone.

-Chyba nie bardzo ciężko pracujecie - zawołała Fanny.

-Pracujemy mało, gdyż mamy małe potrzeby. Dbamy więcej o nasze duchowe, aniżeli o cielesne sprawy. Jednak nasze dzieci chodzą do szkoły, uczą się pod otwartym niebem i nie używają ani waszych książek, ani papieru, zmyśliśmy daleko lepsze sposoby utrwalenia naszej wiedzy, aniżeli ziemskie biblioteki. Zdolaliśmy bowiem rozwinąć w sobie i naszym pokoleniu tak doskonałą pamięć, że zastępuje nam ona nasze dawne księgi, których używaliśmy na Atlantydzie. Zresztą przykładamy nie tyle wagę do ilości pojęć, które chcemy wpoić w młode umysły, lecz raczej do ich wartości.

Skonczywszy szkole nasza młodzież poznała już najważniejsze sekrety przyrody, utajone własności roślin, kamieni i metali, rozwija w sobie zdolności, które w nas tak podziwiałe. Już od młodości jesteśmy magami, chociaż przyznaje, że nie wszyscy osiągnęli jednakowo wysoki poziom wiedzy. Najzdolniejsi stają się naszymi przewodnikami duchowymi a nad wszystkimi nimi stoi Wielki Mag, który zawezwał waszych mężczyzn, ażeby stanęli przed jego majestatem w naszej pięknej stolicy. Niebawem wróca stamtąd a wtedy dowiecie się o

waszym przeznaczeniu.

-Dziwna jest twoja mowa - zawolala zaniepokojona Arabella. - O jakim przeznaczeniu mowisz? Czyzbyśmy miały zostac w tej nudnej pustelni na zawsze? Przyznaje, ze umarlabym tutaj, zmuszania wiesc takie skromne zycie.

Mezczyzna pokiwal glowa patrzac z politowaniem na margrabine.

-Widze, ze nawet nie macie nas zrozumiec - westchnal. - Nie przeczuwacie bowiem jacy czujemy sie szczeniwi, bez; tego wszystkiego za czym wy zaczynacie tesknic. To co nas otacza, caly ten swiat materialny, ktory zreszta uwazamy za pielmy, jest jedynie w naszych oczach uluda naszych grubych zmyslow. Zyjemy w nim tylko cielesnie. Dusze zas nasze przebywaja w daleko piekniejszym swiecie nadzmyslowym, ktorego istnienia wy nawet nie przeczuwacie.

-Tak zle znowu nie jest, przeciez wierzymy w dusze niesmiertelna i w zycie pozagrobowe, w Boga, ktorego wy nazywacie Wielkim Duchem Wszechswiata. Zostalismi odkupieni przez Syna Bozego, ktory przed dwoma tysiacami lat zstapil na ziemie z nieba, jako czlowiek poniosl meke, azeby zmazac ciazacy na ludzkosci grzech pierworodny.

-A coz wy rozumiecie pod pojeciem grzechu pierworodnego?

Arabella zmieszala sie nieco.

-Prawde mowiac nie mam o tym dokladnego wyobrazenia, chociaz jestem religijna. Nasze Pismo Swiete utrzymuje, ze pierwsi ludzie na swiecie byli przez Pana Boga osadzeni w raju, ktory mial wygladac tak jak wasze ogrody, gdzie przebywacie. Zakazal im jesc jednak owocow z dwoch drzew, drzewa zywota i z drzewa wiadomosci zlego i dobrego. Pierwsza kobieta Ewa, "za namowa weza, zerwala jednak owoc z drzewa zywota, sama jadla i dala go mezowi swemu, Adamowi.

Przekroczyli oni zakaz boski i sciagneli na siebie gniew Stworcy. Za kare zostali wypedzeni z raju, utracili niesmiertelnosc i musieli prowadzic wraz ze swoim potomstwem taki ciezki zywot, jaki jest udzialem dzisiejszej ludzkosci. Waz podszeptal Ewie, ze skoro zerwie owoc z drzewa wiadomosci zlego i dobrego i z drzewa zywota, to oboje stana sie rowni Bogu i poznaja tajemnice wszechswiata.

Czerwony polbog wysluchal tych slow z lagodnym usmiechem i rzekl.

-Jest to bardzo piekna legenda, ktora odzwierciedla swietnosc i upadek naszej dawnej ojczyzny Atlantydy. Nasi przodkowie osiagneli bardzo wysoki poziom rozwoju, nie tylko swego ciala, ale takze swego ducha. Lecz zgubila ich pycha, ktora ich doprowadzila do samolubstwa. Ten wlasnie demon pychy kusil ich,, azeby zerwali zatrute kwiaty czarnej magii. Zapach ich oszolomil Atlantow, kwiaty staly sie zguba dla tych, ktorzy juz niemal siegali po niesmiertelnosc.

Strzeżcie się kwiatów zła, gdyż zawierają one w sobie największe niebezpieczeństwo dla rodzaju ludzkiego. Ta pycha, która doprowadziła naszych przodków do upadku, to jest według mnie grzech pierwotny, przytłaczający was tam na Ziemi. Myszmy tutaj od dawna wyrwali z korzeniem zgubną dla rodzaju ludzkiego pychę i dlatego Wielki Duch Wszechświata pozwala nam żyć w tym odrodzonym raju w szczęśliwości, której wy może nigdy nie zaznaćcie.

Arabella wysłuchiwała polboga uważnie i rzekła:

-My pojmujemy szczęście całkiem materialistycznie, macie więc nad nami wyższość, szukając go w świecie nadzmysłowym, którego istnienie my zaledwie przeczuwamy. Proszę cię, powiedz mi jak mam postępować żeby je poznać i żeby moja dusza mogła do niego chociaż na chwilę zajrzeć.

-Chętnie spełnię twoje życzenie, piękna Ziemianko. Wskażę ci jak masz stawiać pierwsze kroki, ażeby znaleźć się u jego wrot. Oto poświęć chociaż jedną godzinę swojego czasu dziennie na koncentrację duchową, siedź w ciemności i w spokoju, odrzuć myśli światowe i stana się wniknąć w głębię twojej duszy.

Jezeli będziesz to ćwiczenie praktykowała przez dłuższy czas wytrwale, osiągniesz korzyści, które będą dla ciebie pierwszym stopniem na drodze do doskonałości.

-Czy i ja mogę oddać się tym ćwiczeniom - zagadnęła Fanny.

-Spróbuj siostró kochana. Jest to jedyna droga prowadząca do doskonałości. My znajdując się w stanie ekstazy obcujemy już z Bóstwem Wszechświata i doznajemy najwyższej rozkoszy, do jakiej człowiek jest zdolny na tym materialnym świecie. Ale musicie wytrwać w raz powziętym zamiarze.

-Dzisiaj rozpoczniemy to ćwiczenie duchowe - zawołała z zapalem Arabella zegnając Wenusjanina.

-A teraz musimy się przejść z Fanny po waszym Edenie i przyjrzeć się waszemu życiu.

Kiedy nadszedł wieczór, obie kobiety powróciły do swojej pustelni, ażeby oddać się koncentracji i kontemplacji zgodnie z radą czerwonego ascety. Usiadły w ciemności na dwóch stołkach i pograżyły się w głębokiej zadumie starając się wniknąć jak najgłębiej w siebie.

Nie upłynął jednak kwadrans, kiedy Fanny przerywała zachowywane z trudem milczenie.

-Nie wiedziałam proszę pani, że to tak trudno. Daremnie staram się odegnąć od siebie nieodpowiednie dla tej chwili myśli. On, on i on ciągle stoi przede mną., patrzy na mnie swoimi błyszczącymi oczami, uśmiecha się. Jakże pięknie się porusza, każdy jego krok, każdy gest budzi w moim sercu zachwyt dla jego postaci. Daremnie staram się odpedzić od



siebie ten obraz, to jest ponad moje sily. A pani o czym myslala? - Przyznaje sie, kochana Fanny, ze ja myslalam o Gwidonie. Jaki on byl smutny, kiedy mu kazano sie stad oddalic. Czuje, jak do minie teskni. A i moje serce wyrzywa sie do niego. Kiedyz bedzie mi wolno ujrzec go znowu.

Jeszcze z pol godziny staraly sie obie oddac zaleconemu cwiczeniu duchowemu, lecz pomimo panujacej dookola ciszy, nie mogly jakos skupic sie w sobie. Zapadal juz ciemny zmrok, kiedy drzwi od pustelni rozwarly sie i staneli w nich dwaj synowie maga. Przyniesli oni skromne pozywienie dla pustelniczek, skladajace sie z kukurydzianego placka, ktory jak przypuszczala Arabella, byl upieczony pod popiolem, dzbanka krynicznej wody i kilku garsci jakichs nowych owocow, przypominajacych daktyle, bardzo bowiem slodkich. Ujrzawszy przedmiot swego uwielbienia Fanny zadrzala z radosnego wzruszenia. Chciala ucalowac reke, ktora przyniosla jej posilek, lecz z bolescia spostrzegla, ze piekny polbog wzdrygnal sie od dotknienia jej palcow. Na jago pieknym obliczu odmalowal sie wyraznie wstret i pogarda. Odsunal sie mimo wolnym ruchem i zniknal pozostawiajac w niemej rozpaczyci zawiedziona i upokorzona w swych uczuciach dziewczynie.

-Boze - zawolala z rozpacza, - alez on ma do mnie obrzydzenie, jak do jakiegos nieczystego zwierzecia. I wybuchnela histerycznym placzem.

## Rozdzial XXIX

### Raj wzgardzony

Nazajutrz, po niefortunnej prosbie oddania sie koncentracji i kontemplacji, margrabina i jej pokojowka udaly sie na poranna przechadzke o bardzo wczesnej porze. Kiedy pierwsze promienie slonca wychylily sie z rozowej koronki subtelnych oblokow, rozlegla sie jakas niebianska: melodia, ktora napelnila powietrze calego rajskiego ogrodu. Byl to jak gdyby potezny chor serafinow, wielbiacych pelnymi melodii i uczucia spiewami ukazanie sie Gwiazdy Diennej. Tony te wydobywaly sie tak jak gdyby z glebi sklepienia niebieskiego, nigdzie nie bylo bowiem widac zadnego zrodla, z ktorego mogly one pochodzic.-To i oni maja swoje radio - zawolala naiwnie Fanny.

Margrabini spojrzala na nia lekcewazaco.

-To nie zadne radio, moja droga, to cos stokroc piekniejszego niz koncerty Beethovena albo Bacha, jakies boskie melodie wydobywajace sie raczej z piersi nadludzi, anizeli z jakichs instrumentow. Zdaje mi sie, ze jestem juz w niebie i slysze chory anielskie, wielbiace Wielkiego Ducha Wszechswiata.

-Boga, chciala pani powiedziec.

-Boga, jezeli wolisz, bo oni tak nazywaja po swojemu Stworce Wszechrzeczy i ta nazwa bardzo mi sie podoba.

Była to jak gdyby poranna modlitwa mieszkańców tego Edenu. Kiedy kobiety wyszły ze swej pustelni i udały się w głąb zroszonych nocną wilgocią ogrodów, dostrzegły przed każdą pustelnią siedzące nieruchomo postacie mężczyzn i kobiet, pogrążonych w głębokiej kontemplacji.

-Modła się po swojemu - szepnęła Fanny.

Podkraśla się niesmiało pod siedzibę maga w nadziei, że dostrzeże przedmiot swego uwielbienia i nie zawiodła się. Przed pustelnią na rozłożonych dywanikach siedział dostojny starzec wraz ze swymi dwoma synami. Wszyscy trzej byli pogrążeni w tym tajemniczym stanie duchowym, jakiego przybysze nie potrafili zrozumieć. Na ich twarzach malował się jakiś niebiański spokój i błogość. Nieruchome zrenice utkwione były gdzieś w dalekiej przestrzeni, ciało zachowywało posagową nieruchomość. Stan ten trwał bardzo długo, przynajmniej godzinę, licząc według ziemskiego zegara, po czym polbogowie podnieśli się. Kobiety stały o kilkadziesiąt (kroków od nich, nie śmiejąc się zbliżyć, młodzieńcy tak jak gdyby nie zwracali na nie żadnej uwagi, lecz za chwilę ten, który poprowadził niebieski statek do stolicy Wielkiego Maga, podszedł do margrabiny, powitał ją lekkim skinieniem głowy i rzekł.

-Przyprowadziłem waszą maszynę na dawne miejsce, gdzieście zbudowali swoją siedzibę, tak jak to czynia malpoludy. Wielki Mag wydał już wyrok, a raczej wyjawiał swoją wolę.

-Jakie są jego postanowienia? - zagadnęła zaniepokojona Arabella.

-Możecie pozostać na Corze Słońca, jeżeli wy kobiety zgodzicie się żyć w odosobnieniu od waszych mężczyzn. Nie życzymy sobie bowiem, ażebyście wy wodziли tutaj swoje potomstwo. Nic potrafilibyśmy znieść styczności z wami na czas dłuższy. Żyjecie bowiem w całkiem odmiennym świecie, aniżeli nasz. Nie rozumiecie nas i nie prędko wzniesiecie się tak wysoko, żeby nas pojąć. Wasi mężczyźni niebawem się tutaj zjawia. Usłyszycie z ich ust to co orzekł Wielki Mag i poweźmiecie swoje postanowienia.

-Ja już wiem, co mam uczynić - szepnęła Fanny.

Czerwony polbog uśmiechnął się poblazliwie.

-Pragnelabys tu pozostać moja siostrze, lecz daremne są twoje życzenia. Musicie obie stąd oddalić się, gdyż wasza obecność jest tutaj niepożądana.

Arabella i Fanny pod wpływem tych słów zarumieniły się ze wstydu i oburzenia. Margrabine upokarzała myśl, że ona, najpiękniejsza kobieta w całym Nowym Jorku, jest tutaj na tym dalekim świecie jakas niższa, pogardzana przez czerwonych polbogów istota, skazana na wygnanie z tego raju, w którym snadź niegodna jest przebywać. Fanny zaś nie mogła powstrzymać łez, które cisnęły się jej gwałtem do oczu. Oddalaby wszystko za to, ażeby tylko znajdować się w pobliżu pięknego młodzieńca, który zawładnął tak nagle jej sercem. Stał on w oddali, nie patrząc nawet na biedną dziewczynę, gotowa ukleknąć przed nim, jak

przed bostwem.

Młodzieńcy zniknęli w domu maga, pozostawiając kobiety pod wrażeniem tego, co świeżo usłyszały.

Margrabina wyszła na drogę, ocieniona wspaniałymi kwitnącymi drzewami i trzymając Fanny za rękę, jak małe zapłakane dziecko, szła w kierunku złotej bramy, prowadzącej do nowożytnego Edenu. Nagle krzyknęła radośnie, ujrzała bowiem Gwidona, a obok niego Toma, którzy zbliżali się szybkimi, nerwowymi krokami.

-Byliśmy wczoraj w stolicy Wielkiego Maga - zawołał margrabia. - Ręczył nas przyjąć na posłuchanie, na dziedzińcu swego wspaniałego palacu, wobec którego siedziby naszych królów wyglądają jak kurniki. Nie mogliśmy jednak obejrzeć tego wspaniałego miasta, pełnego niebotycznych gmachów, wyższych aniżeli nasze drapacze nieba, kazano nam się bowiem zaraz po audiencji oddalić. Mieszkańcy miasta mają nas bowiem za Czarnych Magów, którzy ich prześladowali tam na Ziemi nawet w daleko położonych od Atlantydy koloniach, gdzie szukali schronienia. Wielki Mag dał nam do wyboru, wolno jest nam tutaj pozostać nadal, lecz w odosobnieniu od was, albo też wracać na Czerwony Glob, zabierając was ze sobą.

-Wracajmy tedy - zawołała ucieszona margrabina. - Odbiliśmy podróż poślubną, której wszystkie małżeństwa na Ziemi będą nam zazdrościć. Przyznam ci się, Gwidonie, że nie mogę sobie nawet wyobrazić jakbyś tu długo wytrzymała w tym nudnym świecie. Pogardzają oni naszą materialną cywilizację, ale my nie tak łatwo wyzbedziemy się jej darów. Pomyśl tylko kochanie, jak tu żyć. Nie ma ani żadnych wygodnych domów, ani pięknych mebli, ani modnych sukien, bo wszystkie tutejsze kobiety noszą jednakowe powłoczyste, jakby jedwabne szaty, nie mają wyobrażeń o naszych strojach. Nie wiedzą co to moda, nie ma tu ani radia, ani telefonu, ani nawet łazienek, gdzieby można się co dzień wykąpać. Żyją wyłącznie duchem, pogrążeni w jakiejś nieziemskiej ekstazie, która może sprawiać im wielką rozkosz, ale ta przyjemność jest dla nas całkiem niepojęta i niedostępna. Jesteśmy widocznie stworzone eto życia ziemskiego, na łonie materialistycznej cywilizacji, którą oni pogardzają. Nas zaś mają za jakies niższe istoty i traktują niemal jak zwierzęta.

Zanudziłabym się na śmierć, gdyby mnie skazali na dłuższy pobyt w tych ogrodach, bezsprzecznie pięknych, lecz tak dziwnie monotonicznych. Człowiek nie doznaje tutaj, jak sadze, żadnych wrażeń, prócz odurzającego zapachu kwiatów i smaku owoców, których bym za miesiąc do ust brać nie chciała.

-Więc nie zostaniesz tutaj - zawołał uradowany margrabia.

-Talk, wrócimy kochanie do naszego nowojorskiego palacu, o ile tylko nasi towarzysze nie będą mieli nic przeciwko temu. Sadze jednak, że za jakiś miesiąc skończą swoje badania naukowe i zgodzą się wrócić na naszą pocziwą Ziemię.

-A ty Fanny - zagadnal niesmiało Tom zwracając się do narzeczonej.

Dziewczyna stała nieruchomo ze spuszczonej oczami, nie śmiejąc ich podnieść na mechanika.

-Ja tu pozostać ma zawsze - zawołała z mocą, z jakimś wybuchem naglej energii.

-Dlaczego to? - zagadnal Tom błędnie.

-Och, Fanny nie śmie ci tego powiedzieć, ale ja muszę ją zdradzić. Zakochała się w młodszym synu maga.

-Czy tak Fanny? - zagadnal ochryplym głosem Tom.

-Tak - odparła twardo dziewczyna. - Kocham go z całej duszy, lecz on gardzi mną jak jakim nieczystym stworzeniem. Całowałbym jego nogi, ale wiem, że kopnąłby mnie jak natrętnego szczeniaka - dodała zalamując rozpaczliwie ręce. - Nie gniewaj się na mnie Tomie - zawołała chwytając za rękę mechanika - Sama nie wiem jak się to stało; nie panuje nad sobą. Jest to anioł w ludzkim ciele, zdaje mi się czasami, że lada chwila wzniesie się do nieba.

Mechanik patrzył ponuro na niewierną narzeczoną.

-Odepchnął cię, a jednak pragniesz tu pozostać.

-Tak, żeby choć czasami ujrzeć go na chwilę - mówiła szeptem Fanny, pozostająca widocznie pod nieodpartym urokiem swego wybranego.

Mechanik chwycił się za głowę, lecz milczał nie czyniąc najłżejszego wyrzutu tak beznadziejnie zakochanej dziewczynie.

Ten nagły wybuch uczuć nie zdziwił go; miał on bowiem sposobność widzieć kilka kobiet czerwonych polbogów i podziwiać ich boskie rysy i kształty. Nie wiedział jednak jaka powziął decyzję w tym niespodziewanym wypadku, poglaskał tylko lekko rękę Fanny, stojącej przed nim jak obwiniany przed sędzią.

-Wiem mogę iść z tobą Gwidonie? - pytała niecierpliwie Arabella biorąc pod ramię meza.

-Jeszcze nie - odparł margrabia - nasi towarzysze nie powzięli ostatecznej decyzji jak postąpić. Doods chce, tak jak Fanny, pozostać na tej planecie na zawsze, gdyż krwawa katownia, jak nazywa zwykle Ziemię, obrzydła mu ostatecznie, Johnson i Harting chętnie zabawiliby tutaj choćby rok cały w celach naukowych. Hobbs zastanawia się nad tym, czy mu się uda podróż powrotna, leka się, że mu zabraknie ciekłego powietrza, którego tu nie potrafi wyprodukować. Jednemu tylko Croopsowi i Hippingowi grunt tutejszy pali stopy. Boja się, że ich plany są odkryte przez magów i że mogą ich osadzić jako spiskowców przeciw pokojowi tutejszych mieszkańców.

-Zdania są więc podzielone. Co do mnie kochanie nie masz chyba żadnej wątpliwości? Pragnę z tobą powrócić do naszego nowojorskiego gniazdka, które tam na nas czeka.

-Na razie nie wolno nam tutaj dłużej przebywać; jestem szczęśliwy, że cie ujrzałem choćby na chwilę, ale teraz musimy się oddalić. Za parę dni przyniesiemy wam ostateczną decyzję naszych towarzyszy. Zegnaj!

## Rozdział XXX

### Walna narada

Wyrok Wielkiego Maga zakłopotał nie na żarty załogę rakiety. Wszyscy pojmowali, że należy powziąć jakąś stanowczą decyzję i zakomunikować ją czerwonym polbogom. Kiedy więc margrabia powrócił do rakiety, zwołał walną naradę wszystkich towarzyszy. -Nie wiem jakie jest wasze stanowisko - rzekł zagajając posiedzenie - lecz co do mnie, nigdy bym się nie zgodził zostać tu z moją niedawno zaślubioną żoną i dlatego stanowczo głosuję za powrotem na Ziemię w jak najwcześniejszym terminie. Przyznaje, że popełnilismy oboje wielką nieroztropność, biorąc udział w tej szalonej wyprawie. Wina ta podziela Arabella, która zawsze goniła za nowymi, si1nymi wrażeniami i za oryginalnością. Chciała mnie uczynić sławnym, gdyż zdawała sobie z tego sprawę, że nazwiska nasze stana się po powrocie głośne w całym świecie.

-Na kuli ziemskiej, chciał pan powiedzieć - rzucił ironicznie Harting. - Przyzna pan bowiem bez sprzeciwu, że podróż nasza rozszerzyła znacznie świat, który niedawno jeszcze ograniczał się do zamieszkałej przez nas planety, a teraz kto wie, czy nie uda nam się zawedrować nie tylko na Marsa, ale może i na Jowisza.

-Słusznie - rzekł niezmiyszany margrabia, - rozszerzyliście świat. Ale nie o to idzie. Chce stanowczo wracać z żoną na Ziemię i to jak najprędzej. Ci polbogowie traktują nas nie lepiej niż my nasze psy i konie. To poczucie niższości jest dla mnie przynajmniej, nie do zniesienia. Wole być jedynym ze znacznie większych mieszkańców kuli ziemskiej, aniżeli jakaś niższa rasa na planecie Wenus. Moja żona, według jej własnych słów, znudziłaby się szybko pobyt w tym raju. Widocznie nie dorosliśmy do tego, żeby żyć tak jak nasi przodkowie, pierwsi ludzie, Adam i Ewa.

-Kiedy tak - rzekł Hobbs, - musimy zarządzić coś w rodzaju głosowania, jest to bowiem sprawa zbyt ważna, ażeby jednostki o niej mogły decydować. Kto jeszcze? szanownych kolegów pragnie jak najprędzej powrócić na Ziemię?

-Nam obu bardzo zależy na tym - rzekł Hipping kłaniając się w stronę pułkownika. - Musimy jak najspieszniej złożyć raport o tym, cośmy tu widzieli naszemu rządowi, który sam zadecyduje, co dalej ma czynić.

Przypuszczam, że ta planeta zostanie niebawem podbita przez naszą waleczną armię, której jestem tutaj przedstawicielem. Te ostrzeżenia, jakie usłyszeliśmy z ust obu magów, wydają mi się czczymi przechwałkami. Nie zdolają przeszkodzić w wylądowaniu kilkudziesięciu takich statków jak ten, na którym tu przybyliśmy, ani oprzeć się naszym udoskonalonym bombom atomowym. Nie będziemy mogli patrzeć obojętnie tam na Ziemi na to, że ten bogaty, wspaniały i piękny świat znajduje się w rękach kilku milionów próżniaków, którzy żyją tu sobie jak w raju, podczas gdy my borykamy się o zdobycie niedźwiedźnych środków egzystencji.

Według mnie, należy pozostawić kule ziemską rasom kolorowym, nasza zaś rasa biała przenieść się powinna tutaj, gdzie nie ma zimy i gdzie przyroda nagromadziła tyle nieprzebranych skarbów. Wyobrażam sobie jak wspaniale mogłaby się tutaj rozwinąć nasza cywilizacja.

-Która pan zapewne uważa za wyższą od tutejszej? - wtracił Doods z przekasem.

-To trudno - mruknął niezmiyszany Croops. - Ci jogowie muszą ustąpić z tych słonecznych wyzn, gdzie sobie pozakładali czarodziejskie ogrody. Pobudujemy tutaj miasta, nie gorsze od ich stolicy. Zresztą miejsca tu nie braknie, niechby się wyniesli w niższe strefy, które widac nie przypadły im do gustu.

-Jednym słowem - rzekł Johnson, - że wrócimy po to, ażeby zorganizować wielką wyprawę militarnego charakteru dla podbitcia dalekiego świata. Co do mnie, pragnąłbym pozostać tutaj przez jeden rok ażeby zbadać gruntownie faunę i florę, które przecież stanowiłyby ważną podstawę dla przyszłych emigrantów.

-Co, pozostać tutaj przez cały rok? - oburzył się Hipping. - Czy pan obce, żeby te bestie, przed którymi musimy się chronić na drzewach, pożarły nas wszystkich?

-Rozprawia sie z nimi nasi waleczni lotnicy przy pomocy bomb atomowych, ktore w ciagu tygodnia oczyszcza teren z tego plugastwa - zawolal Croops.

-A pan, doktorze? - zapytal Hobbs Norskiego, ktory dotad zachowywal milczenie.

-Ja - odparl chemik, - glosuje za powrotem na Ziemie, ale chce przy tej sposobnosci zapytac szanownych kolegow, czy mamy przyjac od Wielkiego Maga niebezpieczny dar, ktory nam chce ofiarowac?

Juz dzisiaj chemia otwiera przed nami perspektywy ziszczajace marzenia sredniowiecznych alchemikow. Mozemy zamieniac pierwiastki jedne na drugie, jak na przyklad a platyny produkowac zloto. W tym sek jednak, ze jak dotad, jestesmy w stanie zamieniac pierwiastki ciensze na lzejsze, przez odbieranie im pewnej ilosci protonow, neutronow i elektronow. Skoro tak sie rzeczy maja, nie mozemy zelaza przerobic na zloto. Mnie pierwszemu powiodla sie otrzymac ciezszy, mam tu na mysli ciezar atomowy, pierwiastek z lzejszego i dac wam metauran, dzieki ktoremu znalezlismy sie tutaj. Wedlug mnie jednak bylby to dar niebezpieczny, zarowno dla tego, ktory go daje, jak i dla tego, ktory go otrzyma.

-Wlasciciele zlota, nasi magnaci z Wall Street postaraliby sie na pewno pana zlikwidowac, jak tylko by sie dowiedzieli, ze posiada pan sekret otrzymywania zlota z piasku - zadrwil Doods. - I slusnie, bo moglbys pan ich uczynic nedzarzami. Wyobrazam sobie, jaka by pan urzadzil rewolucje tam na Ziemie, obalajac tego zlotego cielca, ktorego czcza tam u nas bardziej niz swietego.

-Wlasnie o tym wszystkim myslalem - mowil Norski - i doszedlem do przekonania, ze nalezy ten niebezpieczny dar odrzucic.

-Nigdy sie na to nie zgodze - zawolal Croops. - Wszak mozna by wyprodukowac pewna ograniczona ilosc tego cennego kruszcu, napelnic nim kasy naszego banku narodowego a potem zaprzestac go wyrabiac, azeby nie wywolac inflacji

-Nikt nam chyba nie przeszkodzi - mruknal Hipping - zabrac stad glowice tych kolumn, ktore widzieliscie w swiatyni; nalezy nam sie przeciez jakas nagroda za poniesione trudy i niebezpieczenstwa.

-Nie podejmuje sie tego wiecej zabrac, jak dwie albo trzy tony - wtracil Hobbs - moja rakietka nie udzwignelaby wiecej.

-To malo, bardzo malo - narzekal Hipping.

-Coz wiec miara odpowiedziec Wielkiemu Magowi - pytal zaklopotany Norski.

-Wez pan od niego ten alchemiczny przepis i zachowaj starannie - radzil margrabia. - Kto wie, czy nie zajdzie potrzeba zrobienia z niego uzytku.

-Chocby dla podzwigniecia zubozonej arystokracji - syknal Doods. - Co do minie, pozostane tutaj, o ile mi w tym nie przeszkodza magowie, - dodal. - Pobyt na naszej Ziemi juz mi obrzydyl doszczetnie. Chciwosc, okrucienstwo, egoizm, te ciagle wojny prowadzone dla niskich celow - mam tego dosyc.

Koniec koncow zapadla wiekszoscia glosow nastepujaca uchwala: Wszyscy czlonkowie wyprawy, z wyjatkiem Doodsa i zakochanej Farmy, w moziwie najblizszym czasie opuszczaja Wenus i wracaja na Ziemi, o ile nie natrafia na przeszkody nie dajace sie pokonac.

-Czy mozesz, inzynierze, wystartowac za jakis tydzien? - pytal niecierpliwie margrabia.

-Jezeli mam powiedziec prawde - odparl Hobbs - to sie obawiam, ze moze nam w powrotnej podrozy zabraknac powietrza do oddychania, nie mozemy bowiem tutaj skroplic tlenu, z braku niezbednych po temu maszyn. Chyba, ze doktor Norski podejmie sie wytworzyc ten zyciodajny gaz w jakis inny sposob.

Chemik zamyslil sie gleboko.

-Zdaje mi sie - odparl - ze to sie da zrobic.

-W takim razie wracamy na nasza stara, kochana Ziemi, ktora tutaj nazywaja Czerwonym Globem - wolal ucieszony Gwido - Zaraz jutro sprowadzam tu moja Arabelle, no i ta wariatke Fanny, ktora juz moze otrzezwiata.

## Rozdzial XXXI

### Raj i Ewa

Arabella rozstawszy sie z mezem wrocila do swoje) pustelni wraz z Farmy. Jakos automatycznie zajrzana do swojej wspanialej torby ze sikory weza, z ktora nie rozstawala sie dotad od chwili wyjazdu. Machinalnie zaczela przegladac jej zawartosc, nakarminowala sobie wargi, przyczernila w lusterku brwi, nalozyla misternie cienka warstwe rozu na policzki, jednym slowem, tak jak zwykle dawniej to czynila, urobila sie na piekna. Zwierciadelko powiedzialo jej, ze nieco zmizerniala, prawdopodobnie z braku miesnych posilkow, do ktorych byla przyzwyczajona. Westchnela lekko wyciagajac kilkanascie kartek swego pamietnika, ktory pisala co kilka dni, zwierzajac mu sie ze swoich mysli, przezyc i marzen. Wieczne pioro, ozdobione wielkim szafirem, bylo gotowe do pisania. Piekna margrabina usiadla przy skromnej umywalni i postanowila utrwalic swoje wrazenia z pobytu w raj, bo nie wiedziala na razie, jak spedzic dzien. Przez kilka nastepnych dni w oczekiwaniu powrotu meza, ktory mial jej zakomunikowac powzieta przez towarzyszy decyzje, kreslila kilkanascie wierszy w pieknie oprawnym w tloczona sikore zeszyte.

Oto kilka urywkow z tego pamietnika Ewy, zmuszonej przebywac w raj.



"Obserwuje te biedna Fanny, zal mi szczerze tej ladnej dziewczyny, gdyz widocznie znosi oma meki iscie tantalowe. Zrobila sobie otworek w scianie naszej pustelni i ciagle przy nim przesiaduje wypatrujac przedmiotu swej gwaltownej milosci. Wstydzi sie snadz biedactwo tak otwarcie interesowac sie czerwonym polbogiem, wiec sie ukrywa z tymi objawami ciekawosci... Jezeli tylko uda sie jej ujrzec, chocby na krotka chwile, pieknego mlodzienia, to blednie i rumieni sie na przemian; slysze niemal kolatanie jej serca.

Wczoraj - powiedziala mi:

-Chcialabym go prosic, zeby mnie chocby przyjal na sluzaca. Zrywalabym dla niego owoce i przynosilabym je w koszu tak, jak te malpoludy. Jedno jego spojrzenie byloby dla mnie najwieksza nagroda za najciezsze nawet trudy. Dzis rano chcialam mu przyniesc wody z krynicy, weszlam do jego pokoju i zamierzalam pochwycic dzbanek, lecz przeszkodzil mi w tym stanowczo. Moj Boze, czyzby sie otrul woda, ktora ja mu bym przyniosla. Odeszlam ze lzami w oczach. Nie przemowil do mnie ani jednym slowkiem. A jednak on musial juz odgadnac, co sie we mnie dzieje. Czyz czlowiek moze odpowiadac za swoje uczucia? On wie na pewno, ze go pokochalam nad wszystko, lecz snadz pogardza moja miloscia i to mnie doprowadza do rozpacz. Przyznam pani, ze mi najgorsze mysli przychodza do glowy. Czuje, ze nie moglabym zyc z dala od niego, coz wiec poczne, jezeli mi kaze stad odejsc. Sama poszlam po wode dla nas do miejsca skad ja wszyscy czerpia. Jest to wielki zbiornik, wykuty z jakiegos barwnego kamienia, ozdobiony fontanna, z ktorej tryska strumien czystej jak lza wody.

Wszyscy ja nabieraja w kubki i zaraz na miejscu ze smakiem wypijaja. Nieco dalej jest naturalne kapielisko. W wielkim alabastrowym basenie, do ktorego splywa woda z goracego zrodla, wszyscy obmywaja sie rano i wieczorem, zachowujac przy tym wielka powage. Ja bym sie tak wstydzila, prosze pani, ale xi nich to talki widocznie zwyczaj. Wszyscy sa slicznie zbudowani, zarowno mezczyzni, jak kobiety, darmo szukalbys tutaj jakiego garbusa, albo kaleki; sila i zdrowie tryska z kazdej postaci. Przeciez podobno zadnych chorob tutaj nie znaja.

Podejrzewam, ze Fanny czesto tam chodzi w nadziei, ze ujrzy swego polboga.

-----

Ta moja Fanny, to bardzo przystojna dziewczyna, wybrana sposrod tysiac. Sprawialam jej swoim kosztem najladniejsze sukienki, chodzila do manicure i do fryzjera w Nowym Jorku, tak jak bogate damy. Przyznaje, ze lubie sie otaczac pieknymi, szykownymi ludzmi. A tutaj biedactwo choc ma na sobie modny kostium, ktory jej uszyla moja wlasna krawcowa, nie ma najmniejszego powodzenia. Nie tylko jej ideal, ale zaden inny mezczyzna nie zwraca na nia najmniejszej uwagi, czasami tylko przypatruja sie jej z ciekawoscia, pomieszana z pogarda, tak jak jakiemu zwierzatku, ktore sie tu przyblakalo z puszczy. Bardzo mnie to boli, ze i wzgledem mnie zachowuja sie tak samo obojetnie, mam przeciez na sobie piekny sportowy kostium, ktory lezy jak ulany. Pochlebiam sobie, ze jestem jedna z najladniejszych

kobiet w Nowym Jorku, a jednak...

-----

Dzisiaj Fanny miała chwilke blogiej szczesliwosci. Obaj synowie maga przyszli jak zwykle do naszej pustelni, przeniesli nam ten obrzydliwy placek kukurydziany i koszyk niezwykle smacznych owocow, ktorych jeszcze nigdysmy nie kosztowaly. Sa to jak gdyby duze kokosowe orzechy o bardzo miekkiej skorce, zawierajace dosc rzadki miekisz, który smakuje tak, jak najlepszy krem.

Kiedy Hanny stala cala zaploniona i drzaca ze wzruszenia, jej polbog usmiechnal sie do niej laskawie. Jego brat wydal minie sie jeszcze piekniejszy, anizeli przedmiot milosci Fanny. Prawie wszyscy tutaj mezczyzni sa nad wyraz urodziwi, posiadaja nie tylko regularne rysy twarzy, ale nadzwyczaj harmonijna, wprost posagowa budowe ciala. Daremnie oko szuka w nich jakiegos defektu fizycznego, zreszta to samo mozna powiedziec o ich kobietach, przypominajacych posagi Wenery z Kapitolu rzymskiego. Nie dziwie sie wiec, ze tak sie podobaja mojej Fanny. Ale w moim sercu nie ma miejsca na zadne uczucie procz milosci dla Gwidona, który jest piekny jak starozytny Antynous. Jednakze czasami przychodzi mi chetka uwiesi jednego z tych polbogow, daleka jestem od tego, zeby snuc jakas zdrade malzenska przeciwko mojemu ukochanemu Gwidonowi, ale jestem jak kazda kobieta prozna, chciwa holdow. W Nowym Yorku bylam zawsze otoczona mnostwem szczerych i nieszczerych adoratorow. Jedni kochali sie we mnie bezinteresownie,, drudzy polowali na moje miliony, tak czy owak zylam w atmosferze uwielbienia, ktorej mi dzisiaj brak. I pytam nieraz sama ciebie, czy na tym dalekim swiecie ma znajdzie sie mezczyzna, zdolny ocenic moja pieknosc, bo o zloto tutaj nikt nie dba, wiec milosc polboga bylaby calkiem bezinteresowna. Czy i ja bylabym tak odtracona jak moja biedna Fanny?

Spojrzałam mu zalotnie w oczy, kiedy mnie podawal te wyborne orzechy i pokazywal jak dostac sie do aromatycznego jadra.

Podal mi nawet miała złota lyzeczke i pokazal jak nalezy spozywac owoc. Lecz niestety nie odpowiedzial mi na te niewinna zaczepke, na jego twarzy nie znac bylo zadnego wzruszenia. Ale nie daje za wygrana. Kochany moj Gwidonie, mozesz byc spokojny, twoja mloda zoneczka nie da sie usidlic, po prostu chce poznac sile swoich pazurkow. Czulabym sie wprost nic szczesliwa gdybym byla tak samo potraktowana jak ta biedna Fanny, ale przeciez jest miedzy nami duza roznicza.

-----

Coraz bardziej dochodze do przekonania, ze my kobiety jestesmy tylko oredowniczkami zycia ziemskiego, ze jestesmy stworzone dla milosci, ktora przenika az do najtajniejszych zakamarkow naszej istoty. Nie bylo nigdy i zapewne nie bedzie do konca swiata kobiety filozofa, kobiety prawodawcy, zalozyciela nowej religii, ani nawet wielkiego malarza, tak jak Corregia, albo Rafael. Uprawiamy muzyke, ale nie ma miedzy nami zadnego wielkiego

kompozytora. Nieraz się nad tym zastanawiałam, ale dziś widzę, że zadanie nasze jest równie ważne jak sztuka i nauka, wszak dać życie młodym pokoleniom, wychowujemy nasze dzieci na ludzi wartościowych. Widzę teraz, że miłość to jest nasze państwo, w którym królujemy, nie żyłam póki nie poznałam mojego Gwidona. Bogactwo, zbytek niezdolne były stać się wyłączną treścią mego życia, były to tylko środki dla osiągnięcia właściwego celu, a celem tym stało się dla mnie małżeństwo z moim wybranym; osiągnęłam szczęście. Kiedy sobie uprzytomnia, że odbywamy naszą podróż poślubną, to widzę jakie wielkie głupstwo popełniłam, biorąc udział w tej wariackiej wyprawie. Nie lepiej było pozostać tam na Ziemi, jeździć z Gwidonem wygodnym autem po całej Ameryce, zazywać słodkiego sam na sam na łonie pięknej natury, a potem wrócić do naszego wygodnego gniazdka. Tutaj zaś nie mamy po prostu gdzie się podzić, musimy koczować jak małpy na drzewach, zamiast mieszkać w luksusowym hotelu, gdzieś w górach, a tu na dobitek rozłączyli mnie z moim ukochanym i osadzili w tym rajskim ogrodzie, przyznaje bardzo uroczym, ale niestety to otoczenie całkiem do mnie nie pasuje. Słusznie któryś z naszych kolegów powiedział, że czujemy się tutaj jak zwierzęta na Ziemi między ludźmi. Nie rozumiemy tych polbogów, a oni traktują nas jak jakieś niższe istoty, którymi się nawet brzydzą tak jak my ludozercami. Ładna sytuacja, ale ja, margrabina Arabella Ramini, nie będę tak traktowana jak Fanny. Pozbędę się tego kompleksu niższości, który tak gnębi Gwidona i naszych towarzyszy. Znam swoją wartość i dlatego...

-----

Dzisiaj spodziewam się ujrzeć go znowu. Nie tęsknię do niego bo kocham tylko Gwidona ale irytuje mnie jego obojętność udana czy naturalna. Tak rzadko spotykałam mężczyzn niewrażliwych na moją urodę. A tu...

Staram się zwrócić na siebie uwagę ale jak dotąd daremnie. Kiedy przynosi mi i Fanny wieczorny posiłek, który zaczyna mi się okropnie przejadac, przyglądam mu się dyskretnie ale uważnie.

Nie ma więcej aniżeli dwadzieścia parę lat. Jego brat jest cokolwiek młodszy. Obaj są, każdy w swoim rodzaju, piękni jak prawdziwi bogowie starogrecy. Mają rzymskie proste nosy, usta precyzyjnie wykrojone i takie, (powiedziałabym), zmysłowe, że chciałoby się ich dotknąć rozpalonymi wargami. Cera ich przypomina świeżo zerwaną brzoskwinię, gładka jak aksamit, rumiana i pokryta delikatnym puszkim. Ale nie widziałam tu ani jednego mężczyzny z zarostem. Czyżby stał się omd tutaj przeżytkiem, albo zanikł skutkiem klimatu czy z innych powodów. Może mają środki usuwania go raz na zawsze. Albo może ludzie na tym dalekim świecie rozwijają się fizycznie znacznie później niż na Ziemi. Przecież Wielki Mag utrzymuje, że ludzie żyją tu po kilkaset lat. W takim razie ci dwaj młodzieńcy są jeszcze dziećmi...

Lecz są doskonale zbudowani silni, rozumni...

Nie dziw się biednej Fanny, że się w tym młodszym zakochała na zaboju.

Ja nie, bo wole Gwidona, ale przyznac musze, ze mi sie bardzo podoba...

Uśmiecham sie do niego ale on odwraca wtedy oczy. Nie chce po prostu na mnie patrzec. Czy ogarnia go wstret ku mnie, czy tez leka sie mnie? Czuje, ze zaglada w glab mojej istoty i nie ufa mi.

-----

Nie mam czasu, musze szybko zwyciezyc jego obojetnosc. Jutro albo pojutrze Gwido minie stad zabierze. Kiedy obie spacerujemy po tym czarodziejskim ogrodzie nigdy nie staral sie nam towarzyszc. Odprawia godzinami te swoje nieme modly, zapada w jakis dziwny stan, siedzi z podwinietymi nogami na sposob wschodni i pograza sie w stan blogosci. Wowczas jest jakby oderwany od swiata, nie widzi i nie slyszy co sie wokolo niego dzieje. Czasami wydaje mi sie, ze dostrzegam jakas subtelną aureole nad jego glowa. Ale moze to zlodzenie. Fanny widzi ja takze. Dzis nie mogla sie powstrzymac, zeby nie pasc na kolana przed swoim wybranym. Zlozyla rece jak do modlitwy, byla wniebowzieta. Lekam sie, ze popadnie w obled. Nie przypuszczalam, ze ta prosta dziewczyna jest zdolna do takiego idealnego, ale gwałtownego uczucia.

-----

Daremnie sie ludzilam. On wezwal nas obie do siebie i w obecności tego starszego maga, który chyba jest jego ojcem, powiedział mi kilka gorzkich słów w tym bezdzwiecznym, ale doskonale rozumianym języku.

-Wiedz - umowil, - ze na naszej planecie, która od dawna stala sie nasza druga ojczyzna, obluda jest nieznaną. Potrafimy bowiem czytac nie tylko w myslach ale takze w sercach, Twoje serce, piekna Ziemiąko, jest niepodzielnie oddane mezowi, dlaczegoz wiec usilujesz wzbudzic milosc w innych mezczyznach? Twoja proznosc kaze ci interesowac soba tych, ktorzy w gruncie rzeczy sa dla ciebie obojetni. Przejrzalem twoja niska gre. Nie prowadz jej dalej, jezeli nie chcesz byc bardziej jeszcze pogardzana, anizeli bylas dotad.

Przyznaje, ze stalam przed nim jak pod pregiierzem. Zawstydzilam sie mojej kokieterii i glupiej proznosci, która kazala mi udawac jakies uczucia, nie zrodzone jeszcze w moim sercu.

Pochylilam glowe i sluchalam w milczeniu.

-Milosc u nas to swiete uczucie, majace na celu przedluzenie naszego fizycznego bytu. Nikt tu z nim nie igra, ani nie uzywa go do osiagniecia niskiej zmyslowej rozkoszy, której raczej nalezy sie wstydzic, gdyz czyni nas ona podobnymi do zwierzat.

A naszym najwyzszym, dazeniem jest wylamac sie jak najbardziej z tego swiata grubych wrazen zmyslowych, azeby przebywac w piekniejszym swiecie nadzmyslowym.

-Nie pojmuje tego swiata - rzeklam zarumieniona. - Otworz mi do niego chociaz malenka furteczke, gdyz, przyznaje, jestem bardzo ciekawa znalezc sie w nim chocby na krotka chwile.

-Watpie czy bys chciala w nim dlugo przebywac, moja siostro. Jestes bowiem nie przygotowana, azeby doznac takiego szczescia.

-Dlaczego nazywasz go nadzmyslowym - spytalam.

-Bardzo mi trudno ci na to odpowiedziec - mowil zaklopotany widocznie. - Jest on nadzmyslowym, gdyz zmysly nie sa zdalne do poznania go.

Jezeli czytam z zamknietej ksiegi albo widze, to, co sie dzieje z dala ode mnie, czyz moje czyny odgrywaja tutaj jakas role?

Widze oczyma mojej duszy i to wlasnie znaczy przeniesc sie w swiat nadzmyslowy.

Musialam snadz miec mine dziecka, ktore nie rozumie ani slowka x tego, co mowi nauczyciel, gdyz usmiechnal sie poblazliwie.

-Czy ten przyklad nie wystarcza ci, siostro?

-A jak to sie dzieje, ze odgadujecie nasze mysli i uczucia?

-Musialabys oddac sie z wielka wytrwaloscia cwiczeniom wstepnym, co jest, jak widzie, zupełnie dnia ciebie niemozliwe. Poprzestan wiec na zapewnieniu, ze ten niedostepny dla was swiat nadzmyslowy istnieje i ze wolimy przebywac w nim,, niz w tym zmyslowym, ktory otacza nasze cialo.

Potrzebowalismy bardzo dlugich wiekow, azeby go poznac. Za pare tysiecy lat moze osiagniecie w czesci przynajmniej te uzdolnienia, ktore my juz posiadamy, wowczas bedziecie mile widziani na "Corze Slonca". Lecz dzis za wczesnie sie tu wybraliscie i dlatego musicie stad odejsc.

-Ale ja - wtracila niesmiato Fanny - czy nie moglabym tu pozostac? Bede wam sluzyla jak te malpoludy, bede codziennie przynosila kosz owocow, ktorymi sie karmicie, nic za to nie zadajac.

Mlodszy z braci uslyszawszy te slowa, zbлизyl sie do Fanny z przyjaznym usmiechem.

-Uczucie, ktore zywisz dii a mnie, - rzekl - jest czyste i bezinteresowne i dlatego zywie dla ciebie szacunek - rzekl poruszajac lekko ustami, - lecz niestety nie moge w najmniejszym stopniu jego podzielic. Niebawem pojme za zone jedna z naszych siostr i dlatego najlepiej uczynisz wracajac na "Czerwony Glob", skad wszyscy przybyliscie.

Biedna Fanny, patrzyłam na nią ze współczuciem. Zbladła jak płotno usłyszawszy ten wyrok. Uklekła -zasłaniając dłońmi oczy pełne łez. Była przybita, zmiażdżona, widząc jak ostatnia iskra nadziei, tkwiąca w jej sercu, zgasła nieodwołalnie. Pozostała w tej rozpaczliwej pozycji, nawet wtedy, kiedy trzej magowie oddalili się.

Dotknęłam łagodnie jej ramienia. Spojrzała na mnie z taką rozpaczą, że ogarnęło mnie przerażenie. Podniosłam ją i dałam jej napić się zimnej wody. Nie mówiła nic, lecz wiedziałam w jakim stanie znajduje się jej dusza.

I ja czułam się upokorzona, lecz nagle zrozumiałam, że stoję daleko niżej od tej dziewczyny, doświadczającej prawdziwego i czystego uczucia miłości, podczas gdy ja chciałam odegrać tylko lichą komedię dla zaspokojenia swej wrodzonej ambicji kobiecej.

Byłam oburzona na pięknego młodzieńca, który tak nielitościwie i brutalnie niemal odepchnął to serce, które zabiło gwałtownie dla niego.

Tak, ci półbogowie nie są już ludźmi zwykłymi tak jak my, pogardzają ziemską zmysłową miłością, którą, jak sami to utrzymują, poniżej ich i przypomina te czasy, kiedy byli jeszcze zwierzętami. A jednak mają żony i dzieci. Czyżby więc i oni byli obludnikami? Czuje, że dużo stracili w moich oczach z tej sympatii, jaką dla nich żywiłam. Zaczynam ich nienawidzić. Dlaczego okazują nam taką pogardę, czyż na to zasługujemy?

## Rozdział XXXII

### Szalenstwo Fanny

Arabella przez resztę dnia pocieszała jak mogła nieszczęśliwą Fanny, lecz dziewczyna puszczała mimo uszu te wszystkie słowa, które miały wprowadzić spokój do jej duszy. Apatycznie spoglądała przed siebie, łzy przestały zraszać jej blade policzki. Kiedy słońce zaczęło się zniżać, Fanny jak automat pochwyciła dzban z aurychalku i nic nie mówiąc opuściła pustelnię. Margrabina nie dziwiła się, gdyż dziewczyna codziennie przynosiła świeżą wodę ze źródła, ozdobionego fontanną. Sama usiłowała pograć się w stanie kontemplacji, jak i zalecał jej niedawno jeden z mieszkańców pustelni sąsiedniej, lecz daremnie.

Mysł jej była zajęta codziennymi sprawami a serce było rozgoryczone postępkiem idealu Fanny.

-Pycha, jak mówił mi pustelnik, była tym pierwotnym grzechem, który popełnili przed wiekami mieszkańcy Atlantydy. Ale czyż ci półbogowie, zamieszkujący "Core Słońca", naprawdę zdolali wyrwać z korzeniem ten chwast ze swej duszy? Przecież nic innego, jak tylko pycha kazała pięknemu młodzieńcowi odepchnąć nielitościwie Fanny, która zapalała don gwałtowną i bezinteresowną miłością, gotową na wszelkie poświęcenia.

Tutejsi mieszkańcy są w porównaniu z nami wysoko rozwinięci duchowo i moralnie, ale czy to upowaznia ich do traktowania nas, zwykłych ludzi, jak jakichś niższych istot, do

pogardzania nami jak jakimis nieczystymi zwierzetami. Nie pozbyli sie snadz zupełnie tej pychy, ktora prowadzi ich do samoubostwienia. Ta wadia ich charakteru ujawnila sie w ich postepowaniu wzgledem nas obu, mnie i Fanny.

Kiedy margrabina rozwazala rozgoryczona postepowanie synow maga, dostrzegla, ze obaj wyskoczyli nagle ze swojej pustelni z wyrazem najwyzszego przerazenia na pieknych twarzach. Mlodszy podbiegl do Arabelli pytajac.

-Gdzie sie znajduje twoja sluzebna, piekna Ziemianko?

-Poszla z dzbankiem po wode do zrodla - odparla zaniepokojona margrabina.

-Ach nie, w duszy tej kobiety zrodzily sie niebezpiecznie zamiary.

-Niebezpieczne? - powtorzyla Arabella.

-Widze ja - mowil mlodszy syn maga - kleczy nad brzegiem glebokiego basenu, dokad splywa woda zrodlna. Och!

Po tych slowach mlodzieniec zaslonil sobie oczy obiema rekami i pobiegl jak szalony w kierunku, w ktorym oddalila sie Fanny.

Brat i Arabella nasladowali go. Zrodlo znajdowala sie o jakies tysiac krokow od pustelni i niebawem wszyscy troje znalezi sie przy alabastrowym basenie, skad czerpano wode do picia.

Na krawedzi stal pusty dzban zabrany przez Fanny z pustelni, lecz dziewczyny nie bylo. Mlody mag przechylil sie badajac wzrokiem krysztalowa ton i po chwili dostrzegl cos, co go przerazilo do najwyzszego stopnia. Kilkoma szybkimi ruchami zrzucil z siebie szkarlatna szate i zanurzyl sie w plynnych krysztalach.

Arabella sledzila go przerazona.

-Tam jest Fanny - zawolala - widze jej jasna suknie, szalona. Popelnila samobojstwo - dodala zwracajac sie do drogiego mlodzienia.

-Nic podobnego nie zdarzylo sie u nas od niepamietnych czasow - odparl nachmurzony mlodzieniec. - Uwazamy to za taka sama zbrodnie jak zabojstwo, lecz nie ma miedzy nami ludzi, ktorzy by pragneli skrociec sobie zywt, dany nam przez Wielkiego Ducha Wszechswiata.

W tej chwili ukazal sie na powierzchni ratownik trzymajacy w objeciach blade jak marmur cialo Fanny. Wspolnymi wysilkami wydobyto je z wody i ulozono na obmurowaniu basenu. Arabella spogladala z bolesciami na spokojne, zastygłe już rysy nieszczesnej, pchniętej do tego rozpaczliwego kroku przez zawiedzioną miłość. Lecz młodzieńcy nie wydali się jej

rownie jak ona przerazeni. Obaj dzwigneli ciało Fanny i sprezystym krokiem wracali do swej pustelni; wnieśli topielice do wnętrza i zamknęli szczelnie drzwi za sobą, pozostawiając margrabinę sama. Chciała wejść do środka lecz nie wpuszczono jej.

Coż to miało oznaczać?

Właśnie margrabina daremnie szukała odpowiedzi na to pytanie, gdy posłyszała swoje imię; jakaś ręka dotknęła jej ramienia.

-Arabella, to ja, twój Gwido, przyszlismy tutaj razem z Tomem, ażeby was zabrać, gdyż niebawem wracamy na Ziemię - zawołał.

Odwrocił jej głowę, ażeby złożyć na jej czole powitalny pocałunek, lecz spostrzegłszy jej bladłość i rozpacz przelakł się.

-Co tu się stało? - zawołał Tom, - gdzie jest moja Fanny?

Margrabina milczaco pokazała na zamknięte drzwi pustelni.

Mechanik ze sztucerem w ręku przyskoczył i uderzył kolbą w drzwi.

Margrabina powstrzymała go błagalnym gestem.

-Ona, ona... nie żyje - zawołała z rozpaczą.

-Zamordowali ją? - krzyknął groźnie Tom.

-Och nie, nie byłoby zdolni do czegoś podobnego. Utopiła się sama - tłumaczyła Arabella. - Zdaje mi się, że starają się przywrócić ją do życia, niestety nie mam nadziei, żeby się to im udało.

-Ale ja muszę ją zobaczyć - wołał na wpol już przytomny z gniewu i rozpaczony mechanik.

-Nie przeszkadzaj im - radził Gwido. - Czy długo Fanny znajdowała się w wodzie?

-Kilkanascie minut najwyżej - odparła margrabina. - Poszła zaczerpnąć wody ze źródła...

-Może to przypadek - pytał skonsternowany margrabia.

Margrabina potrząsnęła przecząco głową.

-Nie sadzę - rzekła cicho.

-A więc sama odebrała sobie życie, dlaczego? Czyłby jej wyrządzono jaką krzywdę?

-Nie - tłumaczyła Arabella - oni niezdolni są do tego. Lecz Fanny została odtrącona, jej



wybrany oświadczył wyraźnie, że nie podziela jej uczuć a wtedy biedna Fanny...

W tej chwili drzwi pustelni rozwarły się i ukazał się w nich stary mag. Na jego twarzy jasniał uśmiech zadowolenia.

-Pociesz się młodzieńcze - rzekł zwracając się do Toma. - Rozporządzamy środkami zdolnymi przywrócić życie tym, którzy bardzo niedawno z nim się rozstali. Twoja dziewczyna niebawem stanie przed tobą tak, jakby nigdy jej się nic nie stało.

Mechanik patrzył na maga, jak gdyby nie rozumiał jego słów. Starzec położył łagodnie rękę na jego głowie.

-Czy bardzo ją kochasz młodzieńcze? - zapytał.

Mechanik w milczeniu skinął głową.

-Mój syn - mówił dalej mag, - nie dość subtelnie postąpił z tą dziewczyną.

-W jego sercu są jeszcze ślady pychy, która jak słyszałam przywiodła Waszych przodków atlantydzkich do upadku. Czy ta biedna i szczerą dziewczyną nie powinna być traktowana z najwyższą delikatnością? Odepchnięto ją zaś nieco bezwzględniej, nieprawdaz ojciec - odezwiała się Arabella.

-Niestety, muszę ci przyznać słusność, piękna Ziemianko - odparł stary mag. - Odpokutuje on za ten grzech, który względem niej popełnił. Całe szczęście, że odczuł w samą porę zamiary samobójcze. Gdyby się spóźnił z ratunkiem, nie zdolalibyśmy już jej przywrócić do życia. Byłoby dla niej najlepiej, gdyby zapomniała o swoim nieodwzajemnionym uczuciu i czynie, który popełniła w napadzie szalenstwa. Potrafię wymazać z jej świadomości to przeżycie, jeżeli sobie tego życzysz młodzieńcze - dodał zwracając się do Toma.

-Ale czy to możliwe - zagadnął sceptycznie mechanik.

-Poznalismy wielce skomplikowaną działalność mózgu ludzkiego i jesteśmy w możności to uczynić.

-Jeżeli tak, to proszę o to wielkie dla mnie dobrodzieństwo.

Stary mag powrócił do pustelni i zabawił tam kilkanaście minut, po czym ukazał się w towarzystwie bladej jeszcze, ale już przytomnej Fanny.

-Miałas przykry sen, moje dziecko - rzekł do dziewczyny - nawet utraciłaś na chwilę przytomność, ale to już minęło. Jak się obecnie czujesz?

-Dobrze - odparła dziewczyna.

-W takim razie zabieramy cię ze sobą, gdyż mamy niebawem powrócić na Ziemię.

Tom uscisnal Fanny goraco za reke i zlozywszy niski uklon przed starym magiem zaczel sie oddalac od pustelni. Margrabina i Gwidon rowniez pozegnali sie z magiem i szybkim krokiem zmierzali do zlotych wrot, zamykajacych ten Eden.

-Jakze sie ciesze - mowila Arabella do meza - ze wracamy na Ziemi. Tam przynajmniej jestesmy czymś, mamy piekny dom, dobra sluzbe i majatek. Przyjaciele cenia nas i odgrywamy w naszym spoleczenstwie pewna role, podczas, gdy tutaj jestesmy po prostu niczym. Ci nadludzie nie cenia ani majatku, ani tytulow, lekcewaza sobie te wszystkie zdobycze naszej cywilizacji, ktore sa nam niezbedne do przyjemnego zycia. Przyznaje ci, Gwidonie, ze bez zalu opuszczam ten kraj, w ktorym zbyt dlugo nie chcialabym przebywac. Nie rozumiemy ich, a oni uwazaja nas za cos nizszego od siebie. To jest doprawdy nieznosne. Niebawem znajdziemy sie znow w naszym palacu, wsrod przyjaciol, ktorzy oczekuja nas niecierpliwie.

I margrabina w radosnym uniesieniu uscisкала i wycalowala namietnie swego pieknego meza, ktory z zapalem odwzajemnil jej te pieszczoty.

## Rozdzial XXXIII

### Doktor Norski w opresji

Powrociwszy da rakiety miedzyplanetarnej zastano uczestnikow wyprawy w goracej dyskusji, w ktorej glowna osoba byl doktor Norski. Pulkownik Croops i radca Hipping energicznie nalegali na naszego uczonego, alby niezwlocznie udal sie z Hobbsem do stolicy Wielkiego Maga i przyjal od niego wspanialy dar zaofiarowany Ziemianom.-Byloby szalenstwem nie wykorzystac tak wspanialej propozycji - wolal pulkownik, widocznie podniecony perspektywa wielkich bogactw. Zloty deszcz mial spasc z nieba, jak manna niebieska na wszystkich uczestnikow wyprawy.

-Przeciez - argumentowal pulkownik - nalezaloby z jakiegos zrodla pokryc koszty budowy rakiety, ktore wyniosly kilkanascie milionow dolarow. Poza tym i nam nalezy sie jakas, chocby skromna, nagroda za te trudy i niebezpieczenstwa, na ktore narazalismy sie w tej szalonej wyprawie w dalekie swiaty.

-Nasz; rzad, jak przypuszczam, zbuduje cala flotylle takich rakiet jak ta, na ktorej tu przybylismy, a moze nawet znacznie jeszcze wiekszych. Trzeba bedzie uzbroic je w dziala szybkostrzelne, najnowsze bomby atomowe, tysiackrotnie silniejsze od tych, ktore rzucalismy w koncu wojny na Japonie...

-Protestuje jak najenergiczniej przeciwko tym planom - zawolal Doods. - Czyz pulkownik naprawde marzy o podboju tego dalekiego swiata, na ktorym sie znajdujemy?

-Dlaczego nie mielibysmy go zajac i zamienic na nasza kolonie - zaperzyl sie pulkownik. - Czyz mamy czekac, az uczyni to Anglia, albo inne panstwo. Nalezy dzialac energicznie i szybko. Skreslilem juz moj raport do Ministra Wojny Stanow.

-I ja uczynilem, to samo, tylko, ze skierowalem moj raport do Ministerstwa Kolonii - dodal Hipping. - Obliczyłem, ze na planecie Wenus moze z latwoscia zmiescic sie kilkadziesiat milionow kolonistow a w razie gdyby nizej polozone strefy tej planety nadawaly sie takze na siedzibe chociazby Murzynow, to moglibysmy sie pozbyc raz na zawsze tej niedorozwiniętej rasy, ktora znalazlaby tutaj przyjazne dla siebie warunki klimatyczne. Afryke w takim razie mozna by zuzytkowac jako siedzibe dla rasy bialej.

-A spiazka, a malaria? - pytal ironicznie Doods.

-Medycyna znalazla srodki zwalczania tych niebezpiecznych chorob, wiec nic nie stanie na przeszkodzie tym zamiarom. Kula ziemiska stanowczo jest juz za ciasna dla ludzkosci.

-Jak widze nie bierze pan na serio slow Wielkiego Maga, ktory nas zapewnial, ze posiada srodki odparcia takiej inwazji, chocby nawet w bombe atomowa.

-Nic a nic temu nie wierze - zawolal Croops.

-To sa dzicze przechwalki tych pyszalkow, ktorzy maja sie za jakichs nadludzi, a sa w gruncie rzeczy czerwonoskorymi.

-Ma pan ich widocznie za rase nizsza od naszej - wtracil Doods. - Wedlug mnie myli sie pan bardzo, maja oni pod kazdym wzgledem wyzszosc nad nami.

-Pod pewnymi wzgledami moze maja - zmuszony byl przyznac pulkownik, - lecz my dla tej ich wyzszosci nie mozemy przeciez przymierac glodem, martwic sie brakiem wegla kamiennego, wydobywac zloto w pocie czola, podczas gdy oni tutaj oplywaja we wszelkie dostatki i dzieki temu oddaja sie prozniactwu. Bylaby to wielka nieroztropnosc z naszej stawni.

-Niedolestwo - poprawil Hipping, - sikoro juz doktor Norski dal nam swoj metauran, dzieki ktoremu znalezlismy sie tutaj, nalezy to wykorzystac jak najpredzej i jak najlepiej. Prosimy cie, szanowny doktorze, zrzuc pyche z serca i polec do Wielkiego Maga po te recepte na fabrykacje sztucznego zlota.

Jednakze doktor trwal w swoim przekonaniu, ktoremu juz nieraz; poprzednio dal wyraz.

-Bylby to dar danaidow. Nigdy w zyciu nie przyloze reki do takiej sprawy. Czy nie zastanowiles sie nigdy radco Ministerstwa Kolonii, nad tym, jaki przewrot wywolalaby fabrykacja zlota z piasku, albo z zelaza w naszych stosunkach tam na Ziemi. Nastapilby kryzys, ktorego skutkow na razie nawet wyobrazic sobie nie podobna.

Pulkownik Croops usmiechnal sie porozumiewawczo do chemika.

-Zgadzam sie z panem doktorze, ze ujawnienie tego sekretu byloby niebezpieczne. Nie potrzeba jednak rozglaszac go, wyprodukujemy za miliard dolarow tego kruszcu,

rozdzielimy go sprawiedliwie pomiedzy nas wszystkich i na tym koniec.

Doods usmiechnal sie zjadliwie.

-I pan naprawde w to wierzy, ze chciwosc ludzka ima swoje granice? Jezeli ktos posiadzie milion, to marzy tylko o tym, azeby zdobyc drugi, trzeci itd.

-A kto panu zareczy, ze ten sekret da sie utrzymac na dluga mete. Na pewno znalezionoby srodki, zeby zmusic naszego szanownego doktora do zdradzenia tajemnicy. Wedlug mnie, nieborak bylby narazony na wielkie niebezpieczenstwo, gdyby sie nie chcial na to zgodzic. - wtracil Johnson.

-Nasi milionerzy - rzekl Doods spogladajac z ukosa na margrabine, - w obawie utraty swoich majatkow, postaraliby sie o zamkniecie ust szanownemu doktorowi.

-Doskonaly pomysl - pochwalil Hipping. Norski usmiechal sie gorzko sluchajac tych slow Doodsa.

-W kazdym razie nie ryzykuje - rzekl.

-Jak to, odmawiasz pan? - oburzyl sie Croops. - Wiec mamy powrocic z tej niebezpiecznej wyprawy z pustymi rekami.

-Jezeli juz tak idzie watra o to zloto - zawolal Doods - to przeciez w tej swiatyni, zrujnowanej trzesieniem ziemi, mozna go nabrac ile sie komu podoba.

-Ma pan na mysli te zlote glowice kolumn kwadratowych, podpiekajacych stropy olbrzymiego dachu - zagladnal zywo pulkownik. - Istotnie, jedna glowka wazy pare tysiecy funtow, a kolumn widzialem setki. Ile moglibysmy zabrac ciezaru na nasza rakiete - dodal zwracajac sie do Hobbsa.

-Nie wiecej jak dwie albo trzy tomy - odparl inzynier. - Przeciez musimy sie zaopatrzyć na droge w tlen, a raczej materialy do w twarzami tego gazu, w zywnosc, wode, wiec nie mam duzo wolnego miejsca na takie martwe ladunki.

-W takim razie kazdy z nas otrzymalby przy podziale co najwyzej szescset funtow tego metalu. Wedlug mnie, to troche za malo, a jeszcze w dodatku pytanie, czy magowie pozwola nam zdewastowac ruiny starozytnej swiatyni - zauwazyl Doods. - Bardzo watpie.

-Mam nadzieje, ze nie beda mieli nic przeciwko temu - rzekl Hipping.

-Nie bedziemy ich wcale pytali o pozwolenie - zawolal wojowniczo Croops. - Bedzie to doskonala okazja przekonac sie, czy rzeczywiscie rozporzadzaja oni jakimis nadzwyczajnymi srodkami, aby nam w tym przeszkodzic.

-Radze panu osobiscie sie o tym przekonac - zawolal Doods. - Co do mnie, pozostaje na zawsze tutaj i przekazuje swoj udzial pulkownikowi Croopsowi - dodal ironicznie.

Tak wiec doktor Norski postawil na swoim odrzucajac niebezpieczny sekret przemiany piasku na zloto. Pulkownik Croops mial sie udac w towarzystwie kilku czlonkow wyprawy do opuszczonego swiezo przez margrabine i Panny Tajskiego ogrodu, azeby uzyskac pozwolenie maga na zabranie zloty glowic z ruin swiatyni. Byla to, jak sie wyrazal pulkownik, zbyteczna kurtuazja z jego strony, gdyz bez wzgledu na odpowiedz mial on zamiar i tak zabrac ten pozadany kruszec.

Zaraz nazajutrz udano sie w droge z, narzedziami do sporzadzenia jakiegos wozka albo noszy.

Pulkownikowi Croopsowi towarzyszyli: Tadica Hipping, inzynier Hobbs i doktor Johnson.

Stary Mag przyjal dosc chlodno gosci, jak gdyby przenikajac ich plany i zamiary.

Kiedy mu pulkownik oznajmil cel przybycia, Mag usmiechnal sie ironicznie.

-Wiec odrzucacie dar Wielkiego Maga, moglibyscie miec tyle zlota ile byscie tylko zapragneli, a lakomicie sie na znikoma czastke tego kruszcu. Ten wasz uczony nie chce byc wtajemniczony, dowodzi to, ze jest inteligentny i zdaje sobie sprawe ze skutkow jakie by pociagnal za soba ten podarunek.

-Czy i ty magu znasz sekret wyrobu zlota ze zwyklych kruszcow - zagadnal zywo Croops.

-Wszyscy nasi magowie go znaja - odparl starzec.

-W takim razie czy nie uwazalbys, szanowny ma<<i!, za mozliwe dac mnie ten przepis.

Mag potrzasnal przeczaco glowa.

-Nie jestes chemikiem, nie znasz wlasnosci materii, ani jej budowy, nie potracilbys wiec spozytkowac tych wiadomosci. Musialbys sie nimi podzielic z innymi, a to wasz uczony uwazalby za niebezpieczne. Pociesz sie jednak chciwy czlowieku, jutro otrzymasz tyle zlota, ile tylko go zabrac z soba potrafisz. Przyniosa go wam malpoludy, ktore nam dostarczaja owoce. Wiem, ze zywisz w swoim sercu obojetnosc, a nawet niechec wzgledem nas, ze pragnalbys sila podbic "Core Slonca", azeby osiedlic na niej miliony swych rodakow. Moze to zloto, ktore otrzymasz, zuzyjesz dla wykonania tych planow, dlatego tez raz jeszcze ostrzegam cie, ze potrafimy skutecznie odeprzec te inwazje, jezeliby doszla ona kiedykolwiek do skutku. A teraz oddalcie sie i oczekujcie naszego daru, ktory oby nie wyszedl wam na zle.

Croops chcial jeszcze cos powiedziec, lecz poczul nagle ze nie potrafi tego uczynic. W jego glowie zapanowal jakis zamet, nie byl zdolny wprost do myslenia.

-Podly czarownik, formalnie odjal mi mowe - zawolal oburzony.

## Rozdzial XXXIV

### Trudny wybor

Pulkownik Croops powrociwszy do towarzyszy nie tail swojego oburzenia na starego maga, ktory tak kategorycznie odmowil mu recepty na produkcje sztucznego zlota i w dodatku zakneblowal mu jak gdyby usta, korzystajac zapewne ze swojej sily hipnotycznej i magnetycznej. Tom i margrabia znali juz z doswiadczenia skutki tej sily. Syn maga obezwladnil ich nia, kiedy chcieli stawic opor orzeczeniu Wielkiego Magia o odosobnieniu kobiet.-Sadze - rzekl Gwido, - ze potrafiliby oni rownie dobrze obezwladnic zaloge tej armady, przy pomocy ktorej zamierzasz pulkowniku podbic "Core Slonca".

-To sie w swoim czasie zobaczy - odparl zuchwale Croops.

Oczekiwano niecierpliwie przybycia zapowiedzianego transportu zlota. Jakoz niebawem zaczely zjawiac sie na polanie, gdzie spoczywala rakietka, postacie malpoludow. Kazdy z nich dzwigal dosc ciezki woreczek z jakiegos mocnego materialu, przypominajacego jedwab i skladal go przed inzynierem Hobbsem i pulkownikiem. Norski z ciekawoscia zanurzyl dlon w zawartosci woreczka i wydobyl zen ziarnka swiecacego metalu, ktory tryumfalnie pokazal towarzyszem.

-Alez to sa malenkie samorodki zlota - zawolal przyjrzwawszy sie im uwaznie. - Jestem gotow przysiac, ze pochodza z jakiejs bogatej kopalni, nie zas z fabryki chemicznej.

Pulkownik wazyl w reku jeden z woreczkow.

-Jest tu przynajmniej dziesiec kilogramow zlota - zawolal uradowany.

-To znaczy dziesiec tysiecy dolarow w walucie metalicznej, ktora niestety jeszcze przed wojna wycofano u nas z obiegu.

Kiedy jedna partia malpoludow zlozywszy swoje woreczki oddalila sie, niebawem zjawila sie nowa, tak iz ilosc przyniesionego zlota rosła bardzo szybko.

Arabella wynagradzala malpoludy czekoladkami i cukierkami nasladujac maga, ktory placil malpoludom jakimis odurzajacymi pigulkami za przyniesione przez nich owoce. Lecz niebawem zapas slodyczy margrabiny wyczerpal sie, czestowano wiec inteligentne malpy biskwitami, rodzynekami, czekolada i innymi smakolykami ze spizarni rakiety. W ciagu dnia utworzyl sie spory stos woreczkow. Pulkownik Croops obliczyl, ze ilosc przyniesionego zlota przekracza wage czterech ton.

-Warto by dowiedziec sie skad oni znosza ten metal - zawolal Hipping. - Musi tu w poblizu znajdowac sie jakas bardzo bogata kopalnia, moze nawet rzeka, na dnie ktorej znajduje sie

w obfitosci ten kruszec. Nie wierze w to, ze potrafia oni robic zloto na sposob alchemikow. Planeta, na ktorej sie znajdujemy, musi go zawierac w obfitosci i dlatego zapewne nie ma on tutaj zadnej wartosci.

-Jakze wiec nie skolonizowac tego dalekiego swiata - zawolal Croops.

Jeden tylko Hobbs nie podzielal radosci pulkownika, jego kolegi i kilka innych towarzyszy, olsnionych tym bogactwem.

-Przykro mi bardzo - rzekl powaznie do pulkownika - ale jak juz powiedzialem, trudno mi bedzie zabrac tyle ciezkiego metalu do rakiety. Nie idzie tu moze tyle o wage, ile o miejsce, ktore musimy zarezerwowac na daleko wazniejsze dla nas zapasy.

-Zapasy czego? - zagadnal zaniepokojony Croops.

-Pamietajcie panowie - wtracil Norski, - ze nasz zapas cieklego tlenu zabrany z Ziemi od dawna ulotnil sie z naszych zbiornikow. Nie mogliśmy ich, zamknac szczelnie, gdyz gaz rozprezajacy sie w wyzszej temperaturze, na pewno by je porozsadzal. Dopoki przebywalismy w miedzyplanetarnych przestworzach, gdzie panuje mroz 180? nie tracilismy tego cennego pierwiastka, dzieki ktoremu mogliśmy w rakiecie oddychacie swobodnie, ale teraz znalezlismy sie wobec wielkich trudnosc.

-Bo jakze, pytam was moi panowie, zabrac zapas tlenu niezbedny do powrotu na Ziemie. Ile go trzeba kochany doktorze? - dodal i Hobbs zwracajac sie do Norskiego.

-Juz sobie to dosc dokladnie obliczyłem - odparl chemik. - Kazdy czlowiek anormalny zuzywa trzy kilogramy tlenu na dobe, czyli okolo dziewieciuset kilogramow na miesiac, a musimy byc przygotowani na to, ze nasza podroz powrotna potrwa, moze byc, nawet dluzej. Jak pan sadzi? - dodal zwracajac sie do Hartinga.

Astronom milczal przez dluzsza chwile, po czym rzekl:

-Bawimy tu mniej wiecej od miesiaca. Przez ten czas Wenus biegnac po krotszej drodze dookola slonca, anizeli Ziemia, wyprzedzila ja o kilkadziesiat miliomow kilometrow. Dokladna cyfre moge wam podac dopiero po scislejszym rachunku. Tak czy owak, chcac powrocic musimy leciec naprzeciw globu ziemskiego, ktory jak wam wiadomo, biegnie z; szybkościa kolo trzydziestu km/sek. po swojej orbicie. Nasz statek niebieski moze z latwoscia rozwinac taka sama szybkość, to znaczy, ze bedziemy zbliżali sie do Ziemi ze wzgledna szybkością 60 km/sek. Dzieki temu przebedziemy te olbrzymia przestrzen w krotkim stosunkowo czasie, ktory jednak, jak na razie sobie obliczam, moze przekroczyc 30 dni ziemskich. Nasz, inzynier ma wiec slusznosc, ze bedzie potrzebował kilka ton samego tlenu, azeby powrocic na Ziemie.

-Jest nas obecnie, o ile sie nie myle, dziesiec osob, to znaczy, ze bedziemy potrzebowali 10 ton tlenu na nasza podroz. Wlasnie lamie sobie glowe nad tym, w jaki sposob zdolam

wytworzyć taką ilość tego niezbędnego do życia gazu.

Maimy wprowadzić w rezerwie parę ton oksylitu, który wydziela tlen w zetknięciu z wodą, ale jest to, że się tak wyrażę, żelazny nietykalny zapas, do którego Uciekniemy się w ostateczności.

Regeneracja tlenu z dwutlenku węgla, to sprawa bardzo kłopotliwa i trudna i dla braku odpowiednich aparatów nie mogłbym jej przeprowadzić; i tak będę miał kłopot z: pochłanianiem kwasu węglowego wydzielanego przez nasze płuca. Nie pozostaje mi nic innego, jak rozkładać wodę na tlen i wodór przy pomocy elektryczności. Ten ostatni będziemy wpuszczali w przestrzeń międzyplanetarną jako nieużyteczny, azot zaś zostanie neutralny i odnawiać go nie ma potrzeby. Całe szczęście, że przewidziałem tę konieczność zaopatrzenia się w tlen na drogę powrotną i urządziłem na naszej rakiecie duży stos termoelektryczny. Ciepło dostarczane przez rozkład mojego metauranu będzie się w nim zmieniało na energię elektryczną. Ale nastreczają się wielkie trudności, jak zabrać tyle wody, jak nasz wehikul. Trzeba będzie wziąć ze sobą kilkadziesiąt ton tej cieczy. Widzisz więc pułkowniku, że bez narazenia nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo, nie możemy zabrać ze sobą tego stosu złota, które nam tak wspaniałomyślnie ofiarowano, jako rzecz bezwartościową.

-Co najwyżej weźmiemy tego kruszcu trzy albo cztery tony - zakończył chemik.

-To znaczy trzy, albo cztery miliony dolarów - skrzywił się Croops.

-To nawet nie wroci kosztów budowy rakiety, a przy podziale między nas wszystkich, wyniesie po paręset tysięcy dolarów na głowę. To mało, bardzo mało - narzekał pułkownik, który widocznie marzył już o tym, żeby zostać milionerem. - No, ale jeszcze na tym się nie skończy, mam nadzieję - dodał po chwili. - Skoro tylko podbijemy tę planetę, będziemy mogli zabrać stąd tyle złota, ile nam się będzie podobało.

-Na mnie niech pan nie liczy - wtracił Doods - nie potrzebuje ani waszego tlenu, ani waszego złota, gdyż pozostanie tutaj na zawsze. Mam już dosyć towarzystwa ludzkiego. Przyznam się szczerze, że wole nawet tutejsze bestie, które zresztą nie są jeszcze drapieżne i krwiożercze jak ci, co prowadzi wojny na naszym Czerwonym Globie.

Moje sympatie są po stronie czerwonych polbogów, będę ich błagał, ażeby pozwolili mi przebywać obok siebie.

-Nie zazdrościsz - rzekła s przekasem. Arabella. - Prędko się pan tu znudzi w przymusowej beczynności.

Jednakże mister Dodds był pogardliwym, milczeniem tą uwagę rozpieszczonej milionerki.

Nazajutrz Hobbs i doktor Norski zaczęli czynić nieodzowne przygotowania do podróży. Nagromadzono żywność w postaci owoców, Dick postarał się o dobre zwierzę, która



postanowiono zamrozić, albo uwedźić na drogę, chemik zaś był bardzo zajęty sprawą nagromadzenia niezbędnego zapasu wody. Malpoludy w dalszym ciągu znosiły "woreczki ze złotem. Nazajutrz zgromadziło się ich tak dużo, że Hobbs dał do zrozumienia podłudziom, że ma dosyć tych bogactw, lecz Croops energicznie przeciwko temu zaprotestował.

-Dlaczegoż - pytał - mamy ograniczać dostawę tego cennego metalu? Niech go przynoszą jak najwięcej, zabierzemy go, kiedy po raz, drugi tu przybędziemy.

-To znaczy nigdy - wtracił zjadliwie Doods.

Pulkownik obrzucił swego koleżkę pogardliwym spojrzeniem.

-To się zobaczy - odparł sztywno.

Wszyscy członkowie wyprawy, nie wyłączając Arabelli i jej męża, musieli brać udział w tych przygotowaniach do powrotu. Doktor Johnson użył tych kilku ostatnich dni pobytu na dalekim świecie do skompletowania swego zielnika i okazów fauny. Margrabina Arabella wywoływała barwne zdjęcia fotograficzne, które miały uzupełnić zbiory przyrodnika, margrabia przy pomocy siatki robił piękną kolekcję owadów, a głównie motyli, które w tej goręcej atmosferze wabiły oko nie tylko formami swych skrzydeł, ale i zdobiaczami je barwami. Były to istne kwiaty latające. Słowem każdy w miarę zdolności chciał się przyczynić do tego, ażeby wyprawa międzyplanetarna przyniosła jak najobfitszą zdobycz.

Doktor Johnson wyraził się z przekasem, że jego zbiory będą warte kilkakrotnie więcej, aniżeli złoto przewiezione z planety Wenus na Ziemię. Część miał ofiarować uniwersytetowi, który go wydelegował, resztę zaś sprzedać amatorom osobliwości, którzy jak przypuszczał, zapłacą każdą cenę za okazy z dalekiego świata.

## Rozdział XXXV

### Podstępny dar

Jak się zdawało, członkowie wyprawy na planetę Wenus powziawszy zamiar powrotu na kulę ziemską, nie powinni byli o niczym innym myśleć jak tylko o przygotowaniach do niebezpiecznej podróży poprzez puste i przeraźliwie mroźne przestrzenie międzyplanetarne. W granicach rzeczy jednak zajmowali się tą ważną sprawą jedynie trzej ludzie: inżynier Hobbs, który przygotowywał sobie wygodny szlak do startu i doprowadzał do porządku silniki i inne mechaniczne urządzenia, astronom Harting, który był zajęty obliczaniem odległości między dwiema planetami i doktor Norskim łamiącym sobie głowę nad sporządzeniem zapasu tlenu niezbędnego do oddychania podczas lotu, który mogli przeciągnąć się zbyt długo. Arabella i jej mąż marzyli już o spędzeniu dalszych miodowych miesięcy na podróżach do mniej odległych krain aniżeli nieznane części dalekiego świata, w warunkach dostępnych jedynie dla milionerów ziemskich.

Co do przyrodnika Johnsona, miał on umysł zajęty jedynie uporządkowaniem swoich

zbiorow, ciesząc się z góry, że będa one stanowiły istną rewelację dla uczonego świata. Za to w głowach i w sercach większości uczestników wiekopomnej wyprawy zapanował stan trafnie określony jako "gorączka złota". Rzecz dziwna, ten metal tak pogardzany przez czerwonych polbogów atlantydzkich był przedmiotem cichych albo jawnych pozadań nie tylko ubogich mechaników Hobbsa, ale, rzecz trudno zrozumiała, nawet dla margrabiny, posiadaczki stu milionów dolarów, (lekkobliczając) i jej meza bogatego arystokraty. Znoszono woreczki zawierające cenny kruszec do wnętrza rakiety dokonując skrupulatnego podziału między wszystkich uczestników wyprawy. Lecz kiedy obciążono statek niebieski trzema tonami żółtego proszku, inżynier stanowczo wybrał się wziąć go więcej. Widział, że jego towarzysze nie licząc się z niczym gotowi byli załadować na rakieta wszystkie woreczki dostarczone przez malpoludy, które w dalszym ciągu, miano protestów inżyniera, pełniły obowiązki. Sądził, że ich zwykła zapłata, (która za swoje trudności otrzymywali z rąk starego maga. Kiedy już stos woreczków wzrósł do rozmiarów trzeciej części rakiety, Hobbs chciał położyć kres tej dostawie, lecz natrafił na stanowczy protest ze strony pułkownika Croopsa i jego kolegi, radcy Ministerstwa Kolonii. Mężowie ci prowadzili od paru godzin poufną konferencję, która w pewnych momentach przechodziła w zajadła kłótnię.

-Dlaczego nie mamy wykorzystać usług tych ludzi i wspaniałomyślności czerwonoskórych? Przecież po naszej pionierskiej wyprawie niebawem nastąpią nowe, liczące może nie jeden taki niebieski statek, ale całe ich flotyle. Wtedy będziemy mogli zabrać choćby parę tysięcy ton złota. Zastanawiałem się - mówił dalej pułkownik - czy byłoby z mojej strony obowiązkiem zabezpieczyć ten pokazy bądź co bądź zapas złota, tak łatwo zdobytego, od rozgrabienia lub rozproszenia. Dochodzę do przekonania, że powinienem tu pozostać po to, ażeby go zabezpieczyć.

Sluszenie chyba uważam metal, pozostały po załadowaniu jego części na rakieta za moją niepodzielna własność...

-Niepodzielna? - oburzył się Hipping - Jeżeli tak, to pozostań tutaj razem z panem, pułkowniku. Chyba musisz się zgodzić, że mam don takie sama prawo jak pan.

-A nasze raporty? - jęknął z rozpaczą Croops. - Miałem nadzieję, że pan wróciwszy złoży je naszym władzom. Przecież jest chyba obowiązkiem takiego jak pan urzędnika, wydelegowanego przez Ministerstwo Kolonii ujawnić fakt istnienia tak wielkich ilości złota na tej planecie. Nie będzie to chyba obojętne dla naszego rządu, oglądającego się za nowymi koloniami.

Pojedź pan i spodziewam się, że doreczy komu należy mój raport.

Hobbs, który przysłuchiwał się z ironicznym uśmiechem tej rozmowie pomyślał, że w jego interesie leży zmniejszyć do minimum liczbę pasażerów rakiety odczekał więc skwapliwie:

-Sadze, ze mister Hipping istotnie ma takie samo prawo do udzialu w tym skarbie jak i pan, pulkownik. Jezeli uwaza, ze we wlasnym interesie powinien tu pozostac razem, z panem, to nie sprzeciwiam sie jego zyczeniu i gotow jestem doreczyc oba wasze raporty wladzom.

-Doprawdy - zawolal ucieszony Hipping. - Ale nie dosc na tymi, musi nam pan przyrzec, ze jak najpredzej zorganizuje pan nowa wyprawe na wiekszym samolocie miedzyplanetarnym anizeli ten umozliwiajac nam powrot na Ziemie z tym zlotem, ktory tu pozostawiacie.

-A jaka pan ma pewnosc, ze zabiora nas razem z takimi duzym ciezarem - zagadnal cierpko Croops.

-Te watpliwosci i pana powinny nawiedzac - odparl zjadliwie Hipping.

-Ja nie dbam tylko o siebie - odparl dumnie pulkownik. - Nie sadz pan, ze pozostaje tutaj jedynie po to, zeby pilnowac zlota, ktorego nikt tu chyba nie ukradnie. Jestem zolnierzem i musze spelniac obowiazek zwiazany z moja misja.

-Obowiazek? - powtorzyl ironicznie Hipping.

-Tak, musze przeciez zebrac wiadomosci, niezbedne dla powodzenia ekspedycji militarnej, ktora rzad niewatpliwie wysle tutaj, na skutek naszych raportow.

-Bedziesz pan zatem szpiegowac tych czerwonoskorych? - zagadnal Johnson.

-Wywiad natury wojskowej nie moze przyniesc ujmy memu honorowi - bronil sie Croops.

-No, a jezeli ci czerwoni, jak ich pan nazywasz, przenikneli juz panskie zamiary, nie beda wowczas patrzyli obojetnie na te twoje wywiady - wtracil Hipping. - Ja osobiscie nie imam zamiaru maczac w tej sprawie palcow. To przedsiwziecie wydaje mi sie mocno niebezpiecznie.

-A bedziesz obojetnie patrzyl jak mnie straca, bo w takim razie nie potrzebowalbys dzielic sie z nikiem.

Jak widzimy stosunki pomiedzy obu delegatami rzadu U. S. A. stawaly sie coraz bardziej naprezone. Lecz Hobbs byl kontent, ze liczba pasazerow w jego statku zmniejszyla sie o trzy osoby.

Doods zblizyl sie do przyrodnika zajetego rozprostowaniem skrzydel wspanialego motyla.

-Musisz przyznac doktorze, ze ci polbogowie bardzo zrecznie potrafia wykorzystywac slabostki ludzkie dla swoich celow.

-Jakich celow? - zagadnal roztargniony nieco przyrodnik.

-Pamieta pan chyba slawna Iliade Homera. Grecy oblegajacy Troje chcieli wprowadzic w

mury miasta drewnianego konia, w którym mieli być ukryci rycerze. Kapłan trojanczyków Laokon rzekł wówczas pamiętne słowa: "Timeo Danaos et dona ferentes", co znaczy - "lekam się Greków i ich darów".

Otoż to złoto jest właśnie takim darem Danaidów.

Johnson uśmiechał się.

-Rozumiem - rzekł - pilno im pozbyć się niepożądanych gości z Czerwonego Globu, zamiast więc wyprosić ich, albo po prostu wypędzić, obsypali ich bezwartościowym dla nich kruszcem.

-I osiągnęli cel; jak pan widzi, wszystkim z wyjątkiem mnie, a może i Hartinga, pilno wrócić z tym podstępny darem do domu. Chciwość, zachłanność, egoizm, okrucieństwo kwitną na naszym kochanym globie, dlatego właśnie nie życzę sobie nigdy powrócić.

-Coż pan będzie tu robił, - pytał przyrodnik.

-Zostanę ich uczniem, jeżeli tylko zechcą mnie wtajemniczyć w swoją egzotyczną wiedzę.

Tymczasem Hobbs zastanawiał się, kogo by jeszcze namówić, żeby pozostał na tym dalekim świecie. Margrabina odjedzie na pewno. Brdzie chciała wrócić wraz z mężem, gdyż nudzi się śmiertelnie na łonie tej wyższej cywilizacji; i ja opanowała gorączka złota, upominała się bowiem o udział w zabranym na rakieta skarbie, gdyż jak twierdziła, musi choć w części pokryć wielkie koszty swej poslubnej podróży. Prawdziwie zadowolona była może para: Fanny i Tom. Pokojowka margrabiny, dzięki staremu magowi, uważała swoje przeżycia miłosne na dalekim świecie za jakiś przykry a zarazem przyjemny sen i układała ze swoim narzeczonym piękne projekty na przyszłość. Za te kilkaset tysięcy dolarów, które przypadły na ich cześć, mieli oni zamiar nabyć piękną farmę w Kanadzie i oddać się rolnictwu i hodowli bydła. Był to szczyt ich marzeń. Drugi mechanik Hobbsa zamierzał założyć warsztat na własną rękę i za przykładem Forda dorabiać się olbrzymiego majątku. Dick oznajmił stanowczo Norskiemu, że chociaż zostanie zamożnym człowiekiem, to jednak nie opuści swojego stanowiska w laboratoriach doktora, który to przywiązanie dzielnego swego pomocnika potrafił należycie ocenić. Harting, który gardził w duszy bogactwem a miał jedynie badania naukowe za cel swego życia, zachowywał całkowitą obojętność w stosunku do stosu złota, leżącego w pobliżu rakiety. Johnson, uzupełniający swoje zbiory, z góry cieszył się rozgłosem, jaki zdobędzie swymi okazami w świecie uczonych.

Nie wszyscy więc członkowie wyprawy byli takimi materialistami, jak większość ich towarzyszy. Norskiego w danym momencie interesował jedynie tlen, niezbędny dla oddychania załogi.

Domagał się od Hartinga dokładnych danych, długo będzie trwała podróż, jaka odległość w danym momencie dzieli obie planety, jaka szybkość musi rozwinąć rakieta, ażeby powrócić na glob ziemski. Nasz astronom spełniając jego życzenia wziął się sumiennie do dokonania

potrzebnych, obliczeń i zakomunikował ich wynik inżynierowi.

-Bawimy tu od trzydziestu dni ziemskich - tłumaczył - w chwili, kiedyśmy się tu znaleźli Ziemia, Wenus i Słońce znajdowały się na jednej linii prostej. Jednakże Wenus, która obiega Słońce po krótszej orbicie mniej więcej z taką samą szybkością jak glob ziemski wyprzedziła go znacznie, w przybliżeniu o 17 mln. km. Dzieli nas obecnie przestrzeń około 60 mln. km., licząc po linii prostej. Dlatego też w podróży powrotnej nie będziemy doganiali Ziemi, lecz przeciwnie, musimy lecieć na jej spotkanie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nasz glob biegnie w przestrzeni z szybkością średnią 30 km/sek., to dodając do tego naszą własną szybkość, którą oceniam mniej więcej na 20 km/sec, będziemy się posuwali ze względu na prędkość 50 km/sek. Podróż naszą zatem nie powinna trwać dłużej aniżeli 1000 godzin ziemskich.

-To znaczy - odezwał się Noriski, - że muszę przygotować zapas tlenu dla dziewięciu osób, po trzy kilogramy na dobę.

Doktor zrobiwszy to pobieżne obliczenie zafrasował się.

-Mój stos termoelektryczny - rzekł - nie jest w stanie rozłożyć na tlen i wodór takiej ilości wody, która by mi dostarczyła dość tlenu na konsumpcję. Czy nie można by, szanowny kolego - dodał zwracając się do Hobbsa - skrócić tej naszej podróży powrotnej.

-To będzie bardzo trudne, a nawet niebezpieczne - odparł Hobbs.

-Dlaczego niebezpieczne? - pytał dalej Noriski. - Mamy przecież dostatek metauranu, a więc paskie silniki mogą nadać rakiecie większą szybkość, aniżeli ta, jaką przewidujesz. Będziemy przecież poruszali się w próżni barometrycznej, nie natrafiając na żaden opór. Skoro raz nadamy naszemu wehikulowi wielką szybkość, to będzie on ją zachowywał przez czas nieograniczony. Jak sądzisz, moglibyśmy biec na spotkanie Ziemi z szybkością dwa razy większą aniżeli ta, jaką pan przewiduje. Nie widzę, jakie niebezpieczeństwo mogłoby nam przy tym zagrażać.

-A gdybyśmy znowu wpadli w piersień drobnych ciałek, krążących tak jak i planety dookoła Słońca? Są to jak wiadomo, szczątki komet, które rozpadły się. Wprawdzie ziarnka te są bardzo drobne na ogół, lecz: biegnąc im naprzeciw moglibyśmy narazić się na przedziurawienie naszej rakiety przez jakąś nieco większą bryłkę. A takie zderzenie, niestety, nie jest wykluczone. Będzie się jednak starał schodzić z drogi tym pierscieniom, których orbity są mniej więcej znane.

-To pańska sprawa - zawołał Hobbs. - Pan, a nie kto inny prowadzi naszą rakietę w tych przestworzach.

Harting uśmiechnął się nieco zakłopotany.

-Możecie na mnie liczyć szanowni koledzy, lecz nie mogę wam zagwarantować całkowitego

bezpieczeństwa, gdyż w przestrzeniach międzygwiazdowych można natrafić na jakiegos wloczege, a wtedy...

-Zamienimy się w oka mgnieniu na jakiś obłoczek pary - wtraciła margrabina, która przysłuchiwała się tej dyskusji, odbywającej się w wiszącym palacu na wysokości dwudziestu metrów ponad ziemią. - Jeżeli już ma nas spotkać śmierć, to będzie ona przynajmniej szybka i bezbolesna. Ale nie myślcie, panowie, że się boję.

-Wiemy, że jesteś odważna, kochanie - dodał margrabia głaszcząc rączkę swojej żony. - Czyżbyś inaczej zdecydowała się na tę szaloną podróż.

Jak widzimy, powrót na Ziemię nastreczał wiele trudności, które należało pokonać w ciągu kilku najbliższych dni. Przyrodnik, dr Johnson, miał także swoje kłopoty, z którymi się zwierzył przy tej okazji kolegom.

-Bawimy tu już od miesiąca a ja prawie nic nie zrobiłem - rzekł smutnie. - Wprowadziłem nagromadziłem trochę okazów z królestwa roślinnego i zwierzęcego, ale co to wszystko znaczy wobec nieprzebranych bogactw dalekiego świata. Pełno tu dziwów i zagadek.

Przebywamy obecnie na płaskowzgórzu, jakieś trzy, czy cztery tysiące nad poziomem oceanu a w tych niższych sferach przebywalismy bardzo krótko. Wiemy z doświadczenia, że żyją tam w gorącej i ciężkiej atmosferze, w zmroku przypominającym nasze pochmurne dni, jakieś olbrzymie bestie podobne do trzeciorzędowych okazów fauny ziemskiej. Jakże bogate to pole dla badań przyrodnika i geologa. Miałbym wielką ochotę zabawić tu dłużej, dla przeprowadzenia gruntowniejszych studiów.

-A więc zostan pan razem z pułkownikiem i Hippingiem - zawołał Hobbs.

Przyrodnik jednak pokręcił przecząco głową.

-Kilka, nawet kilkanaście lat mego życia musiałbym poświęcić tym badaniom a i tak zdobyłbym zaledwie miałą cząstkę tego, co by należało tutaj zrobić. Pozostawiam to moim kolegom, którzy, być może przybędą ma daleki świat po nas. Pragnąłbym tylko odwiedzić te niższe strefy, choćby na parę dni, ażeby sobie wyrobić jakieś takie pojęcie o faunie morskiej. Neci mnie to ogromnie.

-A więc urządzimy małą wyprawę - zawołał margrabia, w którym nagle odżyła żyłka myśliwska.

## Rozdział XXXVI

### Tajemnicze niebezpieczeństwo

Wszyscy uczestnicy pierwszego lotu międzyplanetarnego zdawali sobie sprawę z sytuacji. Wielki Mag pozwoliwszy Arabelli i Fanny powrócić na górska halę, gdzie spoczywała

rakieta, zobowiązał ich do powrotu na Czerwony Glob. Należało więc gotować się do dalekiej podróży poprzez pustynie gwiazdne. Jedną tylko Arabella gorąco tego pragnęła, gdyż jako nieodrodna córka starej Ziemi czuła się na Wenerze jak na wygnaniu. Fanny choć zapomniała o swej niepodzielanej przez polboga miłości, była pełna podziwu dla tych anielsko pięknych ludzi i chętnie pozostałaby między nimi, choćby w charakterze służebnicy. Margrabia nie nasycił jeszcze swojej chętki łowieckiej i narzekał, że w tym wspaniałym kraju, pełnym najgrubszej i nieznannej na Ziemi zwierzyny uszczknął zaledwie kilka trofeów, których nawet nie pozwolono mu zabrać na rakieta.

Johnson żałował, że jego przyrodnicze studia na sasiadce Ziemi tak nagle muszą się skończyć. Każdy w głębi duszy żałował, że nie może zabawić dłużej na "Corze Słońca". Wyjątek stanowili tutaj czciciele zła tego cielica, którym pilno było wrócić z kilkoma woreczkami dostarczonymi przez malpoludy. Jeden może Norski, no i Harting, traktowali złoty kruszec z filozoficzną obojętnością.

Nazajutrz po owej walnej naradzie mister Doods uroczystie pożegnał się z towarzyszami. Bez żadnej broni, sam jeden wybierał się do rajskiego ogrodu, nie bacząc na groźbę mu w drodze niebezpieczeństwa.

-Więc naprawdę pozostaje pan tutaj? - pytał Hobbs ciesząc się, że mu ubywa jeden pasażer.

-Poproszę starego maga, żeby mnie przyjął za ucznia - odparł mizantrop. - W ich pięknej stolicy, w której niestety tak krótko zabawiliśmy się, muszą znajdować się wyższe szkoły kształcące magów. Wstąpię do jednej z nich. Ich zdolności imponują mi.

-Życzę panu, żebyś jak najprędzej został magiem - odezwał się z przekasem Croops - A nie zapomnij wydobyć od swoich mistrzów przepisów na wytwarzanie sztucznego złota. Taka recepta może się każdemu przydać

-Zakomunikuję ja panu przez radio międzyplanetarne - odparł zartobliwie Doods.

Po tych słowach dziwak pusczył się ścieżką w kierunku kamiennego góscinca mając tylko niewielki wezelek na plecach.

-Ależ abnegat z niego - zawołała margrabina.

-Obawiam się, że w tej podróży pozre go jedną z tych bestii które spotykaliśmy podczas naszej wyprawy wysokogorskiej - rzekł Dick. - Nie wziął nawet sztucera ze sobą.

-Pewnie widział, jak malpoludy ujrzawszy jakiego potwora wdrapują się na przydrożne drzewa. Teraz wiem po co je posadzono wzdłuż góscinca - dodał Tom.

Lecz niebawem zapomniano o rozłące z Doodsem, gdyż uwagę powszechną zwróciły narzekania Norskiego.

Uczony chemik nie miał przed towarzyszami, że przystępuje do spełnienia zadania, od którego zawisło bezpieczeństwo wszystkich pasażerów rakiety międzyplanetarnej.

-Musimy wszyscy zabrać się do zrobienia zapasu ciekłego powietrza - oznajmił stanowczo.  
- Mamy ze sobą aparat systemu Lindego, fizyka, który nas nauczył skraplać powietrze na większą skalę. Lecz wątpię czy w tym gorącym klimacie zdołamy wyprodukować go tyle, ile nam potrzeba na podróż, która może potrwać kilka tygodni. Specjalny silnik z pompą tłoczącą będzie nagromadzał w stalowym zbiorniku powietrze pod ciśnieniem stu atmosfer. Pozwalając ulatniać się powoli skompresowanym gazom i ochładzając zbiornik otrzymujemy kilkanaście litrów ciekłego powietrza. Powtarzając tę czynność moglibyśmy w przeciągu paru dni i nocy zdobyć niezbędny dla oddychania w rakiecie zapas, lecz niestety w tej dolinie jest za ciepło. Ciekłe powietrze szybko się ulatnia. W zbiornikach zamknąć go nie można, bo by je rozsądziło. Musimy koniecznie wzbic się o cztery przynajmniej kilometry wyżej i tam w niższej temperaturze popracować przez dwie doby bez wytchnienia. Inaczej może być z nami źle.

-Czy grozi nam uduszenie? - zaniepokoiła się Arabella.

-Mamy wprowadzić zapas oksylitu, który to związek wydziela tlen w zetknięciu z wodą, ale musimy go zachować, jak to mówią, na czarną godzinę - tłumaczył chemik towarzyszom.

Hobbs nachmurzył się.

-Mozemy wlecieć choćby na dziesięć kilometrów nad poziom morza - odparł - ale czy w gorach nasza rakietka znajdzie teren nadający się do lądowania?

-Tak, trzeba dokonać czegoś w rodzaju rekonesansu - radził margrabia.

-Spróbujemy popracować przez całą dzisiejszą noc w chłodzie - zdecydował Norzki - a potem się zobaczy, ile ciekłego powietrza wyprodukujemy. Zdaje mi się, że jednak trzeba będzie przenieść się między lodowce - dodał.

Noce w dolinie bywały chłodne, chociaż termometr nigdy nie spadał poniżej zera. Obłożono stalowy zbiornik mokrymi szmatami i puszczono w ruch pompy. Pracowano usilnie aż do świtu, po czym zmierzono ilość ciekłego powietrza.

-Sto dwadzieścia litrów - zawołał uradowany Hobbs.

-Musimy zużywać samego tlenu po trzy kg. na osobę dziennie. Jest nas, po odejściu Doodsa i po wykreszeniu z listy podróżnych pp. Croopsa i Hippinga, 11 par płuc, to znaczy dzienne zapotrzebowanie przewyższa pięćdziesiąt kg. Należy bowiem pamiętać, że w ciekłym tutejszym powietrzu znajduje się zaledwie jedna trzecia tlenu. A żeby więc zdobyć środki do oddychania powinniśmy zabrać ze sobą około 1 tony ciekłego powietrza, bo jak przypuszczam, nasza podróż potrwa parę tygodni - obliczał Harting.



-Rachunek wypada wiec fatalnie - skrzywil sie Norski. - Zobaczmy ile gazu ulotni sie do wieczora. Przypuszczam, ze sporo. Musimy przeto pracowac przez tydzien, azeby sie nalezyce zaopatrzyc - zakonkludowal Norski.

Wieczorem okazalo sie, ze polowa wyprodukowanej noca cieczy, majacej temperature jakichs - 180 stopni C, uciekla ze zbiornikow.

Skonstatowawszy ten nieprzyjemny fakt, Hobbs zacal przygotowywac rakiete do startu. Wszyscy, z wyjatkiem dwoch przedstawicieli sfer rządzacych, zajeli miejsca. Przed rozstaniem Croops zobowiazal uroczyście inzyniera, ze ten zlozy raporty obu urzednikow ich wladzom, po czym rozstano sie dosc chlodno, pozostawivszy kolegom niezbedne dla nich przedmioty, glownie bron, amunicje i odziez.

Kiedy pierwsze eksplozje rozlegly sie w silnikach, na sciezce ukazal sie niespodziewanie Doods. Byl tak niemal zmeczony szybkim biegiem, jak ow grek, donoszacy rodakom o zwyciestwie nad Persami. Lecz na szczescie nie padl jak tamten bez zycia, lecz odsapnawszy, po paru minutach, wykrztusil z najwyzszym wysilkiem.

-Tlum wyruszył z miasta w zamiarze zniszczenia rakiety. Uciekajcie.

Na razie nie wierzone tej alarmujacej wieści. Zasypano Doodsa gradem pytan. Mizantrop nie mogl wiele powiedziec, lecz stary mag ostrzegł go, ze ludnosc rajskiego ogrodu i przyleglych osiedli jest w najwyzszym stopniu podniecona. Rozeszly sie bowiem pogloski, ze przybysze z Czerwonego Globu sa czarnymi magami, ktorzy od niepamietnych czasow, jeszcze na Atlantydzie, przesladowali zwolennikow bialej magii, krzyzujac na wszelkie sposoby ich szlachetne dazenia. Oni to byli sprawcami moralnego upadku Atlantow i katastrofy, ktora zniszczyla ich piekna ojczyzne. Mag oswiadczył, ze tłum wszedzie jest jednaki i elita nie potrafi doprowadzic go do rozsadku. Postanowiono zniszczyc statek niebieski, a gosci z Czerwonego Globu wypedzic w niziny miedzy dzikie bestie, ktore wzajemnie sie morduja i pozeraja. Kobietom grozilo najwieksze niebezpieczenstwo. Doods byl mocno zdenerwowany i lekliwie mierzył wzrokiem tylko co przebyta droge, jakby spodziewal sie, ze lada chwila ukaza sie na hali czerwoni tuziemcy.

-Nie bedziemy czekac na naszych przesladowcow - rzekl chlodno Hobbs.

-Mamy przecie pare bomb atomowych - zawolal Croops. - Sadze, ze jedna wystarczy dla rozproszenia chocby najwiekszego tlumu.

-Ladna opinie zyskalibysmy sobie tutaj, klac za twoja rada, pulkowniku - rzekl Norski. - Kazda nastepna wyprawa na te planete stalaby sie niebezpieczna.

-Przeciez, tak czy owak musi przyjsc do wojny pomiedzy nami a tymi prozniakami - tłumaczyl wojowniczo nastrojony pulkownik. - Czy nie lepiej dac im nauczke, zeby nas nie zaczepiali sikoro tu niebawem wyladujemy w wiekszej liczbie.

Lecz nikt nie stanął po stronie pułkownika. Pożegnano się z pozostającymi towarzyszami zalecając im ostrożność i Hobbs dał sygnał do startu.

Tom, który był dzielnym pilotem, podbił prawie z miejsca rakietę. Głosne detonacje w silniku odbiły się stokrotnym echem o ściany puszczy obramowanej zieloną wstęgą obszerną dolinę, która była przez cały miesiąc główną kwatery wyprawy międzyplanetarnej. Olbrzymi samolot wzbil się łatwo w górę i szybował w kierunku wyniosłych szczytów, celu nie doszedł do skutku wycieczki, zakończony odkryciem rajskiej siedziby czerwonych potomków starożytnej Atlantydy. Hobbs przywarł do szyby w swojej kapitańskiej kabinie wypatrywał punktu nadającego się do lądowania. Lecz niestety, pod rakieta rozkładały się dziko poszarpane, tworzące istny labirynt, łańcuchy górskie. Im wyżej się wznoszono, tym bezładniejszy stawał się ten labirynt. Barometr wskazywał już, że statek niebieski znajdował się na 12 km ponad poziomem morza, a nigdzie nie dostrzeżono doliny o równiejszym dnie. Lądować w takich najeżonych skalami okolicach byłoby szalenstwem.

A i na tym wysokim, poziomie nie widać jeszcze było szczytów tytanicznych gór, otaczających górną dolinę. Musiały one, jak przypuszczał Harting, mierzyć dziesiątki kilometrów wysokości i sterczeć ponad atmosferą Wenerę, jak to wykazywały ostatnie obserwacje tej planety przez olbrzymi teleskop kalifornijski.

Inżynier wprzódce zorientował się, że daremnie będzie szukać w tych łańcuchach księżycowych górach dogodnego punktu do osadzenia rakiety na niedawno opuszczonej ziemi.

Przez lunetę można było, dzięki przezroczystemu powietrzu, dostrzec cienki jak nitka jedwabna gościec, który w tej chwili był zapełniony tłumem zdazającym, jak ostrzegali Doods, do doliny.

Ale nie posuwał się on dalej. Snać spostrzeżono rakieta unosząca się na niedostępnej wysokości i zaniechano nieprzyjaznych kroków. Croops i Hipping nie mieli się czego obawiać. Hobbs odetchnął z ulgą.

-Gdyby nasz pułkownik znajdował się tutaj z nami, na pewno by musiał walczyć z chęcią rzucenia na napastników bomby atomowej albo chociaż kilkunastu granatów ręcznych. Jak to dobrze, że ci panowie pozostali tam przy swoim złości, bo popsułoby raz na zawsze nasze dobre stosunki z tutejszą ludnością uniemożliwiając dalsze wyprawy.

-Sądzę, że długo wypadnie im czekać, aż druga rakietę się tu zjawi - rzekł Harting. - Szanowny pułkownik musi przyzwyczaić się do życia wśród malpoludów i z czasem przyjmie ich obyczaje - dodał z uśmiechem.

-Według mnie trzeba opuścić te gorzyste okolice i poszukać jakiego płaskowyzu ma jednej z sąsiednich wysp - rzekł Johnson.

Musiano iść za radą przyrodnika, który po drodze robił zdjęcia fotograficzne terenu. Niebawem znów znaleziono się ponad oceanem, lecz zamiast lecieć w kierunku stolicy

Cerne, gdzie rezydował Wielki Mag, puszczono się na zachód i po godzinnej podróży ujrzano inną obszerną wyspę, nie tak gorzysta jak ta, która tylko co opuszczono.

Okazało się jednak, że jest ona bardzo mało wzniesiona ponad poziom morza, a Norwi potrzebowali okolic, gdzie panuje nawet podczas dnia niższa temperatura. Musiano więc lecieć dalej w poszukiwaniu odpowiedniego terenu. Okazało się, że sąsiedka Ziemi nie posiada tak obszernych lądów, jak na przykład Azja, albo Ameryka, lecz: jest usiana mnóstwem większych i mniejszych wysp. Johnson oświadczył towarzyszom, jeżeli te poszukiwania odpowiedniego lądowiska potrwać dłużej, to uda mu się sporządzić dość dokładną mapę przebytych okolic.

Hobbs zaczął się już niecierpliwić, kiedy po kilkugodzinnej podróży spostrzeżono rozległe płaskowzgórza, przedstawiające pożądaną do lądowania warunki terenowe.

Sledzono bacznie przez lunety rozciągający się pod rakieta ląd.

-Widzę, jakieś wielkie miasto - zawołał nagle Tom obdarzony doskonałym wzrokiem.

Poczęto się naradzać, gdyż Johnson uważał, że nie należy lądować w zadudnionych okolicach Cory Słonca.

-Ci czerwoni nahludzie mają tak doskonale sposoby komunikowania się między sobą, że na pewno i tutaj wiedza o naszym przybyciu. Może nas tu spotkać jakaś nowa przykra niespodzianka.

Ponieważ słońce zaczęło chylić się ku zachodowi a nocny lot mógłby być niebezpieczny, przeto musiano lądować nie bacząc na to, co się stać mogło.

I tutaj płaskowyz był pokryty bujną roślinnością. Na szmaragdowym, tle obszernego lasu czy gaju dostrzegano jasne punkty. Jak się przekonano przy pomocy lunety, były to liczne domostwa, podobne zupełnie do pustelni, które zwiedziono w siedzibie starego maga.

Skoro tylko rakieta osiadła na równym polu, zasadzonym jakimis nieznanymi przybyszom roślinami, pojawili się mieszkańcy tego osiedla. Byli oni niepomiernie zdumieni ukazaniem się dziwacznej maszyny, przypominającej olbrzymiego owada o polyskujących metalowych skrzydłach.

Przybysze przez jakiś czas nie opuszczali rakiety, starając się zbadać nastroje miejscowej ludności. Usiłowano nawiązać z nimi w telepatycznym języku rozmowę, lecz nie szło to tak łatwo jak przedtem z mieszkańcami opuszczonej wyspy. Jednakże jako tako zdolano się porozumieć. Hobbs i Jolmsoin oświadczyli, że przebywają w przyjaznych zamiarach, starając się zdobyć zaufanie przybyszów.

Okazało się jednak, że i tutaj wiedziano już o gościach z Czerwonego Globu, lecz nie traktowano ich wrogo.

Norski nie miał zamiaru bawić długo w tym miejscu. Przekonawszy się, że po zachodzie słońca termometr spadł do paru stopni powyżej zera, zabrał się energicznie do przerwanej pracy nad skraplaniem powietrza. Rano oznajmił z triumfem towarzyszącej, że udało mu się wyprodukować z góra sto litrów, lecz niestety poprzednio otrzymany zapas wyparował tak dalece, że pozostała za ledwie jedna czwarta część. Norski ujrzał się więc w beznadziejnej sytuacji, gdyż ostatecznie nie mógł osiągnąć niezbędnego zapasu. Gdzieś w gorach, wśród lodowców, produkcja odbywałaby się łatwiej i prędzej.

Johnson i Harting właśnie wybierali się obejrzeć miasto, które, jak stolica, było zabudowane olbrzymimi gmachami, gdy wtem podeszło do rakiety kilku odzianych w purpurowe szaty polbogów. Było to poselstwo maga rezydującego w mieście. Oświadczono krótko i wezłowało gościom, że powinni jak najprędzej opuścić tę miejscowość, na której wylądowali, gdyż taka jest wola Wielkiego Maga.

Dodano przy tym ostrzeżenie, że gdyby goście z Czerwonego Globu nie zastosowali się do tego rozkazu, musiano by przedsięwziąć względem nich przymus.

Wymiana zdań odbywała się i tutaj w języku telepatycznym, którego jednak nie potrafili używać wszyscy mieszkańcy wysp, lecz jedynie najwyższej rozwinięta ich klasa magów.

Hobbs zapewnił, że natychmiast odleci i że nie żywi żadnych nieprzyjaznych zamiarów względem mieszkańców miasta, lecz mimo to nie pozwolono obejrzeć im rozległego grodu, który musiał liczyć przynajmniej sto tysięcy mieszkańców.

Norski musiał więc zrezygnować z kontynuowania swojej pracy.

Zabezpieczono otrzymany w nocy zapas ciekłego powietrza i Hobbs dał znak do odjazdu. Jednakże Johnson zbuntował się przeciwko tej tyranii nadludzi.

-Jakże potrafia oni zmusić nas do opuszczenia tego płaskowyzu i szukania gdzieś w gorach znaczenie może gorszego stanowiska. Niezmiernie jestem ciekaw, co by z nami zrobiono, gdybysmy nie zastosowali się do tego rozkazu?

-Mogliby zniszczyć naszą rakietę - zawołał strapiiony Hobbs.

-Nie tak to łatwo uczynić - odparł Johnson. - Przecież tutejsi mieszkańcy nie rozporządzają, o ile nam wiadomo ani środkami wybuchowymi, ani działami, ani gazami trującymi i dlatego nie uważam ich za niebezpiecznych przeciwników. Przygotujmy się do odlotu i poczekajmy, alby zobaczyć w jaki sposób nas stąd wyproszą. Miałem co prawda Wenusjanów za bardziej gościnny naród niż się to okazuje. Zależy mi bardzo na tym, żeby przedłużyć nieco pobyt mój na Wenerze, tak mało wiemy o jej mieszkańcach, o rozkładzie lądów i morz. Wstyd mi po prostu wracać na Ziemię z tak skąpym zapasem wiadomości o tej wspaniałej planecie.

-Urzadzimy więc podróż naokoło tej planety - zawołała margrabina. - Z lotu ptaka doskonale

poznamy ten świat. Może się uda panu nawet zrobić nieco dokładniejsze mapy jego lądów.

-Ma pani słuszną rację margrabino - odrzekł Harting. - Gęsta atmosfera Wenus nie pozwala nam zobaczyć nawet przez największe teleskopy jej powierzchni. Byłoby to z naszej strony wielkim zaniedbaniem, gdybyśmy nie zdobyli nieco wiadomości dotyczących geografii fizycznej tej planety. Czy mamy dość metauranu, aby sobie pozwolić na taką podróż - dodał zwracając się do Norskiego.

-Starczy mi metauranu nawet na podróż sto razy dłuższą - odparł chemik. - Lecz obecnie myślę tylko o ciekłym powietrzu, niezbędnym do powrotu na nasz glob.

-Sądzę, że nie należy sprzeciwiać się banicji, która na nas nałożono i szukać ustronnych okolic, gdziebyśmy mogli bezpiecznie spędzić kilka dni i fabrykować to, co jest dla nas niezbędne do oddychania.

-Jednakże towarzysze, musicie przyznać, że dzieje nam się krzywda - zawołał Johnson. - Coż im to szkodzi, że pobędziemy tutaj cokolwiek dłużej.

-Rozumie się, że nas chcą skrzywdzić najnieśluszniej w świecie - zawołał Dick. - Dlaczego mojemu kochanemu doktorowi przeszkadzają w jego pracy. Przecież bez zapasu powietrza nie możemy pójść w powrotną podróż. Moglibyśmy podusić się w naszym niebieskim statku. Nie bądźmy niedolegami. Mamy przecież bronie. Nie chcemy ich zacząć, ale skoro zmuszają nas do popełnienia czegoś w rodzaju samobójstwa, to musimy się bronić.

Po tych słowach, wojowniczo nastrojony Dick; wyciągnął z arsenału karabin maszynowy, który tam beczynnie spoczywał i ustawił go obok rakiety wraz ze skrzynką amunicyjną.

-Niech nie próbują nas stąd wypędzić - zawołał. - Potrafię doskonale używać tej maszyny - dodał.

Zebrani dookoła mieszkańcy miasta przyglądali się podejrzliwie tym przygotowaniom, lecz kiedy Dick w zapale wojennym dał dwie serie w powietrze, tłum pierzchnął w popłochu.

-Nie chciałem z tych ludzi nikogo zastrzelić - tłumaczył się Dick - ale powinni wiedzieć, że nie mają do czynienia z niedolegami, którzy bez protestu dadzą się stąd wypędzić.

-Powstrzymaj swoje zapędy wojownicze - mówił doktor Norzki, - nie wiemy jeszcze czy oni nie posiadają jakiegokolwiek broni, chociaż wyrzekli się wojen.

-Bo nie mają z kim ich prowadzić - odparł Dick.

Nastąpiła cisza. Wokół rakiety zrobiło się na obszernej polu zupełnie pusto. Zadowolony Norzki zabrał się znowu do pracy. Puszczono w ruch motor, tłoczono powietrze do zbiornika. Za parę godzin spodziewał się otrzymać kilkadziesiąt litrów ciekłego powietrza. Gdyby mu pozwolono pracować przez całą noc, przy temperaturze poniżej zera, mógłby

otrzymać znacznie więcej ciekłych gazów.

Członkowie wyprawy wolni od zajęć, spacerowali dookoła rakiety, ażeby wyprostować zeszywniale podczas podróży powietrznej ciało.

Nagle miss Arabella wydała głośny okrzyk przerażenia i bólu.

Nikt jej nie pytał o przyczynę, gdyż każdy, równie jak ona, doznawał niezmiernie przykrego uczucia.

W powietrzu odbywało się coś takiego, czego nikt nie mógł na razie wytłumaczyć.

-Czuje się jak gdyby mnie pograzono w lodowatej wodzie, przez którą przechodzi jakby prąd elektryczny - wołała margrabina.

Czegoś podobnego doznawali wszyscy znajdujący się na zewnątrz rakiety. Szarpane jakimis wibracjami miękkie sprawiały ból nieznosny. Organizm był jakby sparalizowany.

-Co się dzieje? - mówił Harting - uciekajmy do wnętrza rakiety, skierowano na nas jakieś tajemnicze promienie, którymi chcą nas zmusić do ucieczki.

Dick uważał się na razie za pobitego, lecz nie widząc przed sobą nieprzyjaciela nie miał okazji zrobić użytku ze swojego karabinu maszynowego. Klął na czym świat stoi i z najwyższym tylko wysiłkiem zdołał, za przykładem towarzyszy, schronić się do wnętrza międzyplanetarnego statku. Nikt już tam nie odczuwał owych przykrych wrażeń, doznawanych pod gołym niebem. Widocznie tajemnicze promienie nie były w stanie przeniknąć poprzez stalowe blachy. Wszyscy odetchnęli swobodnie.

-Co to było takiego? - pytała margrabina Johnsona, rozcierającego sobie zeszywniale i obolałe ręce.

Przyrodnik zastanowił się głęboko.

-Przyznaje - rzekł - że sam nie wiem. Nie są to jednak fale elektromagnetyczne, gdyż organizm ludzki jest na nie niewrażliwy.

-Ani żadne gazy trujące - dodał Hobbs. - Oddychaliśmy całkiem swobodnie.

Głowiono się przez dłuższy czas daremnie nad rozwiązaniem tej zagadki, nikt jednak nie miał ochoty opuścić rakiety dla zbadania istoty tego zjawiska. Musiano przyznać, że czerwoni polbogowie bardzo łatwo pozbyli się nieproszonych gości, nie wyrządzając im żadnej krzywdy, gdyż po jakimś czasie przybite uczucie bólu i bezwładu minęło bez śladu.

Nagle Johnson stuknął się palcem, w czoło. - Zdaje mi się, że zgadłem - zawołał.

Towarzysze otoczyli go zaciekawieni.

-Odgadł pan naturę tych wibracji? - pytał Harting.

-Sa to najzwyczajniejsze fale dźwiękowe - odparł przyrodnik. - Przypominam sobie, że niedawno robiłem z nimi interesujące doświadczenia, przy czym doznałem zupełnie podobnych objawów.

-Ależ nikt nic nie słyszał - zaprotestowała Arabella.

-Gdyż mieliśmy do czynienia z ultrakrótkimi falami głosowymi, ma które ucho ludzkie jest niewrażliwe. Ale za to cały organizm bolesnie odczuwa ich obecność w powietrzu. Można nimi i zabić w ciągu krótkiego czasu owady, myszy, a nawet szczury.

-Ja bym tego długo nie wytrzymała - mówiła margrabina krzywiąc się. - Byłam już bliska zemdleń. Nie wiem co by się z nami stało, gdybysmy nie schronili się tutaj.

-Dostaliśmy dobrą naukę - rzekł Hobbs. Dick był wściekły i upokorzony jako żołnierz, pobity nieznaną sobie bronią. Rozumiał on teraz pułkownika. Gdyby miał przed sobą tych czerwonoskórych, na pewno nie potrafiłby się powstrzymać od tego, żeby rzucić na nich chociażby kilka granatów ręcznych. Zaniósł na powrót do arsenału swój karabin maszynowy, po czym klnąc pod nosem zaczął pomagać doktorowi Norskiemu, który musiał zdemontować swoje urządzenia, służące do skraplania powietrza.

-I co pan pocnie kochany doktorze - pytał markotny Dick. - Czyż mamy się udać w drogę i podusić się w naszym żelaznym pudle, zanim wrócimy na Ziemię?

## Rozdział XXXVII

### Pozegnanie z Cora Słońca

Statek międzyplanetarny unosił się na wysokości tysiąca metrów i podróżni ujrzeli pod sobą grupę potężnych gmachów, które jednak nie były przeznaczone na siedzibę dla ludzi, lecz mieściły, jak się zdawało, świątynie, muzea, szkoły, zakłady przemysłowe. Nie można było zbadać dokładnie ich charakteru, czego mocno żałował Johnson. Zwrocił on uwagę towarzyszy, że dookoła tego centrum rozciągały się bardzo obszerne ogrody, wśród których oko dostrzegało liczne nieduże budyneczki, które służyły za mieszkania dla ludności. Przez lunetę i tutaj można było zauważyć postacie czerwonych polbogów, krzątające się dookoła pustelni, lub też pogrążone w pobożnych rozmyśleniach,

-Teraz już możemy sobie wyrobić pewne pojęcie o ich sposobie życia - mówił Johnson. - Zrzuciwszy tę materialistyczną cywilizację, która wżgardzili, zredukowawszy do minimum swoje potrzeby materialne żyją raczej duchowo, aniżeli cielesnie. Ten cudny klimat, panujący na wyznach, ta przebogata roślinność, która dostarcza im pożywnych i smacznych owoców, stanowiących niemal wyłączny ich pokarm, pozwala im prowadzić taki rajski żywot, jaki wiedli nasi przodkowie w Edenie ziemskim. Tego właśnie nie może im darować nasz pułkownik Croops, uważając ich za prozaiaków, oddających się

nieuzytecznym kontemplacjom. Według mnie nie ma on jednak słuszności.

Musimy przyznać, że ludzkość na Czerwonym Globie, jak tu nazywają nasza stara Ziemia, tonie w bagnie materializmu i zwracamy głównie uwagę na rozwój cielesny, upowszechniamy różnorodne sporty, a bardzo mało dbamy o rozwój moralny i duchowy. I w tym właśnie Wielki Mag widzi niebezpieczeństwo dla ludzkości. Czyż podczas ostatniej wojny światowej nie groziła już ludzkości katastrofa, będąca skutkiem, braku równowagi pomiędzy rozwojem nauki i techniki, a postępem moralnym.

Co do mnie, nie wątpię ani na chwilę, że gdyby Niemcy posiadali sekret bomby atomowej, to przy ich stwierdzonym braku wszelkich skrupułów, nie zawahaliby się użyć tej strasznej broni przeciwko swoim wrogom. Przecież i bez niej spalili kilka milionów ludzi w swoich krematoriach, wytracili na pewno kilkadziesiąt milionów ludzi w krajach, z którymi prowadzili zaczepną i eksterminacyjną wojnę.

A czyż przy obecnym upadku moralnym, zaniedbaniu rozwoju duchowego coś podobnego nie może się powtórzyć?

Ludzkość poniosłaby nieobliczalną w następstwach klęskę, gdyby nie ta zbawcza okoliczność, że my, Amerykanie, a nie Hitler posiadliśmy ten najnowszy rodzaj broni chemicznej.

Rozważania przyrodnika przerwał okrzyk Toma:

-Widzę doskonały teren do lądowania - zawołał.

Hobbs sprawdził obserwacje pilota i spostrzegł obszerną dolinę między górami, pokrytą całunem śniegu.

-Zdaje mi się - rzekł do Norskiego - że w tym niedostępnym zakątku będzie pan mógł prowadzić dalej bez przeszkód swoją pracę, jest tu bowiem dostatecznie zimno.

Niebawem rakietą międzyplanetarna dotknęła swoimi olbrzymimi pneumatykami stwardniałej od mrozu warstwy śniegu i potoczywszy się na przestrzeni paru set metrów, zatrzymała się nieruchomo.

Otworzyły drzwi wyjściowe i wszyscy opuścili statek niebieski rozglądając się ciekawie po tej górskiej kotlinie, otoczonej wysokimi szczytami. Wysokociomierz wskazywał 12.000 m wzniesienia nad poziom morza. Na tej wysokości atmosfera była jeszcze dostatecznie gęsta, ażeby ludzie mogli oddychać w niej swobodnie.

-Nareszcie znaleźliśmy to, co nam potrzeba - rzekł z zadowoleniem doktor Norwski spoglądając na termometr, wskazujący 10 stopni poniżej zera. - Nie łatwo nas tutaj odnajdą nasi przesładowcy. Potrzebuje 48 godzin czasu do wyprodukowania potrzebnej nam ilości powietrza skroplonego. Musimy natychmiast wziąć się do pracy.



Wszyscy oddali swe sily na uslugi doktora, znowu rozlegl sie loskot pracujacego silnika zgeszczajacego powietrze w stalowym zbiorniku, ktory oblozono brylami lodu. Po kilku godzinach otrzymano kilkadziesiat litrow cieczy, majacej temperature 180 stopni i nie tracac czasu zabrano sie do wytworzenia drugiej porcji.

Uczestnicy wyprawy opusciwszy rakiety biegali jak rozbawione dzieci po twardej powloce zmarznietego sniegu, czuli sie tutaj zupełnie bezpieczni. Nikt nie mogl sobie nawet wyobrazic, zeby ktos mogl wykryc ich obecność w tej osamotnionej dolinie, do ktorej splywaly z okolicznych szczytow potezne lodowce. Panowala tu martwa cisza. Nigdzie nie bylo widac najmniejszego siadu jakichkolwiek zywych istot.

-Sam diabel nas tu nie znajdzie - zawolal Dick - gdyby polbogowie mieli samoloty, to mogliby nas tu wykryc i zbombardowac, ale wiemy przeciez, ze zarzucili oni od dawna wszystkie zdobycze techniki wspolczesnej, ktora podobno wzgardzili. Tak przynajmniej mowil stary mag.

-Co doi minie - rzekl Johnson - to przypuszczam:, ze dzieki swym zdolnosciom jasnowidzow wiedza juz o naszym pobycie w tej osamotnionej dolinie.

-Nie mamy zamiaru dlugo tutaj zabawic - mowil Hobbs, ktory lekal sie o calosc swego niebieskiego statku. - Odlecimy skoro tylko doktor Norski zdobedzie niezbedny zapas cieklego powietrza na droge.

Jeszcze przez kilkanascie godzin zaloga rakiety zazywala potrzebnego jej spokoju. Doktor Norski w przeciagu doby wyprodukowal 200 litrow skroplonego powietrza. Harting robil dokladne obliczenia drogi jaka ma przebyc rakietka i wszystko wydawalo sie sprzyjac tym zamiarom, gdy niebo, dotychczas pogodne, zaczelo sie nad dolina zasnuwac chmurami, szybko sie zageszczajacymi i przybierajacymi ponura szara barwe.

-Zdaje mi sie, ze spadnie snieg - mowil Hobbs rozgladajac sie dokola.

Nagla blyskawica przerwala jego obserwacje. Rozleglo sie potezne uderzenie gromu, od ktorego zadrzala ziemia.

-Burza w tak niskiej temperaturze - mowil zaniepokojony Johnson. - Zdarza sie to i na kuli ziemskiej, ale stosunkowo dosyc rzadko, a juz nigdy na pulapie 12000 metrow, gdzie sie konczy u nas troposfera.

Po tym pierwszym gromie zahuczalo w krotkich odstepach kilka innych i rzecz dziwna, te olbrzymie iskry elektryczne, wypadajace z gestych chmur, uderzaly coraz blizej rakiety. Jedna z nich trafila w dziob olbrzymiego stalowego cylindra i splynela do ziemi poprzez kola zaopatrzone w potezne pneumatyki.

Inzynier przyskoczyl badajac skutki tego wyladowania elektrycznego.

-Na szczescie pneumatyk nie pekl - rzekl przyjrzawszy sie uwaznie kolom. - Inaczej trudno by bylo nam stad wystartowac.

Podrozni uznali za wlasciwe schronic sie do wnetrza niebieskiego statku, gdyz nawalnica elektryczna rozpetala sie na dobre. Zdawac sie moglo, ze trzaskajace pioruny obraly sobie za cel te wielka mase stali, spoczywajaca na grubej warstwie sniegu. W przeciagu kilku minut, az dwa czy trzy gromy uderzyly w rakiete, nie czyniac jednak zadnej krzywdy znajdujacym sie w niej pasazerom. Norski obserwowal, ze na wystajacych nieco czesciach stalowego kadluba widnialy snopy wyladowan elektrycznych, ktore nazywamy pospolicie ogniami sw. Elma.

-Mozna by przypuscic, ze Jowisz obral sobie za cel swoich ognistych pociskow nasza rakiete - mowil Johnson.

-To Wielki Mag nas tak bombarduje - zawolal smiejac sie margrabia.

-Panskie przypuszczenie nie wydaje mi sie dalekie od prawdy - odparl Johnson. - Magowie chwalili sie przed nami, ze opanowali sily przyrody i ze dowolnie nimi kieruja dla swoich celow. Widocznie potrafia oni wytwarzac sztucznie takie burze elektryczne jak ta, w ktora wpadlismy niespodziewanie.

Hobbs jednakze nie podzielal opinii przyrodnika. Nalegal na doktora Norskiego, azeby ten nie przerywal swojej pracy. Okazalo sie jednak, ze burza zamiast sie zmniejszac, przybierala na gwaltownosci. W przeciagu kilkunastu minut nie mniej jak dziesiec piorunow uderzylo w gondole, ktora na skutek tego zamienila sie w olbrzymi magnes.

Harting wysoce zaniepokojony radzil natychmiast wystartowac, gdyz wedlug niego, zelazny cylinder nie wytrzyma dlugo tych poteznych wyladowan, ktore z zadziwiajaca celnoscia wien trafiaja. Wszyscy czuli, ze znajduja sie w niebezpieczenstwie zycia. Hobbs spodziewal sie, ze za chwile pneumatyki zostana na kolach rozsadzone, wowczas ciezki samolot nie zdola oderwac sie od warstwy sniegu.

-Ile pan ma powietrza - zapytal Hobbs chemika, zwijajacego swoj warsztat.

-Okolo czterystu litrow - odparl doktor Norski.

-Na jak dlugo moze nam to starczyc?

-Na jakis tydzien, potem bedziemy musieli uciec sie do oksylitu, ktory zapewni nam mozliwosc oddychania na drugi tydzien.

Te rozmowe przerwalo potege wyladowanie elektryczne, od ktorego zadrzala cala rakietka.  
- To ich sprawka - krzyknal Dick.

To niespodziewane, gwaltowne natarcie slepych, jak sie zdawalo, zywiolow na statek

niebieski było, należy to przyznać, wielce zagadkowe. Jednakże nie byłoby wskazanym wszczynac dyskusje na temat, czy Dick miał słusznosc oskarzając magów. Należało czym prędzej startować, ażeby wydostać się spośród przeladowanych elektrycznością chmur. Poczyniono szybko przygotowania do startu. Niebawem rakieta planetarna, po szeregu eksplozji metauramu, oderwała się od śnieżnego pola i wtargnęła w sam środek rozpetanej burzy elektrycznej. Jeszcze jedno czy dwa wyladowania trafiły w nią, po czym nagle ujrano nad sobą czyste niebo, na którym jasniało promieniste słońce.

Johnson poprzez szyby śledził co się działo w dolinie. Wiedział on, jako przyrodnik, że i na kuli ziemskiej nieraz zdarzają się takie stojące burze, podczas których chmury nie zmieniają miejsca i wiatr ich nie rozprasza. Zastanawiał się on nad tym, czy istotnie magowie chcą zmusić niepozadanych gości od opuszczenia "Cory Słońca", rozpetali taką nawałnicę. Czuli, że nastąpiła chwila, w której wyprawa ulegając woli magów, musiała wbrew swoim zamiarom opuścić "Core Słońca".

Rakieta wznosiła się coraz wyżej i wyżej popychana potężnym silnikiem i niebawem dosięgnęła wysokości paru set kilometrów. Powierzchnia Wenus zniknęła poza oponą gestych obłoków, podróż powrotna na Czerwony Glob zaczęła się.

Johnson zęgnął niktąca w dali "Core Słońca" niemal że łza w oku. Jakże pięknym i pełnym tajemnic wydawał mu się w tej chwili ten świat, w którym przebył pięć tygodni za ledwie. Jakże skromną zdobycz unosił stąd na starą Ziemię.

## Rozdział XXXVIII

### Szalency lot

Harting okładając plan podróży powrotnej z dalekiego świata na Ziemię, zastanawiał się nad kwestią, czy członkowie wyprawy postąpili roztropnie, spełniając wolę Wielkiego Maga, skazującego na wygnanie z "Cory Słońca" niepozadanych gości z Czerwonego Globu. Czy istotnie groziła wyprawie niebezpieczeństwo w razie oporu z jej strony? Czy synowie słońca rozporządzali siłami zdolnymi zmusić przybyszów do odwrotu? A może pułkownik Croops miał słusznosc utrzymując, że nie posiadają oni żadnej skutecznej broni dla odparcia najazdu, który sobie projektowali.

Ta rozpetana, tak jakby przeciwko załodze rakiety, burza elektryczna, mogła być tylko rzadko spotykanym zjawiskiem przyrody, nie zaś atakiem, mającym na celu zmusić opornych do posłuszeństwa i zaczęli żałować w duchu, że ten pobyt na dalekim świecie trwał za ledwie kilka tygodni, że nie zdążyli poczynić żadnych poważnych badań naukowych, poznać lepiej powierzchnię "Cory Słońca", jej zaludnienie, oraz przyrodę.

Czy opinia publiczna nie napiętnuje po powrocie członków wyprawy, za nadmierną ustepliwosc, a nawet tchorzostwo. Czy otrzymane o dalekim świecie wiadomości nie skłania ludzi do zorganizowania nowej licznej wyprawy, mającej na celu podbicie orenie

"Cory Slonca" i zrobienie z niej, tak jak myślał Hipping, kolonii USA,. On sam, Harting, nie zdołał wdrzeć się na szczyt niebotycznej góry, gdzieby mógł przeprowadzić dokładniejsze obserwacje. Jedyną jego zdobyczą, która zresztą bardzo wysoko cenil, był zielnik i kilkadziesiąt okazów fauny dalekiego świata.

Jednakże inżynier Hobbs nie podzielał tych wyrzutów sumienia, jakie trapiły naszego astronoma. Żył on głębokie przekonanie, że czerwoni polbogowie rozporządzali nieznanymi ludzimi siłami przyrody, przy pomocy których potrafiliby zniszczyć raketę, wiekopomne dzieło jego życia.

Cieszył on się, że statek międzyplanetarny nie doznał żadnych uszkodzeń i że niesie go teraz z powrotem na Ziemię,, gdzie nań czekają zaszczyty i sława.

Co do Norskiego, to jego myśli były wyłącznie zajęte kwestią, czy zdoła odbyć bezpiecznie powrotną podróż, poprzez rozciągające się pomiędzy nim a Ziemią przestrzenie międzyplanetarne.

Kiedy już rakieta opuściła atmosferę Wenus i unosiła się w próżni, skapana w gorących promieniach gorejącego na szarym niebie słońca., zwołał on naradę sztabu uczonych, ażeby rozważyć tę sprawę która była kwestią życia i śmierci.

Norski, Harting, Johnson i Hobbs usadowili się w kajucie kapitańskiej, na przedzie rakiety i szczelnie zamkniętych drzwiach rozpoczęli swoje narady.

-Przyznaje - rzekł Norski - że popełniłem karygodną nieroztropność, udając się w podróż z niedostatecznym zapasem skroplonego powietrza. Lecz niejako zostałem do tego zmuszony, więc zrzucam z siebie odpowiedzialność za to, co może nas spotkać w drodze. Jaka przestrzeń dzieli nas obecnie od globu ziemskiego? - pytał zwracając się do Hartinga.

Astronom wydobyl swoje notatki; na jego czole malowało się widoczne zakłopotanie.

-Przez te pięć tygodni, jakie spędziliśmy na dalekim świecie, Wenera w swej drodze dookoła Słońca wyprzedziła glob ziemski o dwa miliony z górą mil geograficznych. Prócz tego musimy przebyć przestrzeń czterdziestu milionów kilometrów, dzielącą obie planety. Wynika z tego, że droga powrotna zajmie nam więcej czasu aniżeli podróż z Ziemi na daleki świat. Lecąc z << taką samą szybkością jak kula ziemska, to znaczy 30 km/sek., potrzebowalibysmy na to około 530 godzin czasu.

Norski rozłożył ręce.

-To znaczy przeszło trzy tygodnie. A mój zapas powietrza i oksygeny starczy co najwyżej na dziesięć dni.

-Czyli mówiąc po prostu grozi nam uduszenie, - zawołał strapiony Hobbs.

-Nie należy jednak zapominać - odezwał się znowu Harting - że Ziemia dąży nam naprzeciw. W gruncie rzeczy zatem, podróż ta potrwa dwa razy krócej, to znaczy jakieś dwanaście dni ziemskich.

-W każdym razie mamy duży deficyt - zmartwił się Hobbs. - Czy nie ma jakiego innego sposobu wydobycia tlenu? - dodał zwracając się do Norskiego.

-Oczywiście, jest wiele innych sposobów - tłumaczył chemik. - Moglibyśmy na przykład rozkładać wodę prądem galwanicznym stałym na tlen i na wodór. Ten ostatni wypuszczalibyśmy w przestrzeń, a z tlenu moglibyśmy korzystać do oddychania. Wody mamy dosyć, ale skąd wziąć dość silną baterie galwaniczną, która by nam dostarczyła potrzebnej ilości energii elektrycznej. Będzie robił co się da, ale przy braku środków technicznych, nie wiem czy mi się uda zapobiec niebezpieczeństwu.

-Ladna perspektywa - zawołał Johnson. - Przelecieć ocean międzyplanetarny i zginąć przy samym brzegu,

Narada przybierała dramatyczną formę. Wszyscy biorący w niej udział zdawali sobie jasno sprawę z groźnej pasażerom rakiety katastrofy.

-Czy nie byłoby roztropniej wrócić póki czas na Wenerę i pomimo wszelkich przeszkód zdobyć niezbędny zapas ciekłego powietrza? - pytał Johnson.

Lecz Harting pokręcił przecząco głową.

-Jest to zbyt ryzykowne - odrzekł. - Kto wie, czy by nas wpuszczili na planetę.

-Coż więc mamy uczynić?

Astronom zaczął w zamysleniu uderzać swoim ołówkiem o blat stołu.

-Istnieje możliwość skrócenia naszej podróży przynajmniej do połowy - rzekł wreszcie, zrobiwszy krótki rachunek na kartce papieru.

-A to jak? - zagadnął Hobbs.

-Mamy bardzo prosty sposób - tłumaczył Harting. - Podwoimy szybkość naszej rakiety.

-Ależ to szalony pomysł - zaprotestował Hobbs. - Nie mogę sobie wyobrazić, żeby moje żelazne pudło robiło sześćdziesiąt kilometrów w ciągu jednej sekundy.

-Na pewno nie będzie pani sobie zdawała sprawy z tego, że twój stalowy rumak galopuje tak raczo w pustyni międzyplanetarnej. Przecież nie czujemy, że nasz glob mknie z taką zawrotną szybkością w swej drodze dookoła słońca. Poruszamy się w próżni, nie natrafiając na żaden opór, z nabytą szybkością, którą możemy dowodnie zwiększać

uciekając się do naszych silników. Skoro one będą działały, będziemy poruszali się tak, jak ciała spadające ruchem przyspieszonym na Ziemi, a wtedy nasza szybkość może osiągnąć stu i więcej kilometrów na sekundę.

Inżynier zerwał się z krzesła.

-Ależ to marzenia ściętej głowy - zawołał. Harting uśmiechnął się.

-Muszę panom powiedzieć, że jestem zupełnie przy zdrowych zmysłach. W przestrzeniach międzyplanetarnych zdarzają się fakty jeszcze bardziej zdumiewające niż taka szybkość, która pana przeraża. Obliczono, że taka mgławica Oriona oddala się od naszego wszechświata, który tworzy tak zwana Droga Mleczna, z szybkością dwóch tysięcy kilometrów na sekundę.

-Ale co się stać może, gdybyśmy na przykład pedzali z szybkością choćby tylko stu kilometrów na sekundę, zderzylibyśmy się z jakimś bolidem blakającym się w przestrzeniach międzyplanetarnych. Wszak znajdują się między tymi włoczekami bryły mające kilka, a nawet kilkaset ton wagi, jak na przykład meteor, który spadł kiedyś wad rzeka Tunguska na Syberii.

-Prawdopodobieństwo Starcia się z jakimś bolidem jest bardzo małe - tłumaczył Harting. - Nam, astronomom nie udało się dostrzec takiej katastrofy, jak dotąd tak zwane nowe gwiazdy, które nagle zaczynają świecić wielokrotnie silniej, aniżeli przedtem nie są, jak się zdaje, skutkiem takiego zderzenia się, dwóch ciał niebieskich.

Nie potrzebujemy zatem lekceważyć takiego spotkania. Gdybyśmy nawet przypuścili coś podobnego, to mogę panu zareczyć, że w przeciągu jakiegoś drobnego ułamka sekundy pańska rakietka wraz ze wszystkim, co się w niej znajduje, zamieniłaby się w małą mgławicę, złożoną z rozszarpanych do wysokiej temperatury gazów.

-I nie zdziwiłbyś pan nawet zdac sobie sprawy z tego, że przestał pan istnieć - dodał Johnson.

Inżynier wybuchł głośnym śmiechem.

-Jest to do pewnego stopnia pocieszające - zawołał - skoro tak, to pedz pan na złamanie karku - dodał klepiąc po łopatkę astronoma.

Wyniki tych narad trzymano w tajemnicy, żaden z pozostałych członków wyprawy nie wiedział, że rakietka znalazła się poza obrysem przyciągania opuszczonej niedawno planety poruszała się z szybkością, która wzrastała z1 każdą minutą. I rzeczywiście, nikt z pasażerów nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeden tylko Harting, obserwujący przez swój teleskop cel podróży, mógł w przybliżeniu ocenić tę zawrotną, szalenczą szybkość, jaką motory nadawały statkowi niebieskiemu.

Ziemia, która z początku świeciła jako gwiazda pierwszej wielkości na czarnym firmamencie, szybko nabierała olśniewającej jasności. W przeciągu kilku dni ziemskich średnica jej stała się już widoczna nawet gołym okiem. Nie był to już punkt matematyczny, tak jak gwiazdy, lecz dysk, zwiększający swoje rozmiary z każdą doba.

Doktor Morski w przeciągu kilku dni wyczerpał swój zapas ciekłego powietrza i musiał uciec się do oksylitu, który mógł starczyć najwyżej na cztery doby. Dzięki tym staraniom pasażerowie rakiety oddychali swobodnie, gdyż dwutlenek węgla, wydzielany przez płuca, był absorbowany z atmosfery niebieskiego statku. Lecz zbliżała się nieodwołalnie chwila, kiedy i dobroczynne działanie oksylitu osiągnie swój kres a wówczas pasażerowie rakiety czekałaby śmierć z uduszenia.

Lecz Harting nie tracił pogody ducha, lekceważąc sobie widocznie groźbę jego towarzyszących niebezpieczeństwo.

Chcąc odwrócić ich uwagę od tych spraw, kazał puścić w ruch wspaniałe gramofony, zaopatrzone w parese najnowszych płyt i słuchano godzinami całymi oper, wesołych piosenek i komicznych dialogów, skracając sobie monotonią upływający czas.

Po siedmiu dobach ziemskich od chwili opuszczenia Wenus, tarcza Ziemi przybierała już tak znaczne rozmiary, że nawet gołym okiem można było odróżnić kontury lądów i morz.

Harting oświadczył towarzyszący, że pierwszy lot międzyplanetarny zbliża się do końca.

-Wracamy na naszą starą Ziemię - mówił nucąc radosną wieść.

Jak dotąd ludzkość nie miała żadnej pewności, czy życie organiczne istnieje nie tylko na Ziemi, ale i na innych światach.

Nauka była bezsilna chcąc dowiedzieć, że nie tylko nasza stara Ziemia jest kolebką życia. Nasza podróż kładzie kres tym wątpliwościom. Okazuje się bowiem, że materia osiągnawszy pewien stan może dać początek istotom obdarzonym życiem. Życie zatem nie jest jakimś zbytecznym produktem przemiany materii, poczynając od mgławicy aż do planety, nie jest żadną jej chorobą, jak utrzymują sceptycy i pesymisci, lecz najwyższym wyrazem jej rozwoju, kresem, do którego dąży ewolucja wszechświata. W człowieku materia zdobyła świadomość swego istnienia, śmiem nawet myśleć, że dopiero ta świadomość stworzyła ten świat jaki ogląda nasze oko.

Że nie istniałby on, gdyby nie zjawili się myślicy i zastanawiający się umysł ludzki. Wszechświat jest złudzeniem - indyjska magia, jedyną rzeczywistością to jaźń myśliczej istoty i duch.

Skoro już raz stwierdziliśmy naocznie, że nie tylko Ziemia, ale Wenus, a także i Mars, jak tego dowiodły eksperymenty mojego stryja\*, są siedzibą życia organicznego, to można przez analogie sadzić, że każde z wielu miliardów słońc posiada swój układ planetarny.

Jezeli przypuscimy, ze na dziesiec planet, krazacych dookola jakiegos slonca, tylko dwie albo trzy sa zamieszkałe przez istoty zywe, to ilosc swiatow zamieszkalych w samej naszej galaktyce, tworzacej to, co nazywamy droga mleczna, mozna liczyc na miliony. Pojawienie sie zycia na Ziemi nie jest jakimś wyjątkowym i bardzo rzadkim zjawiskiem, tak jak to sie na pozor moze wydawac, lecz naturalnym porzadkiem rzeczy. Zycie przepelnia wszechswiat. Istnieja zapewne daleko doskonalsze nie tylko od nas, ale i od czerwonych polbogow istoty i kto wie czy za miliard lat, kiedy dosiegniemy szczytu rozwoju nie zdołamy nawiązac z nimi jakichs stosunkow. Wszak i potworne przestrzenie dzielace swiaty moga okazac sie złudzeniem.

Te własnie radosna wieść, że ludzkosc nie jest osamotniana wie wszechswiecie przynosimy w darze Ziemianom. I ta zdobycz jest miliony razy cenniejsza od zbiorow naszego kolegi doktora Johnsona nie mowiac juz o tych mizernych woreczkach zlota, ktore nam ofiarowali Wenusjanie, albo nawet sekret sztucznego otrzymywania tego pierwiastku, odrzucony przez kolege Norskiego, który potrafi tak jak slonce zamieniac lżejsze pierwiastki na ciezsze. Jego wynalazek metauranu, najciezsze z istniejacych dotad elementow umozliwil nam te wiekopomna podroz, która sie jutra, najdalej pojutrze skonczy.

W trzydziesti godzin pozniej rakietka w swym szalenczym biegu zrownala sie z globem ziemskim, na ktorego spotkanie dazyla z szybkościa przeszło stu kilometrow na sekunde.

Teraz nastapil decydujacy moment w tym pierwszym od poczatku swiata locie międzyplanetarnym. Rakietka zamiast przyspieszac biegu, zaczela go hamowac. Puszczono w ruch silniki na odwrotnym koncu stalowego cylindra i zbliżano sie coraz bardziej do wspaniale błyszczacej tarczy ziemskiej. Chodzilo o to, azeby z jak najmniejsza szybkością wejśc do atmosfery, gdyż inaczej rakietka zamienilaby sie ma rozczarzony do bialosci olbrzymi aerolit. Dzieki czujności inżyniera Hobbsa i wiedzy Hartinga trudne to zadanie rozwiązano pomysłnie. Niebawem rakietka znalazła sie w nizszych warstwach atmosfery ziemskiej bioracych juz udział w ruchu obrotowym planety. Od tej chwili statek niebieski zaczął funkcjonowac jako olbrzymi samolot. Jeszcze dziesiec godzin lotu z szybkością tysiąca kilometrow na godzinie i oczom podroznych ukazaly sie wschodnie wybrzeza Ameryki Polnocnej. Korzystajac z pięknej i slonecznej pogody rakietka przy pomocy radia zapowiedziala swoje ladowanie na lotnisku Guardia pod Nowym Jarkiem.

Pierwszy lot międzyplanetarny stal sie faktem dokonany.

\* yard - 3 stopom angielskim - 91,44 cm.

\* Patrz tegoz autora ksiazke "Na druga planete"

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-25



